

EUGENIUSZ ZAMIATIN

MY

PRZEŁOŻYŁ ADAM POMORSKI

SCAN-DAL

Notatka I

Konspekt:

OBWIESZCZENIE

NAJROZUMNIEJSZA LINIA

POEMAT

Przepisuję po prostu - słowo w słowo - to, co dziś opublikowano w „Gazecie Państwowej”:

„Już tylko 120 dni dzieli nas od zakończenia budowy *Integralu*. Zbliży się wielka historyczna chwila, w której pierwszy *Integral* wzbije się w przestrzeń międzygwiazdną. Tysiąc lat temu wasi bohaterscy przodkowie ustanowili władzę Państwa Jedynego na całym globie ziemskim. Przed wami jeszcze chlubniejsze zadanie: szklanym, elektrycznym, płomiennym *Integrale*m scałkować nieskończone równanie wszechświata. Przed wami zadanie jeszcze chlubniejsze: narzucić dobroczynne jarzmo rozumu nieznanym istotom z obcych planet - być może pozostającym jeszcze w dzikim stanie wolności. Jeżeli nie zdołają pojąć, że przynosimy im matematycznie bezbłędne szczęście, obowiązkiem naszym będzie zmusić je do szczęścia. Pierwszym naszym orężem będzie jednak słowo.

W imieniu Dobroczyńcy obwieszcza się wszystkim numerom Państwa:

Każdy numer zdolny do poniższych czynności obowiązany jest układać traktaty, poematy, manifesty, ody lub inne dzieła poświęcone pięknu i wielkości Państwa Jedynego.

Utwory te stanowić będą pierwszy ładunek *Integralu*.

Niech Źyje Państwo Jedyne, niech żyją numery, niech żyje Dobroczyńca!”

Pisząc to czuję: policzki mi płoną. Tak: scałkować monumentalne kosmiczne równanie. Tak: wyprostować wielką krzywą, dopasować ją do stycznej - asymptoty - do prostej. Albowiem linia Państwa Jedynego to - prosta. Wielka, cudowna, precyzyjna, rozumna prosta - linia najrozumniejsza z rozumnych...

Ja, Δ-503, konstruktor *Integralu* - jestem tylko jednym z matematyków Państwa. Moje pióro nawykłe do cyfr nie jest zdolne stworzyć muzyki asonansów i rymów. Spróbuję tylko notować to, co myślę - czy raczej to, co my myślimy (właśnie tak: my, i niech to MY stanie się tytułem moich notatek). Będzie to jednak pochodna naszego życia, matematycznie doskonałego życia Państwa Jedynego - czy zatem, same przez się, mimo woli autora, notatki

te nie staną się poematem? Staną się - wierzę i wiem.

Pisząc to czuję: policzki mi płoną. Pewnie czegoś podobnego doznaje kobieta, kiedy po raz pierwszy czuje w sobie puls nowego - jeszcze mikroskopijnego, ślepego człowieczka. To ja, a zarazem - nie ja. Długie miesiące trzeba go będzie karmić sobą, swoim sokiem i krwią, a potem - z bólem oderwać od siebie i złożyć u stóp Państwa.

Lecz gotów jestem, jak każdy - czy prawie każdy z nas. Jestem gotów.

Notatka 2

Konspekt:

BALET

KWADRATOWA HARMONIA

IKS

Wiosna. Zza Zielonego Muru, znad niewidocznych dzikich równin wiatr niesie żółty miodowy pyłek jakichś kwiatów. Ten słodki pyłek wysusza wargi - co chwila przesuwają się po nich językiem - pewnie więc wszystkie mijane kobiety mają słodkie wargi (mężczyźni naturalnie również). To nieco utrudnia logiczne myślenie.

Ale za to niebo! Niebieskie, nie skalane żadną chmurką (co za nieokrzese gustu mieli starożytni, których poeci mogli czerpać natchnienie z tych idiotycznych, niechlujnych, szwendających się niedorzecznie kłębow par). Ja tam lubię - z pewnością nie pomyłę się mówiąc: my lubimy - tylko takie właśnie sterylne, nieposzlakowane niebo. W takie dni cały świat jest jak ulany z tego samego niezłomnego, wiecznego szkła co Zielony Mur i wszystkie nasze budowle. W takie dni wzrok sięga najbliższej istoty rzeczy, jakichś nieznanych dotąd, olśniewających równań - wszystko to dostrzec można w rzeczach najzwyczajniejszych, powszednich.

Chociażby to. Dziś rano byłem na pochylni, gdzie budujemy *Integral* - i naraz ujrzałem maszynię: z zamkniętymi oczami, w zapamiętaniu, krążyły kule regulatorów; korby błyskając wyginały się to w lewo, to w prawo; dumnie kołysał ramionami balansjer; w takt niesłyszalnej muzyki sunął w podskokach nóż frezarki. Dostrzegłem naraz całe piękno tego monumentalnego mechanicznego baletu, oblanego lekkim błękitnym słońcem.

Dalej więc - sam do siebie: dlaczego - piękno? Dlaczego taniec - piękny? Odpowiedź: dlatego że *nie jest to ruch swobodny*, dlatego, że najgłębszy sens tańca polega właśnie na absolutnym podporządkowaniu estetycznym, na idealnej nie-wolności. Jeżeli jest prawdą, że nasi przodkowie uprawiali taniec w momentach najwyższego w ich życiu wlotu natchnienia (misteria religijne, defilady wojskowe), oznacza to tylko jedno: instynkt nie-wolności od praprawieków jest organicznie właściwy człowiekowi, a my - w naszym dzisiejszym życiu - jedynie świadomie...

Trzeba będzie dokończyć później: szczęknął numerator. Podniosłem wzrok:

oczywiście O-90. Za chwilę sama tu będzie: po mnie na spacer.

Miła O! - zawsze mi się wydawało - że przypomina własne imię: mniej więcej o 10 centymetrów niższa od Normy Macierzyńskiej - i przez to wykończona krągło, a różowe O - usta - otwarte na spotkanie każdemu mojemu słowu. Poza tym: krągła, pulchna fałdka, na nadgarstku - dzieci miewają takie.

Kiedy weszła, we mnie jeszcze na całego huczało logiczne koło zamachowe, prawem bezwładności zacząłem więc mówić o ustalonej właśnie przeze mnie formule, w której mieściło się wszystko - i my, i maszyny, i taniec.

- Cudownie. Prawda? - zapytałem.

- Tak, cudownie. Wiosna - różowo uśmiechnęła się do mnie O.

No, masz, dobre sobie: wiosna... Ona - o wiosnie. Kobiety... Zamilkłem.

Na dole. Aleja zatłoczona: przy takiej pogodzie poobiednią godzinę osobistą poświęcamy zazwyczaj na dodatkowy spacer. Jak zwykle wytwórnia muzyki mocą wszystkich swych kotłów grała Marsza Państwa Jedynego. W miarowych szeregach, czwórkami, uroczyście wybijając takt, kroczyły numery - setki, tysiące numerów, w błękitnawych junifach¹, ze złotymi blaszkami na piersi - numer państwowy każdego czy każdej. Ja - my, nas czworo - to jedna z niezliczonych fal w tym potężnym potoku. Po mojej lewej O-90 (gdyby to pisał któryś z moich włochatych przodków tysiąc lat temu - pewnie by ją określił śmiesznym słowem „moja”); po prawej - dwoje jakichś nieznajomych numerów, żeński i męski.

Sielankowo niebieskie niebo, mikroskopijne dziecinne słońce w każdej blaszce, twarze nie zamroczone szaleństwem myśli... Promienie - rozumiecie: wszystko ulane z jakiejś jednej, promiennej, uśmiechniętej materii. A spizowe takty: „Tra-ta-ta-tam. Tra-ta-ta-tam” - to migocące w słońcu stopnie z miedzi, a z każdym stopniem - wstępujecie coraz wyżej, w zawrotny błękit...

I oto tak samo jak rano na pochylni znowu spojrzałem, jakbym wszystko to widział po raz pierwszy w życiu: niechybnie proste ulice, rozjarzone promieniami szkło nawierzchni, boskie prostopadłościany przezroczystych budowli mieszkalnych, kwadratowa harmonia szarobłękitnych szeregów. Jakby to nie całe pokolenia - ale ja - właśnie ja - pokonałem starego Boga i stare życie, właśnie ja stworzyłem to wszystko; jestem jak wieża; boję się ruszyć łokciem, żeby nie posypały się okruchy ścian, kopuł, maszyn...

A potem moment - skok przez stulecia, z + na -. Przypomniał mi się (widocznie - skojarzenie przez kontrast) - nagle przypomniał mi się obraz z muzeum: ich ówczesna, z

1* Zapewne od starożytnego „uniforme”.

dwudziestego wieku, ulica, oszalałymi pstrakami gmatwanina ludzi, kół, zwierząt, afiszów, drzew, barw, ptaków... A przecież tak podobno rzeczywiście było - mogło tak być. Wydało mi się to tak nieprawdopodobne, tak idiotyczne, że nie wytrzymałem i naraz roześmiałem się głośno.

I zaraz echo - śmiech - po prawej. Odwróciłem się: przed oczami - białe - niezwykle białe i ostre zęby, nieznajoma twarz kobieca.

- Przepraszam - powiedziała - ale w takim natchnieniu podziwialiście wszystko - jak jakiś mityczny bóg w siódmym dniu stworzenia. Macie, zdaje się, pewność, że mnie też stworzyliście wy, a nie kto inny. Czuję się zaszczycona...

Wszystko to - bez uśmiechu, rzekłbym nawet - z pewnym szacunkiem (może wie, że jestem konstruktorem *Integralu*). Ale nie wiem - czy w oczach, czy w brwiach - jakiś dziwny drażniący iks, w żaden sposób nie mogłem go uchwycić, nadać mu wyrazu liczbowego.

Speszyłem się czemuś i zacinając się lekko zacząłem logicznie uzasadniać swój śmiech. To całkiem jasne, że ten kontrast, ta nieprzebyta przepaść między stanem dzisiejszym a ówczesnym...

- Ależ dlaczego - nieprzebyta? (Jakie białe zęby!) Nad przepaścią można przerzucić kładkę. Proszę sobie tylko wyobrazić: werbel, bataliony, szeregi - przecież to wszystko już było - a zatem...

- No, tak: jasne! - krzyknąłem (to była zadziwiająca zbieżność myśli: ona - prawie moimi słowami - to, co notowałem przed spacerem). - Rozumiecie: nawet myśli. To dlatego, że nikt nie jest „jeden”, ale „jeden z”. Jesteśmy tak jednakowi...

Ona:

- Jesteście pewni?

Zobaczyłem brwi pod ostrym kątem zadarte ku skroniom - jak ostre różki iksa i znów nie wiadomo dlaczego zmieszałem się, spojrzałem w prawo, w lewo - i...

Po mojej prawej - ona, cienka, ostra, sprężyste giętka jak pejcz, I-330 (widzę teraz jej numer); po lewej - O, zupełnie inna, cała z okrągłości, z dziecinną fałdką na ręce; a na skraju naszej czwórki - nieznany mi numer męski - jakiś taki dwuwygięty w kształcie litery S. Każde z nas było inne...

Ta po prawej, I-330, dostrzegła widocznie moje stropienie - i z westchnieniem:

- Tak... Niestety!

Istotnie to „niestety” było całkiem na miejscu. Ale znów coś takiego w jej twarzy czy w głosie... Jak na mnie - niezwykle ostro - powiedziałem:

- Żadne niestety. Nauka się rozwija - jak nie dziś, to za pięćdziesiąt, sto lat... To jasne!

- Nawet nosy wszystkim...

- Tak, nosy - prawie już krzychałem. - Skoro już - po co taki powód do zawiści... Skoro ja mam nos jak guzik, a inny...

- No, nos to macie akurat chyba nawet „klasyczny”, jak to się dawniej mówiło. Ale ręce... Nie, nie nie chowajcie - no, pokażcie ręce!

Nie znoszę, kiedy ktoś patrzy na moje ręce: całe owłosione, kosmate - jakiś idiotyczny atawizm. Wyciągnąłem rękę - i możliwie obojętnie powiedziałem:

- Małpie.

Spojrzała na ręce, potem na mnie:

- Ależ to arcyciekawy akord - ważyła mnie oczami jak na wadze, znowu mignęły różki w kątach brwi.

- On jest zapisany na mnie - radośnie różowo otworzyła usta O.

Lepiej by już milczała - to było kompletnie bez sensu. W ogóle ta miła O... jakby to powiedzieć... ma niewłaściwie skalkulowaną prędkość języka: w przeliczeniu na sekundę prędkość języka zawsze powinna być nieco mniejsza niż prędkość myśli, w żadnym razie na odwrót.

U wylotu alei, na wieży akumulacyjnej dzwon donośnie wybił 17. Godzina osobista minęła. I-330 oddalała się razem z tamtym, esowatym numerem męskim. Twarz miał taką - budzącą szacunek, a teraz widzę, że nawet znajomą. Gdzieś go spotkałem - nie pamiętam już, gdzie.

I na pożegnanie - ciągle iksowato - uśmiechnęła się do mnie:

- Zajrzyjcie pojutrze do audytorium 112. Wzruszyłem ramionami:

- Jeżeli będę miał przydział - akurat do tego audytorium... Ona z jakąś niezrozumiałą pewnością:

- Do tego.

Ta kobieta robiła na mnie równie nieprzyjemne wrażenie co przypadkiem zaplątany w równaniu nierozkładalny element urojony. Cieszyłem się, że chociaż na chwilę zostanę sam z miłą O.

Ramię w ramię minęliśmy wylot czterech alej. Na rogu - ona musiała w prawo, ja - w lewo.

- Tak bym chciała dzisiaj do was przyjść, spuścić zasłony. Właśnie dzisiaj, zaraz... - O nieśmiało podniosła na mnie okrągłe, kryształowo niebieskie oczy.

Śmieszna. Cóż mogłem jej odpowiedzieć? Była u mnie nie dalej jak wczoraj i nie gorzej ode mnie wiedziała, że nasz najbliższy dzień seksualny przypada pojutrze. To po

prostu ciągle to samo jej „wyprzedzenie, myśli” - jak (czasem szkodliwe) wyprzedzenie iskry zapłonowej w silniku.

Przed rozstaniem dwa... nie, będę ścisły: trzy razy pocałowałem cudowne, niebieskie, nie skalane żadną chmurką oczy.

Notatka 3

Konspekt:

MARYNARKA

MUR

DEKALOG

Przejrzałem wczorajsze notatki i widzę: pisałem nie dość jasno. Wszystko to jest wprawdzie zupełnie jasne dla każdego z nas. Ale kto wie: może wy, nieznani, którym *Integral* zaniesie moje notatki, wy może doczytaliście wielką księgę cywilizacji zaledwie do tej stronicy, co nasi przodkowie przed 900 laty. Może nie znacie nawet takiego ABC, jak Dekalog Godzinowy, Godziny Osobiste, Norma Macierzyńska, Zielony Mur, Dobroczyńca. Śmiech mnie bierze - a zarazem bardzo mi trudno mówić o tym wszystkim. To tak, jakby pisarz powiedzmy z 20 wieku musiał tłumaczyć w swojej powieści, co to jest „marynarka”, „mieszkanie”, „żona”. A zresztą, gdyby jego powieść tłumaczono dla dzikusów, czy „marynarka” obeszłaby się bez komentarza?

Jestem przekonany, że dzikus patrząc na marynarkę myślał: „No i po co to? Tylko zawada”. Wydaje mi się, że będziecie patrzeć kropka w kropkę tak samo, kiedy powiem wam, że od czasów Wojny Dwustuletniej nikt z nas nie był za Zielonym Murem.

Ależ, moi drodzy, trzeba troszkę myśleć, to bardzo pomaga. Przecież to jasne: cała historia ludzka, o ile wiemy, to dzieje przejścia od koczowniczych do osiadłych form życia. Co za tym idzie, najbardziej osiadła forma życia (nasza) - to zarazem forma najdoskonalsza (nasza), nieprawdaż? Ludzie mogli się miotać po ziemi z kąta w kąt w czasach prehistorycznych, kiedy istniały narody, wojny, handle, odkrycia różnych tam ameryk. Ale po co to komu, komu to dziś potrzebne?

Owszem, zakładam: ta osiadłość weszła w zwyczaj nie bez trudu i nie od razu. Kiedy podczas Wojny Dwustuletniej drogi uległy zniszczeniu i zarosły trawą - z początku pewnie bardzo niewygodne wydawało się życie w miastach oddzielonych od siebie gęstwą zielonych lasów. Ale co z tego? Kiedy człowiek utracił ogon, pewnie też nie od razu nauczył się opędzać od much bez jego pomocy. Z początku na pewno brała go tęsknota za ogonem. Ale dziś - czy możecie sobie wyobrazić, że macie ogon? Albo: wyobrażacie sobie, że wychodzicie na ulicę - nago, bez „marynarki” (bo wy może jeszcze spacerujecie w „marynarkach”)? To

samo tutaj: nie umiem sobie wyobrazić miasta obnażonego z Zielonego Muru, nie mogę sobie wyobrazić życia nie przybranego w liczbowy habit Dekalogu.

Dekalog... Właśnie ze ściany w moim mieszkaniu surowo a tkliwie patrzą mi w oczy purpurowe w złotym polu cyfry jego tablic... Mimo woli przychodzi na myśl to co starożytni nazywali „ikoną” - chciałoby mi się układać wiersze albo modlitwy (na jedno wychodzi). Ach, czemu nie jestem poetą, bym oddał ci należną chwałę, o Dekalogu, o serce i tętno Państwa Jedynego!

My wszyscy (a może i wy) dzieckiem jeszcze w szkole czytaliśmy najwspanialszy z zachowanych do naszych czasów zabytków literatury starożytnej - *Rozkład jazdy kolei*. Ale nawet on w porównaniu z Dekalogiem jest jak grafit obok diamentu - w obu to samo C, węgiel, lecz jakże jaśnieje diament - wieczny, przejrzysty. Każdemu dech w piersiach zapiera, gdy z łoskotem pędzi przez strony *Rozkładu*. Ale Dekalog Godzinowy - każdego z nas na jawie przeobraża w stalowego sześciokołowego bohatera arcypoematu. Co rano, z sześciokołową punktualnością, o jednej i tej samej godzinie, w jednej i tej samej minucie - my, miliony, wstajemy jak jeden mąż. Ó jednej i tej samej godzinie, milionoistnie, przystępujemy do pracy - milionoistnie ją kończymy. Łącząc się w jedno milionorękie ciało w jednej i tej samej sekundzie - zgodnie z Dekalogiem - podnosimy łyżkę do ust - w jednej i tej samej sekundzie wychodzimy na spacer, idziemy do audytorium, do sali ćwiczeń Taylorowskich, kładziemy się spać...

Będę zupełnie szczery: u nas także nie podano jeszcze absolutnie dokładnego rozwiązania kwestii szczęścia: dwa razy dziennie - od 16 do 17 i od 21 do 22 jeden potężny organizm rozsypuje się na poszczególne komórki: to właśnie ustanowione przez Dekalog - Godziny Osobiste. W tym czasie widzieć można: w mieszkaniach jednych cnotliwie spuszczone zasłony, drudzy - miarowo, spizowymi stopniami Marsza przemierzają aleję, trzeci - jak ja w tej chwili - przy biurku. Wierzę jednak niezłomnie - choćby mnie nazwano idealistą i fantastą - wierzę: wcześniej czy później - kiedyś i dla tych godzin znajdziemy miejsce w ogólnej formule, kiedyś wszystkie 86400 sekund zmieści się w Dekalogu Godzinowym.

Wiele niewiarygodnych rzeczy czytało się i słyszało o epoce, w której ludzie żyli jeszcze w stanie wolnym, czyli niezorganizowanym, dzikim. To jednak wydawało mi się zawsze najbardziej niewiarygodne: jak ówczesna, choćby nawet zaczątkowa, władza państwowa mogła dopuścić, by ludzie żyli bez czegoś, co przynajmniej przypominałoby nasz Dekalog, bez obowiązkowych spacerów, bez precyzyjnego uregulowania terminów posiłku; żeby wstawali i kładli się spać, kiedy im się spodoba; niektórzy historycy twierdzą nawet, że

w owych czasach na ulicach przez całą noc paliło się światło, przez całą noc chodziło się i jeździło po ulicach.

To właśnie nigdy nie mieściło mi się w głowie. Przecież jakkolwiek ograniczony miałiby rozum, mimo wszystko musieli pojmować, że takie życie to najprawdziwsza kryminalna zbrodnia, morderstwo - tyle że powolne, dzień po dniu. Państwo (humanitaryzm) nie pozwalało zabijać pojedynczego człowieka, ale godziło się na połowiczne zabijanie milionów. Zabić jednego, czyli umniejszyć sumę istnień ludzkich o 50 lat - to zbrodnia, lecz umniejszyć sumę ludzkich istnień o 50 milionów lat - to już nie zbrodnia. Czy to nie śmieszne? U nas to zadanie moralno-matematyczne w okamgnieniu rozwiąże byle dziesięcioletni numerek; u nich - nie mogły wszystkie ich Kanty razem wzięte (bo żaden z tych Kantów nie wpadł na pomysł skonstruowania systemu etyki naukowej, czyli opartej na odejmowaniu, dodawaniu, dzieleniu, mnożeniu).

A czy to nie absurd, że państwo (miało czelność nazywać się państwem!) mogło pozostawić poza wszelką kontrolą życie seksualne? Kto, kiedy i ile chciał... Całkiem nienaukowe, jak zwierzęta. I dzieci też rodzili jak popadnie, niczym zwierzęta. Czy to nie śmieszne: opanować umiejętność hodowli roślin, kur, ryb (ściśle dane potwierdzają, że potrafili to wszystko), ale nie dojść do ostatniego szczebla tej drabiny logicznej: hodowli dzieci. Nie sięgnąć myślą naszej Normy Macierzyńskiej i Ojcowskiej.

Takie to śmieszne, tak nieprawdopodobne, że teraz, kiedy to napisałem, obawiam się: a nuż wy, nieznani czytelnicy, uznacie mnie za złośliwego kpiarza? A nuż pomyślicie, że chcę po prostu zakpić z was i z poważną miną opowiadam niestworzone bzdury?

Po pierwsze jednak: nie jestem zdolny do żartów - w każdym żarcie jako ukryta funkcja zawiera się kłamstwo; a po drugie: Nauka Państwowa twierdzi, że tak właśnie wyglądało życie starożytnych, a Nauka Państwowa mylić się nie może. Skąd by się wtedy miała wziąć logika państwowa, skoro ludzie żyli w stanie wolności, tzn. w stanie zwierząt, małą, stada. Czego można od nich żądać, skoro nawet w naszych czasach - z dna, z włochatych głębin - dobiega niekiedy dzikie małpie echo.

Na szczęście - rzadko. Na szczęście - to tylko drobne awarie elementów: łatwo je remontować nie wstrzymując wiecznego, wielkiego biegu całej Maszyny. A po to, by usunąć odkształconą śrubkę - mamy wprawna, ciężką rękę Dobroczyńcy, mamy doświadczone oko Opiekunów...

Tak, nawiasem mówiąc, teraz sobie przypomniałem: ten wczorajszy, dwuwygięty jak S - zdaje się, że widywałem go, jak wychodził z Urzędu Opieki. Teraz rozumiem, skąd we mnie ten instynktowny wobec niego szacunek i jakaś konsternacja, kiedy ta dziwna I przy

nim... Muszę przyznać, że ta I...

Dzwonią na spanie: 22.30. Do jutra.

Notatka 4

Konspekt:

DZIKUS Z BAROMETREM

EPILEPSJA

GDYBY

Do tej pory wszystko w życiu było dla mnie jasne (nie bez kozery chyba mam upodobanie do samego wyrazu „jasne”). A dzisiaj... Nie rozumiem.

Po pierwsze, rzeczywiście dostałem przydział właśnie do audytorium 112, tak jak mówiła. Chociaż prawdopodobieństwo wynosiło –

$$\frac{1500}{10000000} = \frac{3}{20000}$$

(1500 - to ilość audytoriów, 10000000 - numerów). A po drugie... Ale po kolei...

Audytorium. Ogromna, nasłoneczniona półkula ze szklanych brył. Dośrodkowe okręgi szlachetnie kulistych, gładko ostrzyżonych głów. Z lekkim skurczem serca rozejrzałem się wkoło. Sprawdzałem, jak sądzę, czy nie błysnie gdzieś nad błękitnymi falami junif różowy półksiężyc - miłe usta O. A tu czyjeś niezwykle białe i ostre zęby podobne do... nie, to nie to. Dziś o 21.00, wieczorem, O przyjdzie do mnie - to całkiem naturalne, że pragnąłem ją zobaczyć.

Dzwonek. Wstaliśmy, odśpiewaliśmy Hymn Państwa Jedyne - i oto już na estradzie błyskający złotym głośnikiem i dowcipem fonolektor.

- Proszę szanownych numerów! Niedawno archeologowie dokopali się pewnej książki z 20 wieku. Autor-ironista opowiada w niej o dzikusie i o barometrze. Dzikus zauważył: ilekroć barometr zatrzymywał się na „deszczu” - rzeczywiście padał deszcz. Ponieważ dzikusowi zachciało się deszczu, wydłubał w sam raz tyle rtęci, żeby poziom stanął na „deszczu” (na ekranie - dzikus w pióropuszu wydłubujący rtęć: śmiech). Śmiejecie się: ale czy nie wydaje się wam, że bardziej wart śmiechu był Europejczyk tamtej epoki? Podobnie jak dzikus - Europejczyk chciał „deszczu” - deszczu przez duże D, deszczu algebraicznego. Sam jednak sterczał przed barometrem jak zmokła kura. Dzikus przynajmniej miał więcej

śmiałości, energii i - wprawdzie dzikiej - logiki: potrafił ustalić związek między skutkiem i przyczyną. Wydłubując rtec uczynił pierwszy krok na wielkiej drodze, którą...

W tym momencie (powtarzam: pisząc nie ukrywam niczego) - w tym momencie zrobiłem się jakby nieprzemakalny, podczas gdy z głośników płynęły życiodajne potoki. Wydało mi się nagle, że niepotrzebnie tutaj przyszedłem (dlaczego „niepotrzebnie” i jakże mogłem nie przyjść, skoro miałem przydział?); wydało mi się - wszystko to puste, sama skorupa. Z trudem włączyłem uwagę wtedy dopiero, kiedy fonolektor przeszedł już do tematu zasadniczego: do naszej muzyki, kompozycji matematycznej (matematyk - przyczyna, muzyka - skutek), do opisu wynalezionej niedawno muzykometru.

- Kręcąc po prostu tą rączką każdy produkuje do trzech sonat na godzinę. A waszych przodków kosztowało to tyle wysiłku! Mogli tworzyć tylko dzięki doprowadzeniu się do stanu „natchnienia” - nieznaną postaci epilepsji Oto przezabawny przykład tego, co im wychodziło - muzyka Skriabina, wiek 20. To czarne pudło (na estradzie rozsunięto zasłonę, tam - ich pradawny instrument) - to pudło, fortepian, nazywali inaczej „royal” czyli „królewskim”, co także dowodzi, jak dalece cała ich muzyka...

Dalej - znów nie pamiętam, może dlatego, że... No, tak, powiem wprost: dlatego, że do „królewskiego” pudła podeszła ona - I-330. Pewnie byłem po prostu zaskoczony tym jej niespodziewanym pojawieniem się na estradzie.

Miała na sobie fantastyczny kostium epoki starożytnej: obcisła czarna suknia, ostro podkreślona białosc odsłoniętych ramion i piersi, i ten ciepły, kołysany oddechem cień pośrodku... i oślepiające, prawie wściekłe zęby...

Uśmiech-ukąszenie, tu - na dół. Usiadła, zagrała. Dzikie *to*, spazmatyczne, pstrokate jak całe ich życie - ani cienia rozumnej mechaniczności. Oczywiście wszyscy wokół mnie mają rację: śmieją się. Tylko niektórzy... Ale dlaczego i ja - i ja?

Tak, epilepsja - choroba psychiczna - ból... Powolny, słodki ból - ukąszenie i żeby jeszcze głębiej, jeszcze boleśniej. A teraz, powoli - słońce. Nie nasze, nie to kryształowo błękitnawe i równomierne przez szklane cegły ścian - nie: dzikie, pędzące, palące słońce - precz z siebie wszystko - wszystko w strzępy.

Ten, co siedział koło mnie, spojrzął z ukosa w lewo - na mnie - i zachichotał. Nie wiem czemu zapamiętałem wyraźnie: zobaczyłem - na wargi wyskoczyła mu mikroskopijna banieczka śliny, pękła. Ta banieczka mnie ocuciła. Znowu sobą.

Jak wszyscy - słyszałem tylko idiotyczną, rozbieganą trzaskaninę strun. Śmiałem się. Wszystko było łatwe i proste. Utalentowany fonolektor w nazbyt żywych barwach przedstawił nam tę dziką epokę - i tyle.

Z jaką rozkoszą słuchałem potem naszej muzyki współczesnej! (Zademonstrowano ją pod koniec - dla kontrastu.) Kryształowe stopnie chromatyczne schodzących się i rozchodzących szeregów nieskończonych - i sumujące akordy formuł Taylora, Maclaurina; całotonowe kwadratowo ciężkie suwy spodni Pitagorasowych; smutna melodia ruchu gasnąco wahadłowego; mieniające się Fraunhoferowymi liniami pauz dobitne takty - spektralna analiza planet... Jaka potęga! Jaka niezachwiana prawidłowość! Jaka żalosna jest samowolna, niczym - prócz dzikich fantazji - nie ograniczona muzyka starożytnych!

Jak zwykle wszyscy opuszczali audytorium w równych szeregach, czwórkami, przez szerokie drzwi. W pobliżu mignęła znajoma dwuwygięta postać: ukloniłem się z szacunkiem.

Za godzinę powinna przyjść miła O. Czułem się przyjemnie i pożytecznie podniecony. W domu - jak najprędzej do kantoru, podsunąłem dyżurnemu mój różowy bilet i dostałem zaświadczenie o prawie do zasłon. To prawo obowiązuje u nas tylko w dni seksualne. Na co dzień w swoich ścianach przejrzystych, jakby wysnutych z połyskliwego powietrza, żyjemy wiecznie na widoku, zawsze skąpani w świetle. Nie mamy przed sobą nic do ukrycia. Poza tym ułatwia to ciężką i szlachetną pracę Opiekunów. W przeciwnym razie do czego by mogło dojść! Być może właśnie dziwaczne, nieprzejrzyste domostwa starożytnych zrodziły tę ich żalosalną komórkową psychikę. „Mój (sic!) dom - moja twierdza” - ależ wymyślili!

O 22.00 spuściłem zasłony - i w tym samym momencie weszła zadyszana O. Podała mi swoje różowe usteczka - i różowy bilecik. Oddarłem talon - i nie mogłem się oderwać od różowych ust aż do ostatniej chwili - 22.15.

Potem pokazywałem jej moje „notatki” i mówiłem - zdaje się, że bardzo dobrze - o pięknie kwadratu, sześcianu, prostej. Słuchała tak czarująco różowo - i naraz z niebieskich oczu łąza, druga, trzecia - prosto na otwartą stronę (s. 7). Atrament rozmazał się. No, i trzeba będzie przepisać.

- Δ, najmiłszy, gdybyście tylko - gdyby...

No, i co „gdyby”? Co za „gdyby”? Znowu jej stara śpiewka: dziecko. Czy może coś nowego - w sprawie... w sprawie tamtej? Chociaż to już chyba... Nie, to byłoby już nazbyt idiotyczne.

Notatka 5

Konspekt:

KWADRAT

WŁADCY ŚWIATA

FUNKCJA PRZYJEMNIE POŻYTECZNA

Znowu nie to. Znowu zwracam się do ciebie, mój nieznany czytelniku, tak jakbyś... No, dajmy na to, mojego starego kolegę, R-13, poetę, wargi ma murzyńskie - wszyscy przecież znają. Tymczasem wy - na Księżycu, na Wenus, na Marsie, na Merkury - kto was tam wie, coście za jedni.

Więc tak: wyobraźcie sobie - kwadrat, żywy, piękny kwadrat. Musi opowiedzieć o sobie, o swoim życiu. Rozumiecie - ostatnia rzecz, która przyszlaby kwadratowi do głowy, to opowiedzieć o tym, że ma równe wszystkie cztery kąty: on już tego po prostu nie dostrzega, tak dalece jest to dla niego sprawa zwykła, codzienna. Ja też właśnie przez cały czas jestem w takiej kwadratowej sytuacji. Weźmy chociażby różowe talony i wszystko, co się z nimi wiąże: dla mnie to równość czterech kątów, ale dla was być może jest to gorsze niż dwumian Newtona.

Więc tak. Któryś tam starożytny mędrzec, ma się rozumieć przypadkiem, powiedział raz coś mądrego: „Głód i miłość włada światem”. Ergo: żeby władać światem, człowiek musi narzucić swoje władanie władcom świata. Nasi przodkowie niemałym kosztem pokonali wreszcie Głód: mam na myśli Wielką Wojnę Dwustuletnią - wojnę między miastem a wsią. Zapewne powodowani religijnym zabobonem dzicy chrześcijanie z uporem trwali przy swoim chlebie*. Ale w roku 35 przed powstaniem Państwa - wynaleziono dzisiejsze nasze naftowe pożywienie. Co prawda przeżyły tylko 0,2 ludności kuli ziemskiej. Ale za to - oczyszczone z tysiącletniego brudu - jakże rozbłysło oblicze ziemi. I dzięki temu to zero całych dwie dziesiąte - zaznały rozkoszy przebywania w pałacach Państwa Jedynego.

Czy to nie jasne: rozkosz i zawiść to licznik i mianownik ułamka zwanego szczęściem. Jakież miałyby sens wszystkie niezliczone ofiary Wojny Dwustuletniej, gdyby w naszym życiu pozostał jeszcze jakikolwiek pretekst dla zawiści. Tymczasem pretekst taki pozostawał, bo pozostały nosy „jak guziki” i nosy „klasyczne” (tamta nasza rozmowa na

* Wyraz ten zachował się u nas tylko w postaci poetyckiej metafory: skład chemiczny tej substancji jest nieznany.

spacerze) - bo o miłość jednych zabiegało wielu, innych - nikt.

Naturalnie, odkąd jego władzy poddał się Głód (algebraiczny = sumie dóbr materialnych), Państwo przypuściło atak na drugiego władcę świata, mianowicie - Miłość. Nareszcie i ten żywioł został pokonany, czyli zorganizowany, zmatematyzowany. Około 300 lat temu ogłoszono nasze historyczne „Lex sexualis”: „Każdy numer ma prawo do każdego numeru jako produktu seksualnego”.

Dalej - to już sprawy techniczne. Przechodzicie skrupulatne badania w laboratoriach Urzędu Seksualnego, tam precyzyjnie określa się zawartość hormonów płciowych we krwi - opracowuje odpowiednią dla was Tabelę dni seksualnych. Po czym składacie oświadczenie, że w swoje dni pragniecie korzystać z numeru takiego a takiego (albo takich a takich) i otrzymujecie należny wam bloczek z talonami (różowy). I tyle.

Jasne: powodów do zawiści nie ma już żadnych, mianownik szczęścia sprowadzony został do zera - ułamek zmienia się we wspianą nieskończoność. To właśnie, co dla starożytnych stanowiło źródło niezliczonych kretyńskich tragedii - u nas sprowadzono do harmonijnej, przyjemnie pożytecznej funkcji organizmu, podobnie jak sen, pracę fizyczną, odżywianie się, defekację itd. Na tym przykładzie widzicie, jak wielka siła logiki oczyszcza wszystko, czegokolwiek dotknie. O, gdybyście wy, nieznani, poznali tę cudowną siłę, gdybyście wy także nauczyli się podążać za nią!

... Dziwne: pisałem dzisiaj o najwyższych wyżynach historii ludzkiej, cały czas oddychałem najczystszy górkim powietrzem myśli - a w środku jakoś tak chmurnie, pajęczynowo i na krzyż: jakiś taki czworolapy iks. Może to - moje łapy i wszystko przez to, że długo miałem je przed oczami - moje włochate łapy. Nie lubię o nich mówić - i ich samych nie lubię: to relikty dzikiej epoki. Czyżby rzeczywiście we mnie –

Chciałem to wszystko wykreślić - wykracza poza ramy konspektu. Potem jednak zdecydowałem: nie wykreślę. Niech moje notatki - jak najczulszy sejsmograf - wyznaczą krzywą nawet najnieznaczniejszych drgań mózgu: przecież niekiedy takie drgania zapowiadają - -

A to już absurd, to już by rzeczywiście należało wykreślić: wszystkim żywiołom wytyczyliśmy koryta - nie może być żadnych katastrof.

Jest dla mnie teraz całkiem jasne: dziwne uczucie - ciągle przez tę moją kwadratową sytuację, o której mówiłem na wstępie. Nie we mnie iks (to niemożliwe) - po prostu boję się, że jakiś taki iks pozostanie w was, moi nieznani czytelnicy. Wierzę jednak - nie będziecie mnie sądzić zbyt surowo. Wierzę - zrozumiecie, że pisać mi tak trudno, jak nigdy żadnemu autorowi na przestrzeni ludzkich dziejów: jedni pisali dla współczesnych, inni - dla

potomnych, ale nikt nigdy nie pisał dla przodków, ani dla istot podobnych do owych dzikich, dalekich przodków...

Notatka 6

Konspekt:

ZDARZENIE

PRZEKŁĘTE „JASNE”

24 GODZINY

Powtarzam: uznałem za swój obowiązek pisać nie skrywając niczego. Dlatego, acz ze smutkiem, muszę tu odnotować, że nawet u nas proces petryfikacji, krystalizacji życia widocznie jeszcze się nie zakończył, od ideału - dzieli nas jeszcze kilka szczebli. Ideał (to jasne) - tam, gdzie już nic się nie zdarza, a u nas... No, proszę: w „Gazecie Państwowej” czytam dzisiaj, że na Placu Sześcianu za dwa dni odbędzie się Święto Sprawiedliwości. Pewnie znowu któryś numer zakłócił pracę wielkiej Maszyny Państwa, znowu zdarzyło się coś nieprzewidzianego, nieskalkulowanego.

Poza tym - coś się zdarzyło ze mną. Co prawda, stało się to w Godzinie Osobistej, czyli w czasie specjalnie przeznaczonym na nieprzewidziane okoliczności, ale jednak...

Około 16 (ściśle za dziesięć 16) byłem w domu. Nagle - telefon:

- Δ-503? - głos kobiecy.

- Tak.

- Jesteście wolni ?

- Tak.

- To ja. I-330. Zaraz wpadnę po was i polecimy do Domu Starożytności. Zgoda?

- I-330... Ta I drażni mnie, odpycha, prawie się jej boję. Ale właśnie dlatego powiedziałem: tak.

W pięć minut później siedzieliśmy już w aero. Niebieska majowa majolika nieba - i lekkie słońce - w swoim złotym aero brzęczy nad nami, nie wyprzedzając nas i nie zostając w tyle. Tam, przed nami bieleje jednak bielmem obłok, idiotyczny, pulchny - jak policzki starodawnego „kupidynka” - to jakoś przeszkadza. Przednia szyba podniesiona, wiatr wysusza wargi - mimo woli co chwila przesuwam się po nich językiem i cały czas myślę o nich.

Widać już z daleka mętnie zielone plamy - tam, za Murem. Potem lekki, mimowolny skurcz serca - w dół, w dół, w dół - jak ze stromej góry - i oto stoimy przed Domem Starożytności.

Cała ta dziwna, krucha, ślepa budowla ujęta jest z zewnątrz w szklaną skorupę: w przeciwnym razie dawno by się już rozsypała. Przy szklanych drzwiach - staruszka, cała pomarszczona - zwłaszcza usta: same zmarszczki, fałdki, wargi już zapadłe do środka, usta jakoś tak zarosły - niepodobieństwo, żeby przemówiła. A jednak się odezwała.

- Co, mili moi, przyszłście obejrzeć mój domek? - zmarszczki zajaśniały (czyli zapewne ułożyły się promieniście, co właśnie stworzyło pozór „jaśnienia”).

- Tak, babciu, znów miałam ochotę - odpowiedziała jej I. Zmarszczki promieniały:

- Ale słońce, prawda? No, co, co? Ach, psotnica, psotnica! Wie-em, wiem! No, dobrze: idźcie sami, a ja już lepiej tutaj, na słońcu...

Hm... Pewnie moja towarzyszka bywa tu częstym gościem. Mam ochotę coś z siebie strząsnąć - przeszkadza: pewnie ciągle to samo nieodstępne wrażenie wzrokowe: chmura na gładkiej niebieskiej majolice.

Wchodząc po szerokich, ciemnych schodach I powiedziała:

- Lubię ją - tę staruszkę.

- Za co?

- A nie wiem. Może - za jej usta. A może - za nic. Tak po prostu.

Wzruszyłem ramionami. Uśmiechając się leciutko, a może nawet wcale się nie uśmiechając ciągnęła:

- Bardzo się wstydzę. To jasne, że powinno się „lubić - dlatego - że”, a nie „lubić - tak - po - prostu”. Wszystkie żywioły muszą być...

- Jasne... - zacząłem - w tym momencie przyłapałem się na tym słowie i ukradkiem zerknąłem na I: zauważyła czy nie?

Patrzyła gdzieś w dół; oczy miała spuszczone - jak zasłony.

Przypomniało mi się: kiedy wieczorem, koło 22, przechodzi się aleją, pośród jasno oświetlonych, przezroczystych komórek - ciemne, z opuszczonymi zasłonami, a tam, za zasłonami - A co się kryje u niej, tam, za zasłonami? Po co dziś zadzwoniła, po co to wszystko?

Otworzyłem ciężkie, skrzypiące, nieprzejrzyste drzwi - znaleźliśmy się w mrocznym, chaotycznym pomieszczeniu (to się u nich nazywało „mieszkanem”). Tenże sam dziwny „królewski” instrument - i dzika, niezorganizowana, obłąkańcza - jak ówczesna muzyka - pstrokaczna barw i form. W górze - biała płaszczyzna; ściany ciemnoniebieskie; starożytne książki w czerwonych, zielonych, pomarańczowych oprawach; żółty brąz - kandelabry, posążek Buddy; epileptycznie skręcone, nie mieszczące się w żadnych równaniach - linie mebli.

Z trudem znosiłem ten chaos. Moja towarzyszka miała widocznie organizm bardziej odporny.

- To moje ulubione - nagle jakby się połapała - kąśliwy uśmiech, białe ostre zęby. - Właściwie to najdziwaczniejsze ze wszystkich ich „mieszkań”.

- A jeszcze właściwiej: państw - sprostowałem. - Tysiące mikroskopijnych, nieustannie zwaśnionych państw, bezlitosnych jak...

- No, tak, jasne - chyba bardzo poważnie przytaknęła I. Przeszliśmy przez pokój, w którym stały małe łóżeczka dziecinne (dzieci w owej epoce również stanowiły własność prywatną). I znowu - pokoje, lśnienie luster, ponure szafy, nieznośna pstrokaczna kanap, olbrzymi „kominek”, wielkie mahoniowe łóżko. Nasze dzisiejsze szkło - piękne, przejrzyste, wieczne - istniało tu jedynie w postaci żaloznych, kruchych okien - prostokątów.

- Pomyśleć tylko: tutaj ludzie kochali „tak po prostu”, cierpieli, męczyli się... (znowu opadły zasłony oczu). - Jak można było tak niedorzecznie, nieopatrznie tracić energię - prawda?

Mówiła jak gdyby z głębi mnie samego, wypowiadała moje myśli. W uśmiechu jej przez cały czas tkwił jednak ten drażniący iks. Tam, za zasłonami, działo się w niej coś - nie wiem, co - co wyprowadzało mnie z równowagi; miałem ochotę kłócić się z nią, krzyczeć na nią (właśnie tak), ale musiałem potakiwać - trudno się było nie zgodzić.

Zatrzymaliśmy się przed lustrem. W owej chwili widziałem tylko jej oczy. Przyszło mi na myśl: przecież budowa człowieka jest równie dziko barbarzyńska jak to tutaj idiotyczne „mieszkanie” - ludzkie głowy są nieprzejrzyste, mają tylko małe okienka: oczy. Jakby odgadła - odwróciła się. „Proszę, oto moje oczy. I co?” (To, oczywiście, bez słów).

Przedemną - dwa straszne w swej ciemności okna, a w środku - nieznanne, obce życie. Widziałem tylko ogień - płonie tam jakiś własny „kominek”, są jakieś postacie podobne do...

To, rzecz jasna, było naturalne: zobaczyłem tam własne odbicie. Ale co było nienaturalne i niepodobne do mnie (widocznie był to męczący wpływ otoczenia) - namacalnie odczułem lęk, poczułem się schwytany, uwięziony w tej barbarzyńskiej klatce, poczułem, że wciąga mnie szaleńczy wir starego życia.

- Wiecie co - odezwała się I - wyjdźcie na chwilę do sąsiedniego pokoju. - Głos jej dobiegał stamtąd, z wnętrza, zza ciemnych okien oczu, gdzie paliło się w kominku.

Wyszedłem, usiadłem. Z konsoli na ścianie ledwie dostrzegalnie uśmiechała się asymetryczna, perkatonosa fizys któregoś ze starożytnych poetów, bodajże Puszkina. Po cóż ja tu siedzę - i z pokorą znoszę ten uśmiech, i po co to wszystko: co tu po mnie - skąd ta idiotyczna sytuacja? Ta drażniąca, odpychająca kobieta, dziwna zabawa...

Tam - stuknęły drzwi szafy, szeleścił jedwab, z trudem powstrzymywałem się, żeby nie pójść tam i - - dokładnie nie pamiętam, prawdopodobnie miałem ochotę powiedzieć, co o niej myślę.

Ale ona już weszła. Miała na sobie krótką, dawnego kroju jasnożółtą suknię, czarny kapelusz, czarne pończochy. Suknia z lekkiego jedwabiu - widziałem wyraźnie: pończochy bardzo długie, wysoko za kolana - odkryta szyja, cień między...

- Słuchajcie-no, jasne, pozujecie na oryginalność...

- Jasne - przerwała I - oryginalność jakoś odróżnia od reszty. Co za tym idzie - oryginalność narusza równość... A to, co w idiotycznym języku starożytnych określano mianem „banalności”, u nas znaczy jedynie: powinność. Albowiem...

- Tak, tak, tak! Właśnie - nie wytrzymałem. - I nie macie po co, nie macie po co...

Podeszła do statuetki perkatonosego poety i kryjąc zasłoną dziki ogień oczu - tam w środku, za swoimi oknami - powiedziała, tym razem, zdaje się, zupełnie serio (może chciała mnie ułagodzić) - powiedziała coś bardzo mądrego:

- Czy was nie dziwi, że ludzie kiedyś znosili takich, jak ten? Mało tego, nie tylko znosili - wielbili ich. Co za niewolnicza mentalność! Prawda?

- Jasne... To znaczy, chciałem... (to przekłete „jasne”!).

- Tak, rozumiem. Ale przecież w istocie to byli władcy silniejsi od tych ich koronowanych. Dlaczego ich nie izolowano, nie tępiono? U nas...

- Tak, u nas - zacząłem. A ona - nagle się roześmiała. Ten śmiech po prostu stał mi w oczach: krzywa tego śmiechu - dźwięczna, kręta, giętko-sprężysta jak pejcz.

Pamiętam - cały drżałem. No - złapać ją i - sam już nie wiem, co... Trzeba było coś zrobić - wszystko jedno co. Machinalnie otworzyłem swoją złotą blaszkę, spojrzałem na zegarek. 16.50.

- Nie sądzicie, że czas już na nas? - zapytałem, jak mogłem najuprzejmiej.

- A gdybym poprosiła, żebyście tu ze mną zostali?

- Słuchajcie-no... zdajecie sobie sprawę, co mówicie? Za dziesięć minut mam obowiązek być w audytorium...

- I wszystkie numery obowiązane są przejść regulaminowy kurs sztuki i nauk ogólnych... - moim tonem dokończyła I. Potem odsunęła zasłony - podniosła oczy: za ciemnymi oknami - płonął ogień. - Znam pewnego lekarza w Urzędzie Medycyny - jest zapisany na mnie. Jeżeli poproszę - wyda nam zaświadczenia, że zachorowaliśmy. Więc?

Zrozumiałem. Nareszcie zrozumiałem, do czego zmierzała cała ta zabawa.

- Ach, tak! A wiecie, że jako uczciwy numer powinienem właściwie zaraz pójść do

Urzędu Opiekunów?...

- A niewłaściwie? - (ostrzy uśmiech-ukąszenie). - Bardzo mnie to interesuje: pójście do Urzędu, czy nie?

- Zostajecie? - położyłem rękę na klamce. Klamka była mosiężna - słyszałem: mój głos brzmiał równie mosiężnie.

- Chwileczkę... Dobrze?

Podeszła do telefonu. Wymieniła jakiś numer - byłem tak zdenerwowany, że go nie zapamiętałem - i zawołała:

- Czekam na was w Domu Starożytności. Tak, tak, sama... Nacisnąłem zimną mosiężną klamkę:

- Pozwolicie, że wezmę aero?

- Ależ oczywiście! Proszę...

Tam, na słońcu, u wyjścia - jak roślina drzemała stara. Znowu mnie zdziwiło, że przemówiła, rozwarła zrośnięte usta.

- A ta wasza - co, sama tam została?

- Sama.

Usta starej zarosły na powrót. Pokręciła głową. Widocznie nawet jej rozmiękły mózg rozumiał, jak idiotycznie i ryzykownie prowadzi się ta kobieta.

O 17.00 byłem na prelekcji. Właśnie wtedy pojąłem, że powiedziałem starej nieprawdę: I nie była tam teraz sama. Może właśnie to - że mimo woli oszukałem staruszkę - tak mnie męczyło i przeszkadzało słuchać. Tak, nie sama: o to chodzi.

Po 21.30 miałem wolną godzinę. Można by już dzisiaj pójść do Urzędu Opieki - złożyć doniesienie. Ale tak mnie zmęczyła ta głupia historia. A poza tym - prawny termin składania doniesień - to dwie doby. Zdążę jutro: jeszcze pełne 24 godziny.

Notatka 7

Konspekt:

RZĘSA W OKU

TAYLOR

LULEK I KONWALIA

Noc. Zieleń, oranż, błękit; czerwony królewski instrument; suknia żółta jak pomarańcza. Potem - Budda z brązu; nagle podniósł brązowe powieki - i pociekł sok: z Buddy. I z żółtej sukni - sok, i na lustrze krople soku, i wielkie łóżko ocieka sokiem, i łóżeczka dziecięce, i już ja sam - i jakaś śmiertelna słodka groza...

Ocknąłem się: równomierne błękitnawe światło; ściany lśnią szkłem, szklane fotele; stół. To uspokoiło, serce przestało walić. Sok, Budda... Co za absurd? Jasne: jestem chory. Dawniej nigdy nie miałem snów. Podobno dla starożytnych sny były najzwyklejszą, najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. No, tak; przecież całe ich życie to była - taka właśnie straszna karuzela: Zieleń - oranż - Budda - sok. My jednak wiemy, że sny - to poważna choroba psychiczna. Ja też wiem: do tej pory mój mózg był chronometrycznie precyzyjnym, lśniącym od czystości - bez najmniejszego pyłku - mechanizmem, a teraz... Tak, teraz właśnie czuję tam, w mózgu, jakieś ciało obce - jakby cieniutki włos, rzęsę w oku; człowiek polega na sobie - a tu o tym oku z rzęsą ani rusz nie da się zapomnieć...

Dziarski, kryształowy dzwonek u wezłowania: 7, wstawać. Po prawej i po lewej, za szklanymi ścianami - jakbym oglądał siebie samego, swój pokój, swoje ubranie, swoje ruchy - powtórzone po tysięckroć. Człowiek czuje się cząstką czegoś ogromnego, potężnego, najwyższej jedności: to dodaje otuchy. Jakie piękno precyzji: ani jednego zbędnego gestu, pochylenia, zwrotu.

Tak, ten Taylor był niewątpliwie największym geniuszem starożytności. Nie wpadł co prawda na pomysł, żeby swoją metodę rozszerzyć na całe życie ludzkie, na każdy krok, na okrągłą dobę - nie potrafił scałkować swojego systemu od godziny do 24 godzin. Mimo wszystko jednak - jak można było wypisywać całe biblioteki o jakimś tam Kancie - i prawie nie dostrzegać Taylora - tego proroka, który potrafił przewidzieć dziesięciowiekową przyszłość.

Śniadanie skończone. Zgodnie odśpiewano Hymn Państwa Jedyne.

Zgodnie, czwórkami - do wind. Z ledwie dosłyszalnym brzęczeniem silników - w dół, w dół, w dół - lekki skurcz serca...

I tutaj znów nie wiedzieć skąd ten nedorzeczny sen - albo jakaś ukryta jego funkcja. Ach, tak, wczoraj to samo w aero - opadanie. Zresztą to wszystko skończone: kropka. Bardzo dobrze, że postąpiłem z nią tak ostro i zdecydowanie.

Pędziłem wagonem kolei podziemnej w stronę pochylni, na której jarzyło się w słońcu jeszcze nieruchome, jeszcze nie natchnione ognistym życiem, wytworne ciało *Integralu*. Marzyłem formułami, oczy miałem zamknięte: raz jeszcze obliczałem w myślach prędkość początkową, konieczną, aby *Integral* oderwał się od ziemi. W każdym atomie sekundy - masa *Integralu* ulega zmianie (spala się paliwo detonacyjne). Równanie wychodziło bardzo skomplikowane, z wielkościami niewymiernymi.

Jak we śnie: tutaj, w niewzruszonym świecie liczb - ktoś usiadł przy mnie, ktoś potrzącił mnie lekko, powiedział „przepraszam”.

Uchyliłem powiek - i najpierw (skojarzenie z *Integralem*) coś pędzącego w przestrzeń: głowa - pędzi, bo po bokach - rozczapierzone różowe skrzydła-uszy. A potem krzywa obwisłego karku - zgarbione plecy - dwuwygięte - litera S...

Przez szklane ściany mojego algebraicznego świata - znowu rzęsa w oku - coś nieprzyjemnego, co powinienem dzisiaj - -

- Proszę bardzo, proszę, nic nie szkodzi - uśmiechnąłem się do sąsiada, wymieniliśmy ukłony. Błysnęła jego blaszka: S-4711 (zrozumiałem, dlaczego od pierwszej chwili kojarzył mi się z literą S: nie zarejestrowane przez świadomość wrażenie wzrokowe). Błysnęły oczy - dwa ostre świderki, obracając się szybko wwierały się coraz głębiej - lada moment wkręcą się do samego dna, dojrzą to, co nawet przed sobą samym...

Naraz cała ta historia z rzęsą stała się dla mnie zupełnie jasna: - to jeden z nich, z Opiekunów, i najprościej będzie bez zwłoki zaraz mu o wszystkim opowiedzieć.

- Widzicie, wczoraj byłem w Domu Starożytności - głos miałem dziwny, spłaszczony, płytki - próbowałem odchrząknąć.

- No, cóż, to świetnie. To pozwala wyciągnąć bardzo interesujące wnioski.

- Ale, rozumiecie, nie byłem sam, byłem z numerem I-330 i właśnie...

- I-330? Gratuluję. Bardzo interesująca, utalentowana kobieta. Ma wielu wielbicieli.

... Ale przecież on także - wtedy na spacerze - może też jest na nią zapisany? Nie, z nim nie można, nie sposób - o tym: to jasne.

- Tak, tak! No, jakże! Bardzo - uśmiechałem się coraz szerzej, coraz idiotyczniej - i czułem: przez ten uśmiech - robię się goły, głupi...

Świderki dotarły do dna, potem, obracając się szybko - wkręciły się na powrót w oczy; S - uśmiechnął się dwuwygięciem, skinał mi głową, przesunął się do wyjścia.

Zasłoniłem się gazetą (wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą) - wkrótce zapomniałem o rzęsie w oku, o świderkach, o wszystkim: do tego stopnia wzburzyło mnie to, co przeczytałem. Jedna krótka linijka: „Jak podają źródła poinformowane - znowu natrafiono na trop nie wykrytej dotychczas organizacji, która stawia sobie za cel wyzwolenie spod dobroczynnego jarzma Państwa Jedynego”.

„Wyzwolenie”? Zdumiewające: jak żywotne są w obrębie gatunku ludzkiego zbrodnicze instynkty. Świadomie powiadam: „zbrodnicze”. Wolność i zbrodnia związane są ze sobą jak... powiedzmy: jak ruch aero z jego prędkością: prędkość aero = O - wówczas się nie porusza; wolność człowieka = O - wówczas nie popełnia zbrodni. To jasne. Jedyne sposób, by uwolnić człowieka od zbrodni, to uwolnić go od wolności. Ledwie zdążyliśmy się od tego uwolnić (w kosmicznej skali wieku - to, rzecz jasna, „ledwie”), a już jakieś żalosne niedouczeni...

Nie, nie rozumiem: dlaczego zaraz wczoraj nie poszedłem do Opieki. Dzisiaj po 16 - pójdę tam bez chwili zwłoki...

O 16.10 wyszedłem na ulicę - i zaraz na rogu zobaczyłem O - pełną różowego zachwyty na mój widok. „Ona na przykład ma prosty, krągły umysł. Bardzo dobrze: zrozumie mnie i wesprze...”. Co do wspierania - to zresztą przesada: jestem w pełni zdecydowany, nikt mnie nie musi wspierać.

Kotły Wytwórni Muzycznej grzmiały zgodnym Marszem - ciągle tym samym, codziennym Marszem. Jakież niewytłumaczalny urok ma ta codzienność, powtarzalność, ten lustrzany świat.

O złapała mnie za rękę.

- Na spacer? - okrągłe niebieskie oczy szeroko przede mną otwarte - niebieskie okna do wnętrza - przenikam do wnętrza o nic nie zważając: w środku nie ma nic - to znaczy nic obcego, zbytecznego.

- Nie, nie na spacer. Muszę - powiedzieć jej, dokąd. Ku swojemu zdumieniu zobaczyłem: różowy krąg ust - złożył się w różowy półksiężyc, różkami w dół - jak od czegoś kwaśnego. Wybuchnąłem.

- Zdaje się, że wy, numery żeńskie, jesteście nieuleczalnie zzarte przez przesady. Jesteście absolutnie niezdolne do myślenia abstrakcyjnego. Przepraszam - ale to po prostu tępota.

- Wy... idziecie do szpicłów... fe! A ja dla was zdobyłam w Ogrodzie Botanicznym

jeden pęd konwalii...

- Dlaczego: „A ja” - dlaczego to „A”? To jest właśnie kobieta - z gniewem (co prawda, to prawda) złapałem te jej konwalie. - I co te wasze konwalie, co? Wąchajcie sobie: piękne, tak? Miejcie chociaż tyle logiki. Tak: konwalie pięknie pachną. Ależ przecież o zapachu, o samym pojęciu zapachu, nie możecie powiedzieć - że jest dobry albo zły? Nie możecie, no! Jest zapach konwalii i jest wstrętny zapach lulka czarnego: i to, i tamto pachnie. Miały szpicłów państwa starożytne - i ma ich nasze państwo... tak, szpicłów. Nie boję się słów. To przecież jasne - tam szpicel to lulek, tutaj szpicel - to konwalia. Tak, tak, konwalia!

Różowy półksiężyc drżał. Teraz rozumiem: to mi się tylko wydawało, ale wtedy byłem pewien, że ona się roześmieje.

Krzyknąłem jeszcze głośniej:

- Tak, konwalia! I nie ma w tym nic śmiesznego, nic śmiesznego!

Okrągłe, gładkie kule głów przepływały obok nas, odwracały się. O łagodnie wzięła mnie za rękę:

- Jesteście dzisiaj... Nie jesteście chorzy?

Sen-zółtość-Budda... W tej chwili stało się dla mnie jasne: muszę pójść do Urzędu Medycyny.

- Tak, rzeczywiście, jestem chory - powiedziałem z wielką uciechą w głosie (zupełnie niepojęta sprzeczność - z czego tu się cieszyć?).

- No, to trzeba zaraz pójść do lekarza. Przecież rozumiecie: zdrowie jest waszym obowiązkiem. To śmieszne, że bym musiała was o tym przekonywać.

- O, miła moja, oczywiście macie rację! Absolutną rację! Nie poszedłem do Urzędu Opieki: cóż począć, trzeba się było wybrać do Medycznego; tam mnie przetrzymano do 17.

A wieczorem (zresztą wszystko jedno - wieczorem tam już było zamknięte) - wieczorem przysła do mnie O. Zaslony nie były spuszczone. Rozwiązywaliśmy zadania ze starego zbioru: to bardzo uspokaja i pozwala uporządkować myśli. O-90 siedziała nad zeszytem, z głową przechyloną na lewe ramię, z pilności wypychając językiem lewy policzek... Było to takie dziecinne, takie czarujące! A we mnie wszystko takie piękne, precyzyjne, proste...

Poszła sobie. Byłem sam. Dwa razy głęboko westchnąłem (bardzo zdrowo - przed snem). Aż tu nagle jakiś nieprzewidziany zapach - i coś bardzo nieprzyjemnego dla mnie... Wkrótce znalazłem: pod kołdrą był schowany pęd konwalii. Od razu wszystko zawirowało, podniosło się z dna. No, to już był po prostu nietakt z jej strony - podrzucić mi te konwalie. No tak, nie poszedłem: tak. Ale przecież nie moja wina, że jestem chory.

Notatka 8

Konspekt:

PIERWIASTEK IRRACJONALNY

R-13

TRÓJKĄT

Jakże to dawno, w latach szkolnych - przytrafił mi się wtedy $\sqrt{-1}$. Pamiętam wyraźnie, ostro: jasna, sferyczna sala, setki okrągłych głów chłopięcych - i Papla, nasz matematyk. Przewaliśmy go Paplą: był już nieźle zużyty, rozchwierutany, kiedy więc dyżurny od tyłu podłączał go do prądu, z głośnika zawsze najpierw: „Pla-pla-pla-tszysz”, a dopiero potem lekcja. Pewnego razu Papla opowiadał o liczbach urojonych - pamiętam, że płakałem, waliłem pięściami w stół, wrzeszcząc: „Nie chcę $\sqrt{-1}$! Wyciągnijcie ze mnie $\sqrt{-1}$!”. Ten irracjonalny pierwiastek tkwił we mnie jak jakieś obce, odmienne, straszne ciało, pożerał mnie - nie dawał się zinterpretować, unieszkodliwić, istniał bowiem poza sferą ratio.

A teraz znowu $\sqrt{-1}$. Przejrzałem swoje notatki. Wszystko jest jasne: próbowałem sam siebie oszukać, kłamałem sobie - byle nie zauważać $\sqrt{-1}$. To wszystko bzdury - choroba itd.: mogłem tam pójść: tydzień temu - wiem o tym, poszedłbym bez namysłu. Dlaczego więc teraz... Dlaczego?

Dziś na przykład. Punktualnie o 16.10 - stałem przed rozjarzoną szklaną ścianą. Nade mną - złota, słoneczna, przezysta aureola liter na szyldzie Urzędu. W głębi za szybami długa kolejka błękitnawych junif. Twarze - jak płomyki świec w starożytnej świątyni: wszyscy tu przyszli, aby złożyć na ołtarzu Państwa Jedyne go swych ukochanych, przyjaciół - siebie. A ja - ciągnęło mnie do nich, razem z nimi. I ani rusz: nogi osadzone głęboko w szklanych płytach - stałem, gapilem się tępo, nie miałem siły się ruszyć...

- Hej, matematyku, o czym marzysz!

Drgnąłem. Przede mną - czarne, lakierowane śmiechem oczy, grube, murzyńskie wargi. Poeta R-13, stary kumpel - a z nim różowa O.

Odwrociłem się gniewnie (sądzę, że gdyby mi nie przeszkodzili, w końcu wydarłbym z siebie z mięsem $\sqrt{-1}$, wszedłbym do Urzędu).

- Jeśli łaska, nie marzę, ale się napawam - powiedziałem dosyć szorstko.

- Dobra, dobra! Wy, kochasiu, powinniście być nie matematykiem, ale poetą, tak! A

może byście przeszli do nas - do Poetów, co? Chcecie - raz-dwa to załatwię?

R-13 mówi zachłystując się, słowa z niego tryskają, z grubych warg - bryzgi: każde „p” - gejzer, „poeci” - gejzer.

- Służyłem i będę służył wiedzy - zmarszczyłem brwi: nie lubię żartów i nie znam się na nich, a ten R-13 ma do nich głupie skłonności.

- Co tam: wiedza! Cała wasza wiedza to - tchórzostwo. Na pewno, nie ma dwóch zdań. Po prostu chcielibyście otoczyć murem nieskończoność, a za mur już się boicie wyrzeć. Tak! Zajrzycie - i oczy zamykacie. Tak!

- Mur - to fundament wszelkiego ludzkiego... - zacząłem. R - trysnął gejzerem, O - śmiała się okrągło, różowo. Machnąłem ręką: śmiejcie się, pal sześć. Co innego miałem na głowie. Musiałem czymś zagryźć, zagłuszyć ten przeklęty $\sqrt{-1}$.

- Wiecie co - zaproponowałem - chodźcie, posiedzimy sobie u mnie, porozwiązujemy zadanka (przypomniała mi się wczorajsza godzina spokoju - może i dzisiaj się tak uda).

O zerknęła na R, jasno, okrągło spojrzała na mnie, policzki jej leciutko zaróżowiły się delikatną, wzruszającą barwą naszych talonów.

- Ale ja dzisiaj... Mam dzisiaj - talon na niego - skinęła głową w stronę R - a wieczorem on nie ma czasu... Tak, że...

Mokre, lakierowane wargi chlapnęły dobrodusznie:

- Ależ to głupstwo: dla nas dwojga starczy pół godzinki. Prawda, O? Wasze zadanka - to nie dla mnie, ale po prostu - chodźmy do mnie, posiedzimy.

Strach mnie brał, że zostawią mnie samemu sobie na pastwę, sobie samemu - czy właściwie temu nowemu, obcemu, który tylko przez dziwny przypadek nosił mój numer - $\Delta-503$. Poszedłem do niego, do R. Co prawda, daleko mu do precyzji, do rytmiczności, *rzędzi* się jakąś powykręcaną prześmiewczą logiką, ale w końcu - jesteśmy kumplami. Przecież nie bez kozery trzy lata temu wybraliśmy razem tę miłą, różową O. Zbliżyło nas to bardziej nawet niż lata szkolne.

Potem - w pokoju R. Wszystko na pozór tak samo jak u mnie: Dekalog, szkło foteli, stołu, szafy, łóżka. Ale R zaraz po wejściu popchnął jeden, drugi fotel - płaszczyzny się przesunęły, wszystko wypadło z ustalonego gabarytu, zrobiło się jakoś nieeuklidesowo. R - taki sam, zawsze taki sam! Z Taylora i z matematyki - zawsze był na szarym końcu.

Wspominaliśmy sobie starego Papłę: jak to, bywało, chłopaki, nieraz całe jego szklane nogi oklejaliśmy karteczkami z podziękowaniem (bardzo lubiliśmy Papłę). Wspominaliśmy też sobie Katechetę*. Nasz Katecheta miał niezwykle donośny głos - aż wiatr wiał z głośnika -

* Mowa oczywiście nie o katechizmie „Zakonu Bożego” starożytnych, ale o prawie Państwa Jedynego.

a my, dzieci, na całe gardło wyrzaskiwaliśmy za nim teksty. I jak ten kopnięty R-13 napchał mu kiedyś do tuby przeżutego papieru: każdy tekst - to wystrzał przeżutym papierem. R, oczywiście, ukarano; to, co zrobił, było oczywiście - obrzydliwe, ale teraz zaśmiewaliśmy się - cały nasz trójkąt - przyznam się, że ja również.

- A co by to było, gdyby on był żywy, jak u starożytnych? To by dopiero było - „b” - gejzer z grubych, chlapiących warg...

Słońce - przez sufit, przez ściany; słońce z góry, z boków, odbite - od dołu. O - na kolanach R-13, malutkie kropelki słońca w jej niebieskich oczach. Odtajałem jakoś przy nich, doszedłem do siebie. $\sqrt{-1}$ zabił się, ani drgnął...

- No, a co tam z waszym *Integrale*? Wkrótce polecimy oświecać mieszkańców innych planet? Zasuwasz, zasuwasz! Bo my, poeci, tyle wam powypisujemy, że nawet wasz *Integral* nie uradzi. Codziennie od 8 do 11 - R szarpnął głowę, poskrobał się w potylicę: potylicę ma jak jakiś kwadratowy kuferek przytroczony z tyłu głowy (przypomniał mi się stary obraz - *W karecie*).

Ożywiłem się:

- A, to wy też piszecie dla *Integralu*? A możecie powiedzieć, o czym? Chociażby dzisiaj - o czym?

- Dzisiaj - o niczym. Byłem zajęty czym innym - „b” bryznęło wprost we mnie.

- Czym innym?

R zmarszczył brwi:

- Czym, czym! Jak koniecznie chcecie wiedzieć - to wyrokiem. Poetyzowałem wyrok. Idiota jeden od nas, z poetów... Dwa lata przesiedział koło mnie, jakby nigdy nic. Aż tu nagle - masz tobie: „Jestem - mówi - geniuszem, geniusz - jest ponad prawem”. Nagadał tyle... co było zrobić... Ech!

Grube wargi obwisły, zmatowiał lakier oczu. R-13 zerwał się na równe nogi, odwrócił, zapatrzył się gdzieś przez ścianę. Gapiłem się na jego szczelnie zamknięty kuferek, kombinując - co on tam teraz tak przetrząsa - w tym swoim kufierku?

Chwila niezręcznego, asymetrycznego milczenia. Było dla mnie niejasne, w czym sęk, ale o coś tu chodziło.

- Na szczęście minęły przedpotopowe czasy wszystkich tam Szekspirów i Dostojewskich - powiedziałem umyślnie głośno.

R odwrócił się twarzą do nas. Słowa jak przedtem chlapały, tryskały z niego, ale wydało mi się, że oczy nie błyszczą już wesołym lakierem.

- Tak, kochasiu, matematyku, na szczęście, na szczęście! Jesteśmy najszczęśliwsze w

świecie średnie arytmetyczne... Jak to się u was mówi - scałkować od zera do nieskończoności - od imbecyla do Szekspira... Tak!

Nie wiem czemu - właściwie ni w pięć, ni w dziewięć - przypomniała mi się tamta, jej ton, jakaś cieniutka nić łączyła ją i R (Jaka?). $\sqrt{-1}$ znowu się poruszył. Otworzyłem swoją blachę: 16.25. Zostało im 45 minut na różowy talon.

- No, na mnie czas - pocałowałem O, uściśnąłem rękę R, poszedłem do windy.

Na ulicy, już po drugiej stronie, obejrzałem się: w jasnej, na wskroś prześwietlonej słońcem bryle budynku - tu, tam tkwiły błękitnoszare, nieprzejrzyste klatki opuszczonych zasłon - komórki rytmicznego, stayloryzowanego szczęścia. Na szóstym piętrze odszukałem oczyma komórkę R-13: spuścił już zasłony.

Miła O... Miły R... W nim również (nie wiem, dlaczego „również”, ale niech zostanie, jak się napisało), siedzi coś, co niezupełnie jest dla mnie jasne. Tak czy owak, ja, on i O - tworzymy trójkąt, może nawet nierównoboczny - ale zawsze trójkąt. Gdybyśmy mieli się wyrażać językiem naszych przodków (być może język taki jest zrozumialszy dla was, moi planetarni czytelnicy), tworzymy rodzinę. Dobrze jest czasem chociaż przez chwilę odpocząć, odgrodzić się zwyczajnym, mocnym trójkątem od wszystkiego, co...

Notatka 9

Konspekt:

LITURGIA

JAMBY I TROCHEJE

ŻELAZNA RĘKA

Dzień podniosły, słoneczny. W takie dni zapomina się o własnych słabostkach, niedoskonałościach, chorobach - wszystko jest niewzruszenie kryształowe, wieczne - jak to nasze, to nowe szkło...

Plac Sześcianu. Sześćdziesiąt sześć potężnych koncentrycznych kręgów: trybuny. I sześćdziesiąt sześć rzędów: spokojne świeczniki twarzy, oczy, w których odzwierciedla się niebiańska jasność - czy też może jasność Państwa Jedynego. Kwiaty purpurowe jak krew - wargi kobiet. Wiotkie girlandy twarzących dziecięcych - w pierwszych rzędach, w pobliżu sceny. Głęboka, surowa, gotycka cisza.

Zachowane do naszych czasów opisy wskazują, że coś podobnego odczuwali starożytni podczas swoich „nabożeństw”. Ich nabożeństwa odprawiano jednak ku czci nedorzecznego, nieznanego Boga, nasze - ku czci dorzecznego i najściślej znanego; ich Bóg dał im jedynie wieczne męczeńskie rozterki; ich Bóg wymyślił, by składano mu ofiary z siebie, nie wiedzieć na co i po co - na nic mądrzejszego nie było go stać: my natomiast składamy siebie w ofierze na ołtarzu naszego Boga Jedynego: Państwa - w ofierze rozważnej, przemyślanej i rozumnej. Tak, to było właśnie uroczyste nabożeństwo na intencję Państwa Jedynego, przypomnienie krzyżowych dni - lat Wojny Dwustuletniej, majestatyczne święto zwycięstwa wszystkich nad jednym, sumy nad jednostką...

Oto jeden - stał na stopniach rozświetlonego słońcem Sześcianu. Biała... nawet nie - nie biała, ale już bezbarwna - szklana twarz, szklane wargi. Jedynie oczy, czarne, żarłoczne, chłonne czeluście i ów straszny świat, od którego dzieliło go zaledwie kilka chwil. Złota blaszka z numerem - już zdjęta. Ręce związane purpurową szarfą (dawny obyczaj: chodzi zapewne o to, że w starożytności, kiedy to nie w imieniu Państwa Jedynego dokonywano tego wszystkiego, skazańcy ze zrozumiałych względów czuli się uprawnieni do oporu, ręce więc skuwano im łańcuchami).

Na górze zaś, na samym Sześcianie, nie opodal Maszyny - nieruchoma, jak ulana z

metal, sylwetka tego, który nosi wśród nas miano Dobroczyńcy. Stąd, z dołu, twarz majaczy niewyraźnie: widać tylko jej surowe, majestatyczne, kwadratowe zarysy. Za to ręce... Tak czasem zdarza się na fotografiach: wysunięte zbyt daleko na pierwszy plan ręce - wychodzą ogromne, przykuwające spojrzenie - przesłaniają wszystko. Te ciężkie ręce, na razie jeszcze spokojnie oparte na kolanach: to jasne - są kamienne, kolana - ledwo utrzymują ich ciężar.

Nagle jedna z tych olbrzymich rąk z wolna się uniosła - powolny, żelazny gest - od trybun zaś, posłuszny uniesionej ręce, zbliżył się do Sześcianu pewien numer. Był to jeden z Poetów Państwowych, któremu szczęśliwy los pozwoli uwieńczyć święto własnym wierszem. Ponad trybunami zagrzmiały cudowne spiżowe jamby - o owym szaleńcu ze szklanymi oczyma, co stał tam, na stopniach, czekając na logiczne następstwo swych szaleństw.

... Pożar. W rytmie jambów chwieją się domy, tryskają płynnym złotem, runęły. Skręcają się zielone drzewa, ociekające sokiem - już tylko czarne krzyże szkieletów. Ale zjawiał się Prometeusz (to oczywiście my) -

*I ogień do maszyny wprzągl,
I chaos okuł praw żelazem.*

Wszystko nowe, stalowe: stalowe słońce, stalowe drzewa, stalowi ludzie. Nagle jakiś szaleniec - „z łańcucha ogień spuścił dziki” - i znowu wszystko ginie...

Wiersze niestety szybko wylatują mi z głowy, ale jedno utkwiło mi w pamięci: nie sposób było dobrać bardziej pouczających i piękniejszych obrazów.

Znowu powolny, ociężały gest - i na stopniach Sześcianu staje drugi poeta. Nawet się z miejsca uniosłem: niemożliwe! No, nie: jego grube, murzyńskie wargi, to on... Dlaczegoż nie uprzedził, że ma taką szlachetną... Wargi mu się trzęsą, szare. No, ja myślę: w obliczu Dobroczyńcy, w obliczu całego tłumu Opiekunów - ale mimo wszystko: aż tak się denerwować...

Szorstkie, szybkie - ostrą siekierą - trocheje. O niesłychanej zbrodni: o bluźnierczych wierszach, w których Dobroczyńcę nazwano... nie, ręka wzdraga się to napisać.

R-13, błady, nie patrząc na nikogo (nie spodziewałem się po nim takiej nieśmiałości) - zszedł na dół, usiadł. Przez ułamek sekundy mignęła mi koło niego czyjaś twarz - ostry, czarny trójkąt - i natychmiast się rozpułyła: moje oczy - tysiące oczu - tam, w górze, przy Maszynie. Tam - trzeci żelazny gest nieczłowieczej ręki. Chwiejąc się w niewidzialnym wietrze - zbrodniarz idzie, powoli, stopień, jeszcze jeden - i ostatni krok w jego życiu - i oto znalazł się - twarzą do nieba, z głową odrzuconą do tyłu - na swoim ostatnim łożu.

Ciężki, kamienny jak los Dobroczyńca obszedł Maszynę dokoła, oparł ogromną rękę na dźwigni... Ani szmeru, ani tchnienia: oczy wszystkich - na tej ręce. Cóż to musi być za

płomienny, oszalamiający poryw - być narzędziem, być równoważną setek tysięcy woltów. Jakże wzniosłe powołanie!

Nieuchwytna sekunda. Ręka opadła, włączając prąd. Błysnęło oślepiająco jasne ostrze promienia - jak dreszcz, ledwie dosłyszalny trzask zapalników Maszyny. Rozpostarte ciało - całe w lekkiej, migotliwej mgielce - topnieje, rozplywa się w oczach, rozkłada się w przerażającym tempie. I - nie ma nic: tylko kałuża chemicznie czystej wody, która jeszcze przed chwilą bujną czerwienią tętniła w sercu...

Wszystko to było proste, każdy z nas to znał: tak, dysocjacja materii, tak, rozszczepienie atomów ludzkiego ciała. Niemniej za każdym razem było to - jak objawienie, było to - jak świadectwo nieczłowieczej mocy Dobroczyńcy.

W górze, przed Nim - pałające twarze dziesięciu numerów żeńskich, usta wpólotwarte ze wzruszenia, kwiaty kołysane wiatrem.

Zgodnie z starym zwyczajem - dziesięć kobiet zwieńczyło kwiatami jeszcze nie obeschłą junifę Dobroczyńcy. Majestatycznym krokiem arcykapłana zstępuje teraz w dół, powoli przechodzi między trybunami - a za Nim uniesione w górę delikatne, białe gałązki kobiecych ramion i milionoistna burza owacji. Potem takie same owacje na cześć Opiekunów, co, niewidzialni, są tu gdzieś między nami, w naszych szeregach. Kto wie: może ich właśnie, Opiekunów, przeczuła imaginacja człowieka starożytnego, płodząc swych tkliwie strasznych „archaniołów” czy tam „aniołów stróżów”, od narodzin czuwających nad każdym.

Tak, w całej tej ceremonii było coś ze starożytnych religii, coś, co oczyszcza, jak burza i nawałnica. Czy znacie takie chwile, wy, którym dane będzie to czytać? Współczuję wam, jeżeli ich nie znacie...

Notatka 10

Konspekt:

LIST

MEMBRANA

JA WŁOCHATY

Dzień wczorajszy był dla mnie jak bibuła, przez którą chemicy filtrują swoje roztwory: na niej zatrzymuje się cała zawiesina, wszystkie zbędne cząstki. Rano zszedłem na dół absolutnie wydestylowany, przejrzysty.

Na dole, w westybulu, kontrolerka przy stoliku, spoglądając na zegarek, notowała numery wchodzących. Nazywa się IO lepiej zresztą nie wymieniać jej numeru; obawiam się, że mogłoby mi się pod jej adresem wyrwać jakieś złe słowo. Tymczasem jest to przecież godna najwyższego szacunku kobieta w starszym wieku. Jedyna rzecz, która mi się w niej nie podoba - to to, że ma policzki nieco obwisłe - jak rybnie skrzela (rzekłby ktoś: no to co?).

Skrzypnęła piórem, zobaczyłem na kartce siebie Δ-503 - a obok - kleks.

Właśnie chciałem jej na to zwrócić uwagę, kiedy nagle uniosła głowę - i kapnęła na mnie jakimś takim atramentowym uśmiechem:

- A tu mamy list. Tak. Dostaniecie, kochany, tak, tak, jeszcze dostaniecie.

Wiedziałem: list po przeczytaniu przez nią - musi jeszcze przejść przez Urząd Opieki (ten naturalny porządek rzeczy nie wymaga, jak sędzę, objaśnień), a przed 12.00 trafi do mnie. Wytrącił mnie jednak z równowagi ten uśmieszek, kropla atramentu zmąciła mój przejrzysty roztwór. Do tego stopnia, że później, na budowie *Integralu*, w żaden sposób nie mogłem się skupić - raz nawet pomyliłem się w obliczeniach, co nigdy dotąd mi się nie zdarzało.

O dwunastej - znowu różowawobrązowe rybnie skrzela, uśmieszek - i nareszcie mam list w ręku. Nie wiem, dlaczego nie przeczytałem go od razu, ale wsunąłem do kieszeni - i w te pędy do siebie do pokoju. Otworzyłem, przebiegłem oczyma - i siadłem... Było to oficjalne zawiadomienie, że zapisał się na mnie numer I-330 i że dzisiaj o dwudziestej pierwszej mam się u niej stawić - na dole adres.

No, nie: po wszystkim, co się zdarzyło, kiedy w sposób tak niedwuznaczny pokazałem, co o niej myślę! Na dobitkę przecież nie wiedziała, czy nie byłem w Opiece - nie

miała jak się dowiedzieć, że byłem chory - no, że w ogóle nie mogłem... I mimo wszystko...

W głowie kręciło mi się, huczało dynamo. Budda – żółtość - konwalie - różowy półksiężyc... Tak, i jeszcze to - jeszcze to: dzisiaj miała zajrzeć do mnie O. Czy mam jej pokazać to zawiadomienie w sprawie I-330? Nie wiem: nie uwierzy (jak tu uwierzyć w rzeczy samej), że to nie moja wina, że ja całkiem... Wiem: zrobi się z tego ciężka, idiotycznie, absolutnie nielogiczna rozmowa... Nie, byle nie to. Niech się wszystko rozstrzygnie automatycznie: po prostu pošlę jej kopię zawiadomienia.

Pospiesznie chowając kartkę do kieszeni - spojrzałem na tę moją straszną, małą rękę. Przypomniało mi się, jak ona, I, ujęła mnie wtedy na spacerze za rękę i przyglądała się jej. Czyżby ona...

Dwudziesta czterdzieści pięć. Biała noc. Cały świat zielonkawoszklany. To jednak jakieś inne, kruche szkło - nie nasze, nieprawdziwe, to - cienka szklana skorupa, a pod skorupą wszystko się kręci, wre, huczy... Wcale się nie zdziwię, jeżeli zaraz jak obłe, powolne dymy uniosą się w górę kopuły audytoriów, a stary księżyc uśmiechnie się atramentowo - jak tamta przy stoliku dzisiaj rano, i we wszystkich naraz oknach opadną zasłony, a za zasłonami...

Dziwne doznanie: czułem ucisk żeber - tych żelaznych prętów, które przeszkadzają - dosłownie: przeszkadzają sercu - ciasno mu, brak miejsca. Stałem przed szklanymi drzwiami ze złotym napisem: I-330. I, odwrócona plecami, pisała coś przy biurku. Wszedłem...

- Proszę - podałem jej różowy bilet. - Otrzymałem dzisiaj zawiadomienie, więc jestem.
- Cóż za punktualność! Chwileczkę, dobrze? Siadajcie, zaraz skończę.

Znowu opuściła oczy na list - cóż się tam u niej kryje za opuszczonymi zasłonami? Co powie - co robi za sekundę? Nie sposób przewidzieć, skalkulować; skoro cała ona jest - stamtąd, z dzikiej starożytnej krainy snów.

Przyglądałem się jej w milczeniu. Żebra - żelazne pręty, ciasno... Kiedy mówi - jej twarz jest jak obracające się szybko migotliwe koło: nie widać poszczególnych szprych. Teraz jednak koło pozostawało nieruchome. Zauważyłem dziwny kontrast: uniesione wysoko ku skroniom czarne brwi - kpiący ostry trójkąt; wierzchołkiem ku górze - dwie głębokie zmarszczki, od nosa do kątek ust. Te dwa trójkąty jakoś się kłóciły ze sobą, przekreślały całą twarz tym nieprzyjemnym, drażniącym X - jak krzyżem: twarz przekreślona na krzyż.

Koło się zakręciło, szprychy zwały się w jeden migot:

- Jednak nie byliście w Opiece?
- Byłem... Nie mogłem: byłem chory.
- Tak. Właśnie tak sądziłam: coś musiało wam przeszkodzić - obojętnie co (ostre zęby,

uśmiech). Za to teraz mam was w ręku. Pamiętajcie: „Numer, który w przeciągu 48 godzin nie powiadomi Urzędu, uważany będzie...”

Serce uderzyło, aż się pręty wygięły. Jak mały chłopiec - głupio, jak chłopiec, wpadłem, głupio milczałem. Czułem, że się wkopałem - ani ręką, ani nogą ruszyć...

Podniosła się, przeciągnęła leniwie. Nacisnęła guzik, z lekkim trzaskiem ze wszystkich stron opadły zasłony. Byłem odcięty od świata - sam na sam z nią.

I była gdzieś za mną, koło szafy. Junifa szeleściła, opadała - słuchałem - cały zamieniłem się w słuch. Przypomniało mi się... nie: błysnęło w setnej części sekundy...

Miałem niedawno okazję obliczyć krzywiznę ulicznej membrany nowego typu (teraz już te membrany, zamaskowane gustowną dekoracją, na wszystkich alejach zapisują rozmowy uliczne dla Urzędu Opieki). Pamiętam: wkleśła, drżąca, różowa błona - dziwna istota, składająca się z jednego tylko organu - ucha. Sam teraz stanowiłem taką membranę.

Teraz pstryknął guzik przy kołnierzu - na piersiach - jeszcze niżej. Szklany jedwab szeleścił po ramionach, kolanach - po podłodze. Słyszę - bardziej wyraziście niż bym mógł widzieć - z błękitnawoszarych jedwabnych fałd wysuwa się jedna, druga noga...

Napięta membrana drży i zapisuje ciszę. Nie: gwałtowne, z dłużącymi się w nieskończoność pauzami - uderzenia młota o pręty. Słyszę - widzę: ona, za mną, waha się przez chwilę.

Teraz - drzwi szafy, teraz - stuknęła jakaś pokrywa - i znowu jedwab, jedwab...

- No, już.

Odwrociłem się. Była w lekkiej, szafranowożółtej sukni starożytnego kroju. Tysiąckroć złośliwiej niż gdyby nic na sobie nie miała. Dwa ostre punkty - pod cienką tkaniną, tlejące różowo - dwa węgle w popiele. Dwoje delikatnie obłych kolan...

Siedziała w niskim fotelu. Przed nią na czworokątnym stoliku - flakon z czymś zjadliwie zielonym, dwa małe naczynka na nóżkach. Z kącika jej ust szedł dym - w ruloniku z cieniutkiego papieru to szkaradne kadzidło (zapomniałem, jak się nazywa).

Membrana ciągle jeszcze drżała. Młot walił - we mnie - w pręty rozżarzone do czerwoności. Wyraźnie słyszałem każde uderzenie, a... a może ona również słyszy?

Ona jednak dymiła ze spokojem, ze spokojem spoglądała na mnie, aż niedbale strąciła popiół - na mój różowy bilecik.

Zachowując maksimum zimnej krwi zapytałem:

- Słuchajcie, w takim razie - po coście się na mnie zapisali? Po co zmusiliście mnie, żebym tu przyszedł?

Jakby nie słyszała. Nalała z flakonika do naczynka, pociągnęła łyk.

- Świetny likier. Chcecie?

Teraz dopiero zrozumiałem: alkohol. Jak błyskawica mignęło to, co wczoraj: kamienna ręka Dobroczyńcy, oślepiająco ostre promienie i tam - na Sześcianie - to ciało rozpostarte, z odrzuconą w tył głową. Wzdrygnąłem się.

- Słuchajcie - powiedziałem - przecież dobrze wiecie, że wszystkich, którzy trują się nikotyną, a zwłaszcza alkoholem - Państwo bezlitośnie...

Czarne brwi - wysoko ku skroniom, ostry kpiący trójkąt:

- Jest rzeczą rozumniejszą szybko zgładzić niewielu niż dopuścić do zguby i zwyrodnienia wielu - i tak dalej. Wprost nieprzyzwoicie słuszne.

- Tak... Nieprzyzwoicie.

- A gdyby wypuścić grono takich łysych, nagich prawd na ulicę... No, wyobraźcie sobie... chociażby tego mojego najwierniejszego wielbiciela - no, przecież go znacie - wyobraźcie sobie, że on zrzucił z siebie cały ten fałsz ubrania - i w prawdziwej postaci wśród gapiów... Och!

Śmiała się. Wyraźnie jednak widziałem jej dolny bolesny trójkąt: dwie głębokie zmarszczki od kąćków ust do nosa. Nie wiedzieć czemu te zmarszczki uprzytomniły mi: tamten, dwuwygięty, garbaty, skrzydlouchy - obejmował ją - taką... On...

Staram się zresztą w tej chwili zrekonstruować swoje ówczesne - nienormalne - odczucia. Teraz, gdy to piszę, jest dla mnie jasne, że wszystko było - jak być powinno: on, jak każdy uczciwy numer, ma równe prawo do uciech - byłoby niesprawiedliwością... No, przecież to jasne.

I śmiała się bardzo dziwnie i długo. Potem uważnie popatrzyła na mnie - do wnętrza.

- A najważniejsze - że jestem przy was zupełnie spokojna. Jesteście tak mili - o, jestem tego pewna, nawet wam w głowie nie postanie, żeby pójść do Opieki, donieść, że ja tu - piję likier, palę. Zachorujecie - albo będziecie zajęci - albo już sama nie wiem, co. Co więcej: jestem pewna, że zaraz napijecie się ze mną tej uroczej trucizny...

Co za bezczelny, szyderczy ton. Czuję wyraźnie: teraz znowu jej nienawidzę. Zresztą dlaczego „teraz”? Nienawidziłem jej przez cały czas.

Wlała sobie w usta pełne naczynko zielonej trucizny, wstała i przeświecając różowością spod szafranu - zrobiła kilka kroków - stanęła za moim fotelem...

Nagle - ręka wokół mojej szyi - wargami w wargi... nie, jakoś jeszcze głębiej, jeszcze straszniej... Przysięgam, że było to dla mnie zupełnie zaskoczenie i może tylko dlatego... Przecież nie mogłem - teraz doskonale rozumiem - nie mogłem sam pragnąć tego, co się potem stało.

Niemożliwie słodkie wargi (sądzę, że to był smak „likieru”) - i spłynął we mnie łyk palącej trucizny - jeszcze - i jeszcze... Oderwałem się od ziemi i koziółkując obłąkańczo jak niezależna planeta pomknąłem w dół, w dół - jakąś nieobliczalną orbitą...

Ciąg dalszy mogę opisać jedynie w przybliżeniu, przez bliższe czy dalsze analogie.

Dawniej nigdy mi to jakoś nie przyszło do głowy - ale to przecież fakt: tutaj na ziemi przez cały czas chodzimy nad ryczącym, purpurowym morzem ognia, kryjącym się tam - we wnętrzu ziemi... Nigdy się nad tym nie zastanawiamy. Gdyby zaś naraz ta cienka skorupa pod nogami zmieniła się w szkło, ujrzelibyśmy...

Zmieniłem się w szkło. Ujrzałem - w sobie, w środku.

Było nas dwóch. Ja - ten, co przedtem Δ-503, numer Δ-503, a drugi... Dawniej wysuwał tylko czasem swoje włochate łapy ciut ciut poza skorupę, teraz jednak wylazł cały, skorupa trzeszczała, zaraz rozleci się w kawałki i... i co wtedy?

Resztką sił chwytając się zbawczej słomki - poręczy fotela - spytałem, żeby usłyszeć samego siebie - tego, co przedtem:

- Gdzie... gdzieście zdobyli tę... tę truciznę?

- Ach, to! Po prostu pewien medyk, jeden z moich...

- „Z moich”? Jakich „moich”?

Ten drugi - nagle podskoczył - i ryknął:

- Nie pozwolę! Nie pozwolę, żeby ktokolwiek prócz mnie! Zabiję każdego, co... Bo ja was - ja was - -

Widziałem: schwycił ją brutalnie włochatymi łapami, rozdarł na niej cienki jedwab, wpił się zębami - pamiętam dokładnie: właśnie zębami.

Nie wiem, jak - I wymknęła się. I znowu - oczy powleczone tą przekłątą, nieprzeniknioną zasłoną - stała, oparta plecami o szafę i słuchała mnie.

Pamiętam: byłem na podłodze, obejmowałem jej nogi, całowałem kolana. Błagałem: „Teraz - zaraz - natychmiast”...

Ostre zęby - ostry, kpiący trójkąt brwi. Schyliła się, w milczeniu odpięła moją blaszkę.

- „Tak! Tak, kochana - kochana!” - zacząłem pospiesznie ściągać z siebie junifę. Ale I - nadal bez słowa - podsunęła mi pod nos zegarek na mojej blaszce. Brakowało pięciu minut do 22.30.

Ochłonałem. Wiedziałem, co to znaczy - pokazać się na ulicy po 22.30. Całe moje szaleństwo - jakby wiatr zdmuchnął. Znowu stałem się sobą. Jedno było dla mnie jasne: nienawidzę jej, nienawidzę, nienawidzę!

Bez pożegnania, na nic się nie oglądając - wypadłem z pokoju. Byle jak, w biegu,

przyczepiając blaszkę, po schodach - zapasowymi schodami - (bałem się, że spotkam kogoś w windzie) - wybiegłem na pustą aleję.

Wszystko było na miejscu - proste, zwyczajne, prawidłowe: szklane, jaśniejące światłami domy, blade szklane niebo, nieruchoma, zielonkawa noc. Ale pod tym spokojnym, chłodnym szkłem - wrzało coś opętańczego, purpurowo, włochato. A ja pędziłem bez tchu - żeby się nie spóźnić.

Nagle poczułem, że blaszka, przyczepiona w pośpiechu, odpada - odpadła, brzęknęła na szklanym trotuarze. Schyliłem się, żeby podnieść - i w sekundzie ciszy: czyjś tupot za mną.. Obejrzałem się: zza węgła wyłoniło się coś małego, zgiętego. Tak mi się przynajmniej wtedy wydało.

Pędziłem co sił w nogach - tylko w uszach gwizdało. Przed wejściem zatrzymałem się: na zegarku brakowało minuty do 22.30. Nasłuchiwałem: za mną nikogo. Wszystko to była z pewnością niedorzeczna fantazja, działanie trucizny.,

Noc była torturą. Łóżko pode mną unosiło się, opadało i znów unosiło - płynęło po sinusoidzie. Przekonywałem sam siebie: „Nocą numery obowiązane są spać, jest to taki sam obowiązek, jak praca w ciągu dnia. Jest to konieczne, aby móc pracować w dzień. Nie spać nocą - to przestępstwo...”. A jednak nie mogłem, nie mogłem.

Ginę. Nie jestem w stanie wypełnić moich obowiązków wobec Państwa Jedynego...
Ja...

Notatka 11

Konspekt:

...NIE, NIE MOGĘ

NIECH ZOSTANIE TAK

BEZ KONSPEKTU

Wieczór. Lekka mgła. Niebo powleczone złocistomleczną tkaniną - nie widać: co tam dalej, wyżej. Starożytni wiedzieli, że tam w całym majestacie zasiada ich znudzony sceptyk - Bóg. My wiemy, że jest tam kryształowo niebieska, naga, nieprzyzwoita nicość. A ja sam teraz nie wiem, co tam jest: nazbyt wiele się dowiedziałem. Wiedza, absolutnie pewna swej nieomyślności - to wiara. Żywiłem niezłomną wiarę w siebie, wierzyłem, że znam się na wylot. A tu masz -

Stoję przed lustrem. Pierwszy raz w życiu - właśnie tak: pierwszy raz w życiu - widzę siebie jasno, wyraźnie, świadomie - z osłupieniem patrzę na siebie jak na jakiegoś „niego”. Oto ja-on: czarne brwi wykreślone na prostej; między nimi - jak blizna - wertykalna zmarszczka (nie wiem, czy wcześniej też była). Stalowszare oczy, otoczone cieniem bezsennej nocy; a pod tą stałą... jak się okazuje, nigdy nie wiedziałem, co tam jest pod spodem. „Stamtąd” (to „tam” jest jednocześnie tutaj i gdzieś nieskończenie daleko) - „stamtąd” patrzę na siebie - na niego i wiem: on - z brwiami wykreślonymi na prostej - to obcy, nieznajomy, spotkałem się z nim pierwszy raz w życiu. A ja prawdziwy, ja-nie-on...

Nie: kropka. Wszystko to bzdury, wszystkie te idiotyczne wrażenia to majaki, efekt wczorajszego zatrucia. Czym: łykiem zielonej trucizny - czy tamtą? Wszystko jedno. Notuję to tylko po to, by dowieść, na jak dziwaczne manowce może zabłąkać się rozum ludzki - tak przecież precyzyjny i przenikliwy. Ów rozum, który nawet tę nieskończoność, grozę starożytnych, potrafi podać w tak strawnej postaci dzięki...

Szczęk numeratora - i symbol: R-13. To nawet dobrze: samemu byłoby mi teraz...

W dwadzieścia minut później

Na płaszczyźnie papieru, w świecie dwuwymiarowym - te linijki biegną tuż obok siebie, ale w innym świecie... Tracę wyczucie cyfr: 20 minut - to może 200 albo 200000. Cóż

za idiotyzm: spokojnie, z namysłem, ważąc każde słowo notować to, co zaszło między mną a R. Równie dobrze można by założyć nogę na nogę, zasiąść w fotelu przy własnym łóżku - i z ciekawością przyglądać się sobie, sobie - jak to on się skręca na tymże łóżku -

Kiedy R-13 wszedł, byłem całkiem spokojny, normalny. Ze szczerym zachwytem zacząłem go chwalić, że tak wspaniale udało mu się strocheizować wyrok i że właśnie te trocheje przede wszystkim zmiażdżyły, zniszczyły tamtego szaleńca.

- Powiem więcej: gdyby mi kazano sporządzić schemat Maszyny Dobroczyńcy, bezwzględnie - bezwzględnie - naniósłbym jakoś na wykres wasze trocheje - zakończyłem.

Nagle widzę: R - matowieją oczy, szarzejają wargi.

- Co się z wami dzieje?

- Co, co! No... Po prostu mam tego dość: wszyscy w kółko - wyrok, wyrok. Nie życzę sobie więcej rozmów na ten temat - i tyle. Nie życzę sobie!

Zasepił się, pocierał dłonią tył głowy - ten swój kuferek z nieznanym mi, cudzym bagażem. Pauza. W końcu coś znalazł w kufierku, wyciągnął, rozwinął, rozpakował - śmiech polakierował mu oczy, R poderwał się z miejsca.

- A teraz piszę dla waszego *Integralu*... I - bardzo proszę! To - proszę bardzo!

Jak przedtem: wargi chlapią, tryskają, słowa biją gejzerem.

- Pojmujecie („p” - gejzer) - starożytny mit raj. To przecież o nas, o dzisiejszych czasach. Tak! Zastanówcie się. Tych dwoje w raj. miało wybór: albo szczęście bez wolności, albo wolność bez szczęścia: tertium non datur. Ale, osły jedne, wybrali wolność - i cóż: rzecz prosta - potem przez wieki tęsknili do oków. Do oków - pojmujecie - z ich braku cały Weltschmerz. Przez wieki! Dopiero my znowu wpadliśmy na pomysł, jak przywrócić szczęście... Ale posłuchajcie, posłuchajcie tylko! Starożytny Bóg - i my - obok, przy jednym stole. Tak! Pomogliśmy Bogu ostatecznie zwyciężyć diabła - to przecież on podkusił ludzi, by złamali zakaz i skosztowali zgubnej wolności, on - wąż podstępny. A my główkę pod obcas - trrach! I po krzyku: znowu mamy raj. Znowu jesteśmy prości, niewinni jak Adam i Ewa. Bez tego całego mętlika - dobro, zło: wszystko proste jak drut, rajsko, dziecinnie proste. Dobroczyńca, Maszyna, Sześcian, Dzwon Gazowy, Opiekunowie - to wszystko jest dobre, to wszystko jest wielkie, piękne, szlachetne, wzniosłe, kryształowo czyste. Albowiem to stoi na straży naszej nie-wolności - to znaczy naszego szczęścia. Starożytni by tu zaczęli mędrkować, roztrząsać, szukać dziury w całym - etyczne, nieetyczne... No, dobra: taki właśnie zasunę rajski poemacik. I do tego w najpoważniejszym tonie... Pojmujecie? Ekstra, no nie?

Pojmujecie... Czego tu nie pojmować? Pamiętam, pomyślałem: „Taka idiotyczna, asymetryczna powierzchowność, a taki prawidłowy umysł”. Dlatego jest mi tak bliski - (tak

czy siak prawdziwy jest, uważam, ten poprzedni ja - wszystko, co teraz, to oczywiście tylko choroba).

R widocznie wyczytał to w mojej twarzy, objął mnie, roześmiał się.

- Ech, wy... Adamie! A propos Ewy... Wygrzebał z kieszeni notes, przerzucił kartki.

- Pojutrze... Tak: za dwa dni - O będzie miała różowy talon na was. A wy co? Jak dawniej? Chcecie, żeby ona...

- Tak, jasne.

- Powtórzę jej. Bo, widzicie, ona sama się krępuje... Takie buty, powiem wam. Ze mną to ona tylko tak - na różowy talonik, a z wami... I nie chce mi powiedzieć, kto czwarty włamał się do naszego trójkącika. No, spowiadajcie się, grzeszniku - któż to taki?

Kurtyna we mnie poszła w górę - szelest jedwabiu, zielony flakon, wargi... Bez sensu, bez związku - wyrwało mi się (gdybym się był powstrzymał!):

- A wam się kiedyś zdarzyło próbować nikotyny czy alkoholu?

R ściągnął usta, popatrzył na mnie spode łba. Jasno wyczuwałem jego myśli: „Kolega niby jesteś - kolega... Ale mimo wszystko...”. I odpowiedź:

- Jakby wam powiedzieć? Właściwie to nie. Ale znałem pewną kobietę...

- I - krzyknąłem.

- Jak to... To wy - wy też z nią? - wydał się śmiechem, zachłysnął, zaraz bryźnie.

Żeby zobaczyć się w lustrze, musiałbym się przechylić nad biurkiem: stąd, z fotela, widziałem tylko swoje czoło i brwi.

Naraz - ja prawdziwy - zobaczyłem w lustrze poszarpaną, tańczącą linię brwi i - ja prawdziwy - usłyszałem dziki, wstrętny wrzask:

- Co za „też”? Co to znaczy: „też”? Nie, nie, ja żądam wyjaśnień!

Rozciągnięte murzyńskie wargi. Wybałuszone oczy... Ja prawdziwy złapałem mocno za kark tego drugiego siebie - dzikiego, włochatego, dyszącego ciężko. Ja prawdziwy powiedziałem do R:

- Wybaczcie mi, na Dobroczyńcę. Jestem bardzo chory, nie mogę spać. Nie wiem, co się ze mną dzieje...

Grube wargi uśmiechnęły się przelotnie:

- Tak-tak-tak! Rozumiem - rozumiem! Znam to wszystko... Oczywiście z teorii. Do widzenia.

W drzwiach obrócił się jak czarna piłeczka - znów do biurka - położył na biurku książkę:

- Moja ostatnia... Specjalnie przyniosłem - byłbym zapomniiał. Powodzenia - „p”

trysnęło wprost we ranie, wyszedł...

Jestem sam. Czy właściwie sam na sam z tym drugim „ja”. Siedzę w fotelu, z nogą założoną na nogę, z jakiegoś „stamtąd” przyglądam się z zaciekawieniem, jak tu ja, ciągle przecież ja - skręcam się na łóżku.

Dlaczego - no, dlaczego przez okrągłe trzy lata żyłem w takiej bliskości z O - aż tu naraz jedno słowo o tamtej, o I... Czyżby cały ten obłęd - miłość, zazdrość - istniał nie tylko w kretyńskich starożytnych ksiązkach? A najważniejsze - ja! Równania, formuły, cyfry - i... to - nic nie rozumiem! Nic!... Zaraz jutro pójdę do R i powiem, że...

Nieprawda: nie pójdę. Ani jutro, ani pojutrze - nigdy w życiu już nie pójdę. Nie mogę, nie chcę go widzieć. Koniec! Nasz trójkąt się rozpadł.

Jestem sam. Wieczór. Lekka mgła. Niebo powleczone złocistomleczną tkaniną; gdybyż wiedzieć: co jest tam - wyżej? Gdybyż wiedzieć: kim jestem, jaki jestem?

Notatka 12

Konspekt:

OGRANICZENIE NIESKOŃCZONOŚCI

ANIOŁ

ROZWAŻANIA O POEZJI

Tak czy owak ciągle mi się zdaje - wyzdrowieję, mogę wyzdrowieć. Spałem świetnie. Żadnych tani snów ani innych objawów chorobowych. Jutro przyjdzie do mnie miła O, wszystko będzie proste, regularne i ograniczone jak koło. Nie boję się tego wyrazu - „ograniczenie”: praca tego, co najszlachetniejsze w człowieku - rozumu - polega właśnie na nieustannym ograniczaniu nieskończoności, na podziale nieskończoności na wygodne, lekko strawne porcje - różniczki. Na tym właśnie polega cudowne piękno mojego żywiołu - matematyki. I właśnie tego piękna nie potrafi zrozumieć tamta. To zresztą tylko tak - przypadkowe skojarzenie.

Wszystko to - w takt miarowego, metrycznego stukotu kół kolei podziemnej. W myślach skanduję koła - i wiersze R (jego książka, ta, co wczoraj). Czuję: z tyłu, przez ramię, ktoś nachyla się ostrożnie i zerka na otwartą akurat stronę. Nie odwracając się widzę kącikiem oka: różowe, rozpostarte skrzydła-uszy, dwuwygięte... on! Nie chciałem mu przeszkadzać - udałem, że go nie spostrzegłem. Skąd tu się wziął - nie wiem: kiedy wsiadałem do wagonu - chyba go nie było.

To samo przez się nieistotne zdarzenie świetnie mi zrobiło, rzekłbym: wzmocniło. Tak miło jest czuć na sobie czyjeś bystre oko, które miłośnie chroni nas przed najmniejszym błędem, przed najmniejszym nawet fałszywym krokiem. Może to zabrzmie nieco sentymentalnie, ale znowu przychodzi mi do głowy ta sama analogia: anioły stróże, o których marzyli starożytni. Jak wiele rzeczy, o których mogli jedynie marzyć, zmaterializowało się w naszym życiu!

W chwili, kiedy poczułem za plecami anioła stróża, delektowałem się właśnie sonetem, zatytułowanym *Szczęście*. Nie myślę się chyba, jeśli powiem, że jest to dzieło rzadkiej urody i głębi myśli. Oto pierwszy czterowiersz:

W wiecznej miłości dwa razy dwa

Wiecznie w namiętym cztery się splata.

To najżarliwsi z kochanków świata -

Nierozzerwalne dwa razy dwa...

I dalej wszystko o tym samym: o rozumnym, wiecznym szczęściu tabliczki mnożenia.

Każdy prawdziwy poeta - to zawsze Kolumb. Przed Kolumbem Ameryka istniała przez całe wieki, ale dopiero on potrafił ją odkryć. Tabliczka mnożenia istniała przez całe wieki przed R-13, ale dopiero on potrafił w dziewiczym gąszczu cyfr odnaleźć nowe Eldorado. To fakt: gdzieżby szukać rozumniejszego, pogodniejszego szczęścia niż w tym cudownym świecie? Stal - rdzewieje; starożytny Bóg stworzył starożytnego, tzn. omylnego człowieka - tym samym popełnił błąd. Tabliczka mnożenia to rzecz rozumniejsza, bardziej absolutna niż starożytny Bóg: nigdy - rozumiecie: nigdy się nie myli. I nie ma cyfr szczęśliwszych niż te, których życiem rządzą harmonijne, wieczne prawa tabliczki mnożenia. Bez wahań, bez błędów. Prawda jest jedna, słuszna droga - jedna; i prawda ta - to dwa razy dwa, a ta słuszna droga - to cztery. Czyż nie absurdem byłoby, gdyby te szczęśliwie, idealnie pomnożone dwójki - zaczęły roić o jakiejś wolności, tzn. - jasne - o błędzie? To dla mnie aksjomat, że R-13 potrafił uchwycić rzecz najistotniejszą, naj...

W tym momencie znowu poczułem - wpięrk na karku, potem na lewym uchu - ciepłe, delikatne tchnienie anioła stróża. Widać zauważył, że książka na moich kolanach jest już zamknięta, a myśli moje - daleko. Cóż, choćby natychmiast gotów jestem otworzyć przed nim stronicę mego mózgu: to tak spokojne, radosne uczucie. Pamiętam: nawet się odwróciłem, znacząco, prosząco popatrzyłem mu w oczy, ale nie zrozumiał - a może nie chciał zrozumieć - o nic mnie nie zapytał... Pozostaje mi tylko jedno: o wszystkim opowiedzieć wam, moi nieznanymi czytelnicy (jesteście mi teraz równie drodzy, bliscy, niedosiężni, jak on w owej chwili).

Oto droga moich rozważań: od części do całości; część - to R-13, monumentalna całość - nasz Instytut Poetów i Pisarzy Państwowych. Zastanawiałem się: jak to się mogło stać, że starożytnych nie raziła niedorzeczność ich literatury i poezji. Wspaniałą, przeogromną moc słowa - marnowano nie wiadomo na co. Śmiechu warte - każdy sobie pisał - o czym mu się spodobało. Jest to równie śmieszne i niedorzeczne, jak to morze, które za starożytnych przez okrągłą dobę tępo tukało się o brzeg, a uwięzione w falach miliony kilogramometrów - podgrzewały tylko uczucia różnych tam zakochanych. Z zakochanego szeptu fal - myśmy uzyskali elektryczność, z bestii toczącej wściekłą pianę - uczyniliśmy zwierzę domowe; podobnie też oswoiliśmy, udomowili dziki niegdyś żywioł poezji. Poezja dziś - to już nie

nonszalanckie słowicze kląskania; poezja to służba państwu, poezja to wyższa użyteczność.

Przykład - nasze słynne „Nonny Matematyczne”: czy bez nich moglibyśmy w szkole tak szczerze i tkliwie pokochać cztery działania arytmetyki? A „Kolce” - ten klasyczny obraz: Opiekunowie - kolce róży chroniące delikatny Kwiat Państwa przed brutalnym dotknięciem... Czyjeż serce zatwardziało nie wzruszy się widokiem niewinnych ust dziecięcych, szczebioczących jak paciorek: „Nie rusz, Andziu, tego kwiatka, róża kole - rzekła matka. Andzia mamy nie słuchała, ukłuła się i płakała” i tak dalej. A „Ody codzienne do Dobroczyńcy”? Któż z tych, co je czytali, nie skłoni nabożnie głowy przed ofiarnym trudem tego Numeru nad Numery? A straszny, czerwony „Kwiat Orzeczeń Sądowych”? A nieśmiertelna tragedia „Ten, który spóźnił się do pracy”? A praktyczny poradnik dla każdego „Stance o higienie płci”?

Życie całe, w całej jego złożoności i urodzie - na wieki wieków wykuto w złocie słów.

Nasi poeci już nie bujają w obłokach: zstąpili na ziemię; noga w nogę z nami kroczą w rytmie precyzyjnego mechanicznego marszu Wytwórni Muzycznej; ich lira - to poranny szmer elektrycznych szczoteczek do zębów i groźny trzask iskiei w Maszynie Dobroczyńcy, i majestatyczne echo hymnu Państwa Jedyne, i intymnie dzwoniące jaśniejącym kryształem naczynia nocne, i wzruszający trzask opadających zasłon, i dziarski głos najnowszej książki kucharskiej, i ledwie słyszalny szept membran ulicznych.

Nasi bogowie są tu, na ziemi, wśród nas - w Urzędzie, w kuchni, w pracowni, w klozecie; bogowie stali się jak my: ergo - my staliśmy się jak bogowie. I do was, moi nieznanzi planetarni czytelnicy, i do was także dotrzemy, aby uczynić wasze życie równie precyzyjnym i bosko rozumnym jak nasze...

Notatka 13

Konspekt:

MGŁA

TY

PRZYGODA CAŁKIEM IDIOTYCZNA

Obudziłem się o brzasku - prosto w oczy różowy, mocny firmament. Wszystko piękne, okrągłe. Wieczorem przyjdzie O. Ja - zdrów jak ryba. Bez cienia wątpliwości. Uśmiechnąłem się, zasnąłem.

Poranny dzwonek - wstaję - i całkiem co innego: za szkłem sufitu, ścian, wszędzie, zewsząd, na wskroś - mgła. Zwariowane chmury, coraz cięższe - i coraz lżej, bliżej, i już nie ma granicy między ziemią a niebem, wszystko ulatuje, ginie, rozpada się, nie ma się czego uchwycić. Nie ma już domów: szklane ściany roztopiły się we mgle, jak kryształki soli w wodzie. Gdy spojrzeć z chodnika - ciemne sylwetki ludzi w domach - niby cząsteczki osadu w nedorzecznym mlecznym roztworze - zawisły niżej i wyżej, i jeszcze wyżej - gdzieś na dziesiątym piętrze. I wszystko dymi - może to jakiś bezszelestnie szalejący pożar.

Punkt 11.45: specjalnie spojrzałem na zegarek - żeby przynajmniej uchwycić się cyfr - żeby choć cyfry uratowały.

O 11.45 przed zwykłymi, zgodnymi z Dekalogiem Godzinowym zajęciami z pracy fizycznej, wpadłem do siebie. Naraz dzwonek telefonu - głos - długa, powolna igła w serce:

- Aha, jesteście w domu? Bardzo się cieszę. Proszę na mnie poczekać na rogu. Pójdziemy... a zresztą zobaczycie, gdzie.

- Przecież świetnie wiecie: idę teraz do pracy.

- Przecież świetnie wiecie, że zrobicie tak, jak wam mówię. Do widzenia. Za dwie minuty...

W dwie minuty później stałem na rogu. Przecież musiałem jej dowieść, że to Państwo Jedyne, a nie ona mną kieruje. „Tak, jak wam mówię...”. I co za pewność siebie: słychać po głosie. No, teraz to z nią naprawdę pogadam...

Szare, utkane z szarej mgły junify w pośpiechu na jedną sekundę materializowały się koło mnie i niespodzianie rozplywały się we mgle. Nie odrywałem oczu od zegarka, byłem ostrą, dygoczącą wskazówką sekundnika. Osiem, dziesięć minut... Za trzy, za dwie

dwunasta...

Koniec. Do pracy już się spóźniłem. Jak ja jej nienawidzę. Ale przecież musiałem dowieść...

Na rogu w białej mgłę - krew - ostrym nożem - wargi:

- Zdaje się, że was zatrzymałam. Zresztą wszystko jedno. Teraz i tak za późno.

Jak ja jej - - Zresztą fakt: za późno.

W milczeniu patrzyłem na wargi. Wszystkie kobiety to wargi, same wargi. Czyjeś różowe, elastycznie krągłe: pierścień, delikatny mur odgradzający od świata. I te: przed sekundą ich nie było, dopiero teraz - nożem - jeszcze kapie słodka krew.

Blżej - oparła się o mnie ramieniem - jesteśmy jednym i tym samym, z niej przepływa we mnie - i wiem: tak trzeba! Wiem każdym fibrem, każdym włosem, każdym aż do bólu słodkim uderzeniem serca. Co za radość usłuchać tego - trzeba! Zapewne z równą radością opilek żelaza, posłuszny bezwarunkowemu, ścisłemu prawu, przywiera do magnesu. Kamień rzucony w górę, po sekundzie wahania, na łeb na szyję spada w dół, na ziemię. Człowiek w agonii wreszcie wciąga ostatni haust powietrza i umiera.

Pamiętam: uśmiechnąłem się w roztargnieniu i ni w pięć, ni w dziewięć:

- Mgła... Bardzo.

- Ty lubisz mgłę?

To starożytne, dawno zapomniane „ty”, „ty” pana do niewolnika - przeniknęło mnie ostro, powolnie: tak, jestem niewolnikiem, i tak - też trzeba, tak też dobrze.

- Tak, dobrze... - powiedziałem głośno do siebie. A potem do niej: - Nienawidzę mgły. Boję się mgły.

- Czyli lubisz. Boisz się - bo to silniejsze od ciebie, nienawidzisz - bo się boisz, kochasz - bo nie możesz zmusić do posłuchu. Przecież kochać można tylko to, co nieposłuszne.

Tak, właśnie tak. I właśnie dlatego - właśnie dlatego ja...

Szliśmy we dwoje - jedno. Gdzieś w oddaleniu za mgłą ledwie słyszalnie dzwoniło słońce, wszystko wzbierało sprężystością, barwą perłową, złotą, różową, czerwoną. Cały świat - to jedna nieobjęta kobieta, a my - w jej wnętrzu, w łonie, jeszcze nie narodzeni, radośnie dojrzewamy. I jest dla mnie jasne, niewzruszenie jasne: wszystko - dla mnie: słońce, mgła, różowa, złota, dla mnie...

Nie pytałem, dokąd idziemy. Wszystko jedno: byle iść, iść, dojrzewać, wzbierać coraz sprężystiej - -

- No, jesteśmy... - I zatrzymała się przed drzwiami. - Dzisiaj ma tu dyżur właśnie

jeden... Mówiłam o nim wtedy, w Domu Starożytności.

Z daleka, samymi oczami, chroniąc to, co dojrzewało - przeczytałem wywieszkę: „Urząd Medycyny”. Zrozumiałem wszystko.

Szklany pokój pełen złotej mgły. Szklane sufity z kolorowymi butlami, bańkami. Druty. Niebieskawe iskry w lampach.

Człowiek - cienusieńki. Jak wycięty z papieru, z którejkolwiek strony spojrzeć - sam tylko profil, wyraziście zaostrowany: połyskliwy skalpel - nos, nożyce - usta.

Nie słyszałem, co mówiła do niego I: patrzyłem, jak mówiła - i czułem: uśmiecham się błogo, niepowstrzymanie. Błysnęły ostrzem usta-nożyce, lekarz powiedział:

- Tak, tak. Rozumiem. Najniebezpieczniejsza ze wszystkich chorób - nie znam bardziej niebezpiecznej... - uśmiechnął się, cienusieńką papierową ręką szybko coś napisał, podał kartkę I; napisał - podał mnie.

Były to zaświadczenia, że jesteśmy chorzy, że nie możemy stawić się do pracy. Okradałem z mej pracy Państwo Jedyne, ja - złodziej, ja - łotr spod Maszyny Dobroczyńcy. Ale to dla mnie - dalekie, obojętne, jak w książce... Wziąłem karteluszek nie wahając się ani chwili; ja - moje oczy, usta, ręce - wiedziałem: tak trzeba.

Na rogu, w prawie pustym garażu, wypożyczyliśmy aero i znowu, tak samo jak wtedy, siadła za sterami, przesunęła dźwignię na „start”, oderwaliśmy się od ziemi, popłynęli. A za nami wszystko razem: różowozłota mgła; słońce; skalpelowocienki profil lekarza, nagle taki kochany i bliski. Przedtem - wszystko wokół słońca; teraz wiedziałem, wszystko wokół mnie - z wolna, błogo, z przymkniętymi oczami...

Staruszka w bramie Domu Starożytności. Usta miłe, zarosłe, z promieniami-zmarszczkami. Pewnie zarastały przez te wszystkie dni - dopiero teraz otworzyły się, uśmiechnęły.

- Aaa, psotnico! Żebyś choć chwilkę popracowała jak wszyscy - nie! No, dobrze, dobrze! Jakby co - przybiegnę, powiem...

Zamknęły się ciężkie, skrzypiące, nieprzejrzyste drzwi i natychmiast z bólem otwarło się serce: szeroko - jeszcze szerzej - na oścież. Jej wargi - moje, piłem, piłem, odrywałem się, w milczeniu wpatrywałem się w oczy rozwarłe przede mną - i znowu...

Półmrok pokojów, błękit, szafranowa żółtość, ciemnozielony safian, złoty uśmiech Buddy, lśnienie luster. I - mój stary sen, taki teraz zrozumiały: wszystko wezbrało złocistoróżowym sokiem, zaraz wystąpi z brzegów, tryśnie - -

Dojrzało. I w sposób nieuchronnie konieczny, jak żelazo i magnez, ze słodką pokorą wobec ścisłego, niewzruszonego prawa - wpłynąłem w nią. Nie było różowego talonu, nie

było kalkulacji, nie było Państwa, nie było mnie. Były tylko tkliwo-ostre, zaciśnięte zęby, były złote oczy szeroko rozwarte przede mną - a przez nie powoli wchodziłem do wnętrza, coraz głębiej. I cisza - tylko w rogu - o tysiące mil - kapią krople w umywalce i ja - to wszechświat, a od kropli do kropli - ery, epoki...

Narzuciwszy na siebie junifę pochylałem się nad I - i oczami wchłaniałem ją w siebie po raz ostatni.

- Wiedziała... Wiedziała, że ty... - powiedziała bardzo cicho. Podniosła się szybko, włożyła junifę i zwykły swój ostry uśmiech-ukąszenie.

- No, cóż, upadły aniele. Już po was. Co, nie boicie się? To do widzenia! Powrót pojedynczo. Więc?

Otworzyła lustrzane drzwi wmontowane w ściankę szafy; przez ramię - na mnie, czekała. Wszedłem posłusznie. Ledwie jednak przestąpiła próg - nagle pojąłem, że trzeba, że ona musi przytulić się do mnie ramieniem - tylko na sekundę ramieniem, nic więcej.

Rzuciłem się z powrotem - do pokoju, gdzie ona (prawdopodobnie) jeszcze dopinała junifę przed lustrem, wpadłem - i zatrzymałem się. Oto - widzę jasno - jeszcze kołysze się staroświeckie kółeczko na kluczyku w drzwiach szafy, a I - nie ma. Wyjść nigdzie nie mogła - wyjście z pokoju jest tylko jedno - a przecież jej nie ma. Szperałem wszędzie, nawet otworzyłem szafę i obmacałem starożytne pstrokate suknie: jak kamień w wodę...

Głupio mi jakoś, moi planetarni czytelnicy, opowiadać wam o tej zupełnie niewiarygodnej przygodzie. Ale co począć, skoro rzecz tak się właśnie miała. Lecz czy ten dzień od samego rana nie był pełen nieprawdopodobieństw, czy wszystko nie było podobne do jakiejś tam starożytnej choroby snów? A skoro tak - czy to nie wszystko jedno: o jedną nedorzecznosc mniej czy więcej? Poza tym jestem pewien: wcześniej czy później każdą nedorzecznosc uda mi się zamknąć w jakimś sylogizmie. To mnie uspokaja, mam nadzieję, że uspokoi również was.

... Jaka pełnia! Żebyście tylko wiedzieli, jaką pełnię mam w sobie!

Notatka 14

Konspekt:

„MOJ”

NIE WOLNO

ZIMNA PODŁOGA

Ciągle jeszcze o tym, co wczoraj. Godzinę osobistą przed snem miałem zajęta i nie mogłem zanotować wczoraj. Ale wszystko to we mnie - wryte głęboko i dlatego zwłaszcza - pewnie na zawsze - ta niemożliwie zimna podłoga...

Wieczorem miała do mnie przyjść O - to był jej dzień.

Zszedłem do dyżurnego - odebrać pozwolenie na zasłony.

- Co się z wami dzieje - zapytał dyżurny - wyglądacie dzisiaj...

- Jestem... Jestem chory...

To rzeczywiście była prawda: jasne, że jestem chory. To wszystko choroba. I w tym momencie przypomniało mi się: tak, przecież zaświadczenie... Sięgnąłem do kieszeni - o, szeleści. Czyli - to wszystko było, wszystko naprawdę było...

Podąłem papierkiem dyżurnemu. Czuję, jak mi płoną policzki, nie patrząc widziałem: dyżurny przygląda mi się ze zdziwieniem...

Wreszcie - 21.30. W pokoju po lewej - opuszczono zasłony. W pokoju po prawej - widzę sąsiada: nad książką - jego guzowata, cała w kępkach włosów łysina i czoło - ogromna żółta parabola. Chodzę, chodzę jak straceniec: jak ja teraz - po tym wszystkim z nią, z O? A z prawej - wyraźnie czuję na sobie wzrok, rozróżniam każdą zmarszczkę na czole - szeregi żółtych, nieczytelnych linijek; i nie wiem czemu - zdaje mi się - te linijki mówią o mnie.

Za kwadrans 22 w moim pokoju - radosny różowy wir, nierozzerwalny pierścień różowych ramion wokół mojej szyi. I nagle czuję: pierścień coraz słabszy, coraz słabszy - rozerwał się - ręce opadły...

- Jesteście jakiś inny, nie jak dawniej, nie mój!

- Co za zwariowana terminologia: „mój”. Nigdy nie byłem... - i tu mnie zatkało: przyszło mi na myśl - dawniej nie byłem, zgoda, ale teraz... przecież teraz żyję nie w naszym rozumnym świecie, ale w starożytności, w malignie, w świecie pierwiastków z minus jeden.

Opadają zasłony. Tam, za ścianą po prawej, sąsiadowi spada książka ze stołu na

podłogę, w ostatniej, przelotnej wąskiej szczelinie między storą a podłogą - widzę: żółta ręka złapała książkę, a we mnie: gdybyż tak ze wszystkich sił uchwycić się tej ręki...

- Myślałam - chciałam się dzisiaj spotkać z wami na spacerze. Mam dużo - muszę wam tak dużo...

Miła, biedna O! Różowe usta - różowy półksiężyc różkami w dół. Ale przecież nie mogę jej opowiedzieć wszystkiego, co się zdarzyło - choćby dlatego, że to by ją uczyniło współwinną moich zbrodni; przecież wiem, że nie znajdzie dość sił, żeby pójść do Opieki, a zatem - -

O leżała. Całowałem ją bez pośpiechu. Całowałem jej naiwną pulchną fałdkę na nadgarstku, niebieskie oczy były zamknięte, różowy półksiężyc pomału rozkwitał, rozwijał się - i całowałem ją całą.

Aż tu naraz czuję jasno: wszystko we mnie spustoszone, zabrane. Nie mogę, nie wolno. Trzeba - a nie wolno. Od razu mi wargi zmartwiały...

Różowy półksiężyc zadrżał, zmierzchnął, skurczył się. O naciągnęła na siebie kołdrę, owinęła się - twarzą w poduszkę...

Siedziałem na podłodze przy łóżku - ależ ta podłoga rozpaczliwie zimna! - siedziałem w milczeniu. Straceńcze zimno z dołu - coraz wyżej, wyżej. Prawdopodobnie takie samo milczące zimno panuje tam, w granatowych, niemych przestrzeniach międzyplanetarnych.

- Proszę zrozumieć: nie chciałem... - wymamrotałem... - Ja całym sercem...

- To prawda: ja - ten prawdziwy - nie chciałem. A jednak: jakimi słowami jej powiedzieć. Jak jej wyjaśnić, że żelazo nie chciało, ale prawo - nieuniknione, ściśle - -

O oderwała twarz od poduszek i nie otwierając oczu powiedziała:

- Proszę wyjść - ale przez łzy wyszło jej „Proszę wyńć” - i nie wiedzieć czemu ten idiotyczny szczegół zapadł mi w pamięć.

Przejęty zimnem do szpiku, drętwiejąc, wyszedłem na korytarz. Tam za szybą - lekki, ledwie dostrzegalny dymek mgły. Przed nocą pewnie znowu opadnie, zgęstnieje na dobre. Co będzie w nocy?

O bez słowa prześlizgnęła się obok, do windy - stuknęły drzwi.

- Jedną chwileczkę - krzyknąłem: strach mnie obleciał.

Ale winda już łaskotała niżej, niżej, niżej...

Odebrała mi R.

Odebrała mi O.

A jednak, a jednak...

Notatka 15

Konspekt:

DZWON

LUSTRZANE MORZE

MUSZĘ WIECZNIE PŁONAĆ

Ledwie wszedłem na pochylnie, gdzie budujemy *Integral* - z naprzeciwka Drugi Konstruktor. Twarz ma jak zawsze: okrągłą, białą, fajansową - talerz, no i odzywa się - podtyka na talerzu jakiś taki niemożliwie smakowity kąsek:

- Wy tu sobie pozwalacie na choroby, a tu bez was, bez kierownictwa, wczoraj, że tak powiem - mieliśmy przygody.

- Przygody?

- Właśnie tak! Dzwonek, fajrant, zaczęliśmy wszystkich wypuszczać z pochylni - i wyobraźcie sobie: dyżurny przy wyjściu • złapał nienumerowanego człowieka. Pojąć nie mogę, jak on się tutaj przedostał. Odstawili go na Operacyjny. Tam już z kochasia wyciągną, co za jeden i po co... (uśmiech - smakowity).

Na Operacyjnym pracują nasi najlepsi i najbardziej doświadczeni lekarze, pod bezpośrednim kierownictwem samego Dobroczyńcy. Mają tam różne instrumenty, a przede wszystkim słynny Dzwon Gazowy. To właściwie prastare szkolne doświadczenie: mysz wsadzona pod szklany klosz; wysysane powietrze rozrzedza się pod kloszem coraz bardziej... no i tak dalej... Tyle, że Dzwon Gazowy jest, rzecz jasna, aparatem znacznie doskonalszym - z zastosowaniem różnych gazów, a poza tym - tu już, oczywiście, nie chodzi o znęcanie się nad malutkim bezbronnym stworzonkiem, tu cel jest szlachetny - troska o bezpieczeństwo Państwa Jedynego, innymi słowy - o szczęście milionów. Mniej więcej pięć stuleci temu, kiedy Operacyjny dopiero rozpoczynał swoją działalność, znaleźli się głupcy, którzy porównywali nasz Oddział Operacyjny ze starożytną inkwizycją, ale to przecież równie idiotyczne, co zestawienie chirurga zajmującego się tracheotomią z jakimś łamignatem czyhającym na gościńcu: obaj mogą mieć w ręku taki sam nóż, obaj mogą robić to samo - podrzywać gardło żywemu człowiekowi. Ale przecież jeden - to dobroczyńca, drugi - zbrodniarz. Jeden ze znakiem +, drugi ze znakiem -...

Wszystko to aż nazbyt jasne, wszystko w ułamku sekundy, jeden obrót maszyny

logicznej, i natychmiast zębki zahaczyły się o minus - i już co innego na wierzchu: jeszcze kołysz się kółeczko w szafie. Drzwi najwyraźniej dopiero co zatrzaśnięte - a jej, I, nie ma: znikła. Tego maszyna ani rusz nie mogła przerobić. Sen? Przecież dotąd jeszcze czuję: niepojęty słodki ból w prawym ramieniu - przytulona do prawego ramienia I - obok mnie we mgle. „Ty lubisz mgłę?” Tak, mgłę też... kocham wszystko, a wszystko to - sprężyste, nowe, zadziwiające - i jak to dobrze...

- To dobrze - powiedziałem na głos.

- Dobrze? - okrągło wybałuszyły się fajansowe oczy. - Jak to, co w tym dobrego? Jeżeli nienumerowany przechytrzył... widać, oni są wszędzie, dookoła, cały czas, są tutaj, są - przy *Integralu*, oni...

- Ale jacy oni?

- Skąd mam wiedzieć - jacy. Ale ich czuję - rozumiecie? Cały czas.

- A słyszeliście: podobno wynaleźli jakąś operację - amputacja wyobraźni? (Faktycznie słyszałem o czymś takim w ostatnich dniach.)

- No, wiem. Co to ma do rzeczy?

- To ma do rzeczy, że ja na waszym miejscu poddałbym się takiej operacji.

Na talerzu ukształtowało się coś kwaśnego jak cytryna. Miły - poczuł się obrażony aluzją do wyobraźni, jaką mógłby przypadkiem posiadać... Cóż zresztą: tydzień temu - prawdopodobnie ja też bym się obraził. A teraz - teraz nie: bo wiem, co mi jest - jestem chory. I jeszcze jedno wiem - nie mam ochoty wyzdrowieć. Nie chce mi się i już. Po szklanych stopniach weszliśmy na górę. Wszystko - w dole pod nami - jak na dłoni...

Wy, którzy czytacie te notatki - bądźcie sobie, kim tam chcecie - macie nad sobą słońce. A jeżeli bylibyście kiedyś chorzy, tak jak ja teraz - wiecie, jakie bywa - jakie może być - słońce rankiem, znacie to różowe, przezroczyste, ciepłe złoto. I samo powietrze - leciutko różowe, i w ogóle wszystko przesycone jest delikatną słoneczną krwią, wszystko - żywe: żywe i miękkie - kamienie; żywe i ciepłe - żelazo: żywi i uśmiechnięci co do jednego - ludzie. Zdarzyć się może, że po godzinie wszystko zniknie, w ciągu godziny - wysączy się różowa krew, ale na razie - wszystko żyje. I widzę: coś pulsuje i przelewa się w szklanych sokach *Integralu*; widzę: *Integral* rozmyśla o swojej wielkiej i strasznej przyszłości, o ciężkim brzemieniu bezwarunkowego szczęścia, które stąd uniesie wzwyż, do was niewiadomych, do was, którzy wiecznie szukacie i nigdy nie znajdujecie. Znajdziecie, będziecie szczęśliwi - szczęście jest waszym obowiązkiem i nie będziecie na nie długo czekać.

Kadłub *Integralu* jest prawie gotów: elegancka, wydłużona elipsoida z naszego szkła -

wiecznego jak złoto, giętkiego jak stal. Widziałem: od wewnątrz mocowano u szklanego tułowia poprzeczne żebra - wręgi - i podłużne - wzdłużniki; na rufie montowano podstawę gigantycznego silnika rakietowego. Co 3 sekundy - eksplozja; co 3 sekundy potężny ogon *Integralu* będzie wyrzucał płomienie i gazy w przestrzeń kosmiczną - i będzie pędził, pędził - ognisty Tamerlan szczęścia...

Widziałem: podług Taylora, miarowo i szybko, w takt, jak tryby jednej ogromnej maszyny zginali się, rozginali, obracali w dole ludzie. W rękach błyskały im rurki: ogniem cięli, ogniem spajali szklane ścianki, kątowniki, wręgi, poszycie. Po szklanych szynach powoli toczyły się przezroczyste szklane straszdyła-dźwigi i tak jak ludzie posłusznie obracały się, zginały, podawały do wnętrza, do łona *Integralu* swoje ładunki. To właśnie byli sami ludzie: uczyłowieczeni, doskonali. Było to najwyższe, wzniosłe piękno, harmonia, muzyka... Szybciej - na dół, do nich, z nimi!

I oto - ramię przy ramieniu, stopiony z nimi, ogarnięty stalowym rytmem... Miarowe ruchy: sprężyste okrągłe, rumiane policzki; czoła lustrzane, nie zamroczone szaleństwem myśli. Płynąłem przez lustrzane morze. Odpoczywałem.

Aż tu jeden - zagadnął mnie pogodnie:

- No, jak: dzisiaj lepiej?

- Co lepiej?

- No, wczoraj was nie było. Jużeśmy myśleli, że co złego... - czoło jaśnieje, uśmiech - dziecięcy, niewinny.

Krew mi napłynęła do twarzy. Nie mogłem - nie mogłem skłamać tym oczom. Milczałem, pogrążałem się...

Z góry, jaśniejąc krągłą białością, zajrzało przez luk fajansowe oblicze.

- Halo Δ-503! Pozwólcie no tutaj! Myśmy tu, rozumiecie, zeszwejsowali ramę z konsolami, ale na stykach obciążenie rośnie nam do kwadratu.

Nie czekając, aż skończy mówić, z pośpiechem zacząłem się wspinać do niego na górę - haniebnie ratowałem się ucieczką. Nie miałem siły podnieść wzroku - ćmiło się w oczach od migocących szklanych stopni pod nogami, a co stopień - coraz beznadziejniej: nie dla mnie tu miejsce - zbrodniarza, zatrutego. Nigdy już nie dane mi będzie włączyć się w precyzyjny rytm mechanizmu, płynąć po lustrzano-pogodnym morzu. Wiecznie muszę płonąć, miotać się, szukać kąta, w który można by wbić oczy - wiecznie, aż nareszcie znajdę siły, by pójść i -

I lodowata iskra - na wskroś: ja - w porządku, ja - wszystko jedno; ale przecież trzeba też będzie o niej, i ją też...

Wylazłem przez luk na pokład i stanąłem: nie wiem, gdzie teraz, nie wiem, po co tu

przyszedłem. Spojrzałem w górę. Tam matowo unosiło się umęczone południem słońce. W dole - *Integral*, szaroszklany, martwy. Różowa krew wyciekła i stało się dla mnie jasne, że wszystko to jedynie produkt mojej wyobraźni, że wszystko zostało po dawnemu, ale zarazem było też jasne...

- Co z wami, 503, ogłuchliście czy co? Wołam, wołam... Co jest? - to Drugi Konstruktor - nad samym moim uchem: pewnie wrzeszczy od dawna.

Co ze mną? Straciłem ster. Motor huczy na pełnym gazie, aero drży i pędzi, a steru nie ma - i nie wiem, dokąd tak pędzę: w dół i zaraz o ziemię, czy w górę - i w słońce, w ogień...

Notatka 16

Konspekt:

ŻÓLTOŚĆ

DWUWYMIAROWY CIEŃ

NIEULECZALNA DUSZA

Paru dni nie zanotowałem. Nie wiem, ilu: wszystkie dni - jak jeden. Wszystkie dni - jednego koloru - żółtego, jak wysuszony, wypalony piasek, i ani kawałka cienia, ani kropli wody, tylko bez końca żółty piasek. Nie mogę bez niej - a ona, odkąd w niepojęty sposób znikła wtedy w Domu Starożytności...

Od tamtej pory widziałem ją tylko raz na spacerze. Dwa, trzy, cztery dni temu - nie wiem: wszystkie dni - jak jeden. Mignęła mi, na sekundę zappełniła sobą żółty, pusty świat z nią pod rękę - sięgał jej do ramienia - dwojaki S i papierowocienki doktor, i ktoś czwarty - w pamięci zostały tylko palce: wylatywały z rękawów junify jak wiązki promieni - niezwykle cienkie, białe, długie. I uniosła rękę - pomachała mi; nad głową S - nachyliła się do tamtego z palcami-promieniami. Dosłyszałem słowo *Integral* wszyscy czworo obejrżeli się w moją stronę; i znów zgubili się w szarobłękitnym niebie, i znowu - żółta, wysuszona droga.

Wieczorem owego dnia miała różowy bilet na mnie. Stałem przed numeratorem - i z czułością, nienawiścią błagałem go, żeby szczęknął, żeby szybciej w białym wykroju pojawiło się: I-330. Trzaskały drzwi, wychodziły z windy blade, wysokie, różowe, smagłe: dookoła opadały zasłony. Jej nie było. Nie przyszła.

I może właśnie w tej chwili, punktualnie o 22, kiedy to piszę - z zamkniętymi oczami tak samo tuli się do kogoś, opiera o niego ramieniem i pyta tak samo: „Lubisz? Kochasz?” Kogo? Który to? Ten z promieniami-palcami, czy R chlapiący obfitymi wargami? Czy S?

S... Dlaczego ciągle słyszę koło siebie jego płaskie, chlupiące jak po kałużach kroki? Dlaczego jest ciągle przy mnie - jak cień? Z przodu, z boku, z tyłu, szarobłękitny, dwuwymiarowy cień: przechodzą po nim, depczą po nim, a on - wciąż jest tutaj, obok, uwiązany niewidzialną pępowiną. Może ta pępowina to ona, I? A może oni, z Opieki, już wiedzą, że ja...

Gdyby tak powiedziano wam: wasz cień was widzi, przez cały czas widzi. Rozumiecie? Nagle - macie dziwne uczucie: ręce obce, przeszkadzają; przyłapuję się na tym,

że idiotycznie, nie do taktu z krokami, wymachuję rękoma. Albo naraz - trzeba się natychmiast obejrzeć, a tu ani rusz, obejrzeć się nie sposób, szyja - skuta. I uciekam, uciekam coraz szybciej, i czuję plecami: coraz szybciej za mną mój cień, i nigdzie, nigdzie przed nim...

W swoim pokoju - nareszcie sam. Tu znów co innego: telefon. Znowu chwytam słuchawkę: „Tak, I-330 poproszę” I znowu w słuchawce - cichy szmer, czyjeś kroki w korytarzu - obok drzwi jej pokoju, i milczenie... Rzucam słuchawkę - i nie mogę, me mogę dłużej. Prędeż, tam - do niej.

To było wczoraj. Popędziłem tam i przez bitą godzinę, od 16 do 17, włóczyłem się pod jej domem. Obok mnie, szeregami, numery. Tysiące nóg uderzały do taktu, milionogi lewiatan płynął obok, kołysząc się. A ja - samotny, wyrzucony przez burzę na bezludną wyspę, szukam, szukani oczyma czegoś wśród szarobłękitnych fal.

Już zaraz skądś - ostro kpiący kąt brwi uniesionych ku skroniom, i ciemne okna oczu, a tam, wewnątrz - płonie kominek, poruszają się cienie. I ja prosto do środka, tam powiem jej „ty” – koniecznie „ty”: „Ty przecież wiesz - nie mogę bez ciebie. Więc dlaczego?”

Ale ona - milczy. Nagle słyszę ciszę, nagle słyszę - Wytwórnia Muzyczna i domyślam się: już po 17, wszyscy się dawno rozeszli, jestem - samotny, jestem - spóźniony. Dokoła - szklana, zalana żółtym słońcem pustynia. Widzę: jak w wodzie - w szklanej gładziźnie - zawieszzone do góry nogami, odwrócone, lśniące ściany, i odwrotnie, szyderczo, do góry nogami zawieszony jestem ja.

Muszę jak najszybciej, natychmiast - do Urzędu Medycyny po zaświadczenie o chorobie, inaczej wezmą mnie i - - A może to zresztą będzie nawet lepiej. Zostać tu i czekać spokojnie, aż zauważą, odstawią na Operacyjny - raz skończyć ze wszystkim, od razu wszystko odpokutować.

Lekki szelest i przede mną - dwuwygięty cień. Nie patrząc czułem, jak szybko wwierciły się we mnie dwa szarostalowe świdry, uśmiechnąłem się zebrawszy resztkę sił i powiedziałem - coś musiałem powiedzieć:

- Muszę... muszę do Urzędu Medycyny.

- Więc o co chodzi? Dlaczego stoicie tutaj?

Idiotycznie odwrócony, powieszony za nogi - milczałem, płonąc ze wstydu.

- Proszę za mną - surowo powiedział S.

Ruszyłem pokornie, wymachując zbędnymi, obcymi rękami. Nie mogłem podnieść oczu, cały czas kroczyłem w wariackim, odwróconym głową na dół - świetle: jakieś tam maszyny - podstawą do góry i antypodycznie przyklejeni nogami do sufitu ludzie, a jeszcze niżej - niebo okute grubym szkłem nawierzchni. Pamiętam: najgorsze było to, że ostatni raz w

życiu widziałem wszystko właśnie tak, do góry nogami, a nie naprawdę. Ale nie mogłem podnieść oczu.

Zatrzymaliśmy się. Przede mną - stopnie. Jeden krok - i zobaczę: postaci w białych lekarskich fartuchach, ogromny, niemy Dzwon...

Na siłę, jakimś śrubowym napędem oderwałem wreszcie wzrok od szkła pod nogami - i nagle prosto w twarz bryznęły mi złote litery „Medycyny”... Dlaczego przyprowadził mnie tutaj, a nie na Operacyjny, dlaczego mnie oszczędził - o tym w tamtej chwili w ogóle nie pomyślałem: jednym susem - kilka stopni naraz, zatrzasnąłem za sobą drzwi - i odetchnąłem. Tak: jakbym od samego rana nie oddychał, jakby serce nie biło - dopiero teraz odetchnąłem po raz pierwszy, dopiero teraz otwarła się śluza w piersi...

Dwóch: jeden - króciutki, balaskonogi - oczyma, jak na rogi, podrzucał pacjentów, i drugi - cieniutkie, połyskliwe usta-nożyce, nos-skalpel... Ten sam.

Rzuciłem się do niego jak do kogoś najbliższego, prosto na ostrza - coś tam o bezsenności, snach, cieniu, żółtym świetle. Usta-nożyce połyskiwały, uśmiechały się.

- Źle z wami! Widocznie wytworzyła się wam dusza.

Dusza? To dziwne, starożytne, dawno zapomniane słowo. Mawiało się kiedyś „z duszą na ramieniu”, „bezdusznie”, „wkładać w coś duszę”, ale dusza - -

- To... bardzo niebezpieczne? - wybełkotałem.

- Nieuleczalne - ucięły nożyce.

- Ale... właściwie na czym to polega? Jakoś nie... nie mogę sobie wyobrazić.

- Widzicie... Jakby to wam... Jesteście przecież matematykiem?

- Tak.

- No, więc - płaszczyzna, powierzchnia, o, takie lustro. A na powierzchni, widzicie, my dwaj - o, mrużymy oczy przed słońcem, i ta niebieska iskra elektryczna w żarówce, o, tam - mignął cień aero. Tylko na powierzchni, tylko na sekundę. Ale proszę sobie wyobrazić - jakiś ogień nagle roztopił tę nieprzeniknioną powierzchnię i nic się już po niej nie ślizga - wszystko przenika tam, do środka, w ten lustrzany świat, do którego w dzieciństwie zaglądamy z ciekawością - zapewniam was, dzieci wcale nie są takie głupie. Płaszczyzna stała się objętością, ciałem, światem, i oto wewnątrz lustra - wewnątrz was - słońce, i wir od śmigła aero, i wasze drżące usta, i czyjeś tam jeszcze. Rozumiecie: zimne lustro odbija, odrzuca, a to - wchłania, i wszystko zostawia ślad - na zawsze. Ledwie dostrzegalna zmarszczka na czyjejś twarzy - już na zawsze zostaje w was; usłyszeliście: w ciszy spadła kropla - słyszycie to również teraz...

- Tak, tak, rzeczywiście - złapałem go za rękę. Właśnie słyszałem: z kranu umywalki -

krople powoli kapią w głąb ciszy. I wiedziałem - to na zawsze. Dobrze. Ale skąd nagle dusza? Nie było, nie było - a tu masz... Dlaczego nikt nie ma, tylko ja...

Jeszcze mocniej uczepliłem się papierowej ręki: bałem się stracić koło ratunkowe.

- Dlaczego? A dlaczego nie macie piór ani skrzydeł - zaledwie kości łopatek - fundament pod skrzydła? Dlatego, że skrzydła są już niepotrzebne - jest aero, skrzydła by tylko przeszkadzały. Skrzydła są - żeby latać, a my już nie mamy gdzie: dolecieliśmy, znaleźliśmy. Czyż nie?

Niepewnie kiwnąłem głową. Spojrzał na mnie, roześmiał się ostro, lancetem. Tamten drugi usłyszał, balaskowato przyczłapał ze swojego gabinetu, pczyma podrzucił na rogi mojego cienkiego doktora, podrzucił mnie.

- O co chodzi? Jak to: dusza? Dusza, mówicie? Co za lichy! W ten sposób niedługo do cholery dojdziemy. Mówiłem wam (na rogi cienkiego) - mówiłem wam: trzeba wszystkim - wszystkim wyobraźnię... Amputować wyobraźnię. Tylko chirurgia, tutaj tylko i wyłącznie chirurgia...

Nałożył ogromne rentgenowskie okulary, długo chodził dookoła i wpatrywał się - przez kościec czaszki - w mój mózg, zapisywał coś w notesie.

- Nadzwyczaj ciekawe, nadzwyczaj! Słuchajcie: a czy nie zgodzilibyście się... zakonserwować? To byłoby dla Państwa Jedyne nadzwyczaj... To by nam pomogło zapobiec epidemii... Jeżeli nie macie, oczywiście, szczególnych podstaw...

- Widzicie - powiedział ten mój - numer Δ -503 jest konstruktorem *Integralu*, jestem więc pewien - to by naruszyło...

- A - wymamlał tamtem i pobalaskował z powrotem do swego gabinetu.

Zostaliśmy we dwóch. Papierowa ręka lekko, pieszczotliwie opadła na moją dłoń, sprofilowana twarz nachyliła się ku mnie blisko, szepnęła:

- W sekrecie wam powiem - to nie tylko wy. Mój kolega nie przypadkiem mówi o epidemii. Przypomnijcie sobie, czyście sami nie spotkali u kogoś czegoś podobnego - bardzo podobnego, bardzo bliskiego... - uważnie mi się przyjrzał.

Co on ma na myśli, kogo? Czyżby - -

- Słuchajcie - zerwałem się z krzesła. Ale on już głośno mówił o czym innym:

- ... A na bezsenność, na te wasze sny - mogę wam doradzić jedno: jak najczęściej chodzić pieszo. Zaraz jutro z rana przespacerujcie się... Chociażby do Domu Starożytności.

Znowu przekłuł mnie oczami, uśmiechnął się cienko. Wydawało mi się - zupełnie wyraźnie zobaczyłem owinięte w cieką materię tego uśmiechu - słowo - literę - imię, jedyne na świecie imię... Czy też to znowu tylko wyobraźnia?

Ledwie zdołałem się doczekać, aż wypisze mi zaświadczenie o chorobie - na dziś i na jutro, znowu w milczeniu mocno uścisnąłem mu rękę i wybiegłem na dwór.

Serce - lekkie, szybkie jak aero, unosiło, unosiło mnie w górę. Wiedziałem: jutro - jakaś radość. Jaka?

Notatka 17

Konspekt:

ZA SZKŁEM

UMARŁEM

KORYTARZE

Jestem w kropce, Wczoraj, właśnie wtedy, kiedy sądziłem, że wszystko się rozwikłało, że znalezione są wszystkie ikсы - w moim równaniu pojawiły się nowe niewiadome.

W całej tej historii początek układu współrzędnych to oczywiście Dom Starożytności. Z tego punktu - osie X-ów, Y-ów, Z-ów, na których od niedawna opiera się dla mnie cały świat. Po osi X (Aleja 59) szedłem piechotą w stronę początku układu współrzędnych. We mnie - pstrokatym wirem to, co wczoraj: domy, ludzie do góry nogami, męcząco nie moje ręce, błyskające nożyce, kapiące ostro krople z umywalki - tak było, raz już było. I wszystko to - rozdzierając mięso - gwałtownie wiruje tam - pod stopniałą w ogniu powierzchnią, tam, gdzie „dusza”.

Stosując się do zaleceń doktora umyślnie wybrałem drogę po dwóch przyprostokątnych, a nie po przeciwprostokątnej. I oto, proszę - druga przyprostokątna: obwodnica u podnóża Zielonego Muru. Z nieprzejrzanego zielonego oceanu za Murem toczyła się na mnie fala korzeni, kwiatów, gałęzi, liści - stanęła dęba - zaraz mnie zatopi i z człowieka - najdoskonalszego i najprecyzyjniejszego mechanizmu - przeobrażę się...

Na szczęście pomiędzy mną a dzikim zielonym oceanem - szkło Muru. O, wielka, cudownie ograniczająca mądrości przegród! Być może ten wynalazek był największy ze wszystkich. Człowiek przestał być dzikim zwierzęciem dopiero wówczas, gdy zbudował pierwszy mur. Człowiek przestał być dzikim człowiekiem dopiero wówczas, gdy zbudowaliśmy Zielony Mur, kiedy tym Murem izolowaliśmy nasz doskonały, zmechanizowany świat - od nierozumnego, potwornego świata drzew, ptaków, zwierząt...

Przez szkło - na mnie - mgliście, matowo - tępy pysk jakiegoś zwierzaka, żółte oczy, z uporem powtarzające jedną i tę samą niezrozumiałą dla mnie myśl. Długo patrzyliśmy sobie w oczy - w te sztolnie - ze świata powierzchni w inny, podpowierzchniowy. Coś mi się roilo: „a nuż ten żółtooki - wśród tej idiotycznej, brudnej kupy liści, z tym swoim

nieskalkulowanym życiem - jest od nas szczęśliwszy?”.

Machnąłem ręką, żółte oczy mignęły, uskoczyły, znikły w listowiu. Żaloszna istota! Co za absurd: ten tam - szczęśliwszy od nas! Szczęśliwszy ode mnie - tak, to możliwe: ale ja - to przecież tylko wyjątek, ja jestem chory.

Zresztą nawet ja... Widzę już ciemnoczerwone ściany Domu Starożytności - i miłe, zarośnięte usta staruszki - pędem podbiegłem do niej:

- Ona jest?

Zarośnięte usta rozwarły się z wolna:

- A jaka to niby - ona?

- Ach, jaka, jaka? No, I, oczywiście... Przecież ja z nią wtedy, aery...

- Aha, tak, tak... Tak, tak, tak...

Promienie-zmarszczki wokół ust, obłudne promyczki z żółtych oczu wwiercające się we mnie - coraz głębiej... I nareszcie:

- No, dobrze... Jest, niedawno przyszła.

Jest! Ujrzałem: u nóg staruszki - kępa srebrzyście gorzkiego piołunu (podwórce Domu Starożytności to także teren muzealny, starannie zachowano jego prehistoryczny wygląd), piołun wyciągnął łodygę do ręki staruszki, staruszka gładziła łodygę, na jej kolanach - żółty pas słońca. I przez mgnienie: ja, słońce, staruszka, piołun, żółte oczy - jesteśmy jedną istotą, mocno związani jakimiś żyłkami, a w żyłkach - jedna, wspólna, szalona, wspaniała krew...

Wstyd mi teraz o tym pisać, ale obiecałem być w tych notatkach do końca szczery. No, więc: schyliłem się - i pocałowałem zarośnięte, miękkie, omszałe usta. Staruszka obtarła się, roześmiała...

Biegiem przez znajomy półmrok echowych pokojów - nie wiedzieć czemu wprost tam, do sypialni. Już w drzwiach - uchwyciłem klamkę i naraz: „A jak ona nie jest tam sama?”. Stałem, przysłuchiwałem się. Ale słyszałem tylko: stukotało w pobliżu - nie we mnie, ale gdzieś w pobliżu - moje serce.

Wszedłem. Szerokie, nienaruszone łóżko. Lustro. Jeszcze jedno lustro w drzwiach szafy, a w dziurce tam - klucz ze starodawnym kółkiem. Ani śladu człowieka.

Zawołałem cichutko:

- I! Jesteś tutaj? - i jeszcze ciszej, z zamkniętymi oczyma, bez tchu - jakbym już klęczał przed nią: - I! Najmilsza!

Cicho. Tylko do białej konchy umywalki z kranu pospiesznie kapiała woda. Nie jestem w stanie teraz wyjaśnić, dlaczego sprawiło mi to przykrość: mocno zakręciłem kran i wyszedłem. Tutaj jej nie ma: to jasne. To znaczy, że jest w jakimś innym „mieszkaniu”.

Szerokimi ciemnymi schodami zbiegłem niżej, szarpnąłem jedne, drugie, trzecie drzwi: zamknięte. Wszystko było pozamykane, z wyjątkiem jednego tylko, „naszego” mieszkania, tam zaś - nikogo...

Mimo wszystko - znowu tam, sam nie wiem - po co. Szedłem powoli, z trudem - podeszwy nagle zaciążyły ołowiem. Pamiętam wyraźnie myśl: „To błąd, że siła ciężkości jest stała. Co za tym idzie, wszystkie moje formuły...”.

Tutaj - eksplozja: na samym dole trzasnęły drzwi, ktoś szybko zatupotał po płytach. Ja - znów lekki, najlżejszy - rzuciłem się do poręczy - wychylić się, jednym słowem, jednym krzykiem „Ty!” - wykrzyczeć wszystko...

I - zatkało mnie: w dole - wpisana w ciemny kwadrat cienia ramy okiennej, kołysząc różowymi skrzydłami-uszami, płynęła głowa S.

Błyskawicznie - sam tylko nagi wniosek, bez przesłanek (przesłanek nie znam nawet teraz): „Nie wolno - za nic - żeby mnie zobaczył”.

I na palcach, przyciskając się do ściany - pobiegłem na górę - do tamtego nie zamkniętego mieszkania.

Na sekundę w drzwiach. Tamten - tępo tupocze na górę, tutaj. Żeby tylko drzwi! Błagałem drzwi, ale były z drewna: zaskrzypiały, pisnęły. Jak wicher - zieleń, czerwień, żółty Budda - przed lustrzanymi drzwiami szafy: moja blada twarz, czujne oczy, usta... Słyszę - przez szum krwi - drzwi znowu skrzypią... To on, on.

Złapałem za kluczyk w drzwiach szafy - kółeczko się obróciło. To mi coś przypomniało - znów błyskawiczny, nagi, bez przesłanek, wniosek - czy raczej odprysk: „Wtedy! - -”. Szybko otworzyłem drzwi szafy - znalazłem się w środku, w mroku, szczelnie je zatrasnąłem. Jeden krok - ziemia zakołysała się pod nogami. Powoli, miękko popłynąłem gdzieś w dół, w oczach mi pociemniało, umarłem.

Później, kiedy przyszło mi spisywać wszystkie te dziwne przypadki, poszukałem w pamięci w książkach - i teraz oczywiście rozumiem: to był stan pozornej śmierci, znany starożytnym i - o ile wiem - absolutnie nieznanym u nas.

Nie mam pojęcia, jak długo byłem martwy, pewnie 5-10 sekund, ale dopiero po pewnym czasie zmartwychwstałem, otworzyłem oczy: ciemno, czuję - w dół, w dół... Wyciągnąłem rękę - uczepliłem się - zadrapała szorstka, szybko umykająca ściana, na palcu krew, jasne - to wszystko nie jest igraszką mojej chorej wyobraźni. Ale to jest - co?

Słyszałem swój urywany, nieregularny oddech (wstyd mi się przyznać - ale wszystko było tak nieoczekiwane i niepojęte). Minuta, dwie, trzy - ciągle w dół. Wreszcie - miękkie szarpnięcie: to, co zapadło się pod moimi nogami - znieruchomiało. W ciemnościach

wymacałem jakiś uchwyt, szarpnąłem - otworzyły się drzwi - matowe światło. Zdążyłem dostrzec: za moimi plecami szybko unosiła się w górę niewielka kwadratowa platforma. Skoczyłem - ale było już za późno: zostałem odcięty... Tutaj - nie wiem gdzie.

Korytarz. Tysiąctonowa cisza. Pod półokrągłymi sklepieniami - żarówki, bezkresny, migotliwy, drżący wielokropek. Podobne to było trochę do „rur” naszych podziemnych kolei, choć znacznie węższe i nie z naszego szkła, lecz z jakiegoś starodawnego materiału. Przeleciało mi przez głowę - o podziemiach, gdzie jakoby ukrywano się podczas Wojny Dwustuletniej... Tak czy owak: trzeba iść.

Szedłem, przypuszczam, ze dwadzieścia minut. Skręciłem w prawo, korytarz stał się szerszy, żarówki mniej jaskrawe. Jakieś niewyraźne echo. Może maszyny, może głosy - nie wiem. Doszedłem do ciężkich, nieprzejrzystych drzwi: echo stamtąd.

Zastukałem: jeszcze raz - głośniejsz. Za drzwiami - ucichło. Coś szcęknęło, drzwi otworzyły się - powoli, ciężko.

Nie wiem, który z nas dwóch bardziej osłupiał - przede mną stał lancetowaty, cienki doktor.

- Wy? Tutaj? - i nożyce zamknęły się z trzaskiem. A ja - jakbym nigdy nie znał żadnego ludzkiego słowa: milczałem, patrzyłem i zupełnie nie rozumiałem, co do mnie mówił. Pewnie, że powinienem stamtąd odejść, bo potem swoim płaskim, papierowym brzuchem szybko wyparł mnie aż do końca tej jaśniejszej części korytarza - i popchnął w plecy.

- Przepraszam... chciałem... myślałem, że ona, I-330... Ale za mną...

- Stójcie tutaj - uciał doktor i zniknął.

Nareszcie! Nareszcie ona obok, tutaj - czyż nie wszystko jedno, gdzie „tutaj”. Znajomy, szafranowożółty jedwab, kąśliwy uśmiech, oczy za zasłoną... Drżały mi wargi, ręce, kolana - a w głowie idiotyczna myśl:

„Drganie to dźwięk. Drżenie powinno wydawać dźwięk. Dlaczego więc nic nie słychać?”.

Jej oczy otwarły się ku mnie - na oścież, wszedłem do środka...

- Nie mogłem dłużej! Gdzie wyście byli? Dlaczego - nie odrywając od niej oczu mówiłem jak w malignie - szybko - nielogicznie - może nawet tylko myślałem. - Cień - za mną... Umarłem - z szafy... Bo ten wasz... mówi nożycami: mam duszę... nieuleczalną...

- Nieuleczalną duszę! Ach, mój biedaczek! - I roześmiała się - i spryskała mnie śmiechem: odeszła mnie maligna, wszędzie migotały, dzwoniły drobinki śmiechu i jak - jak piękne było wszystko.

Zza węgła wywinął się doktor - cudowny, wspaniały, najcieńszy na świecie.

- No - zatrzymał się przy niej.

- Nic, nic! Potem wam opowiem. On przypadkiem... Powiedzcie, że wracam za...
mniej więcej piętnaście minut...

Doktor znikł za rogiem. Czekala. Głucho stuknęły drzwi. Wtedy I powoli, powoli, coraz głębiej wbijając mi w serce ostrą, słodką igłę - przywarła do mnie ramieniem, ręką, całą sobą - i poszliśmy razem, razem z nią - dwoje - jedno...

Nie pamiętam, gdzie skręciliśmy w ciemność - a w ciemności po stopniach w górę, bez końca, w milczeniu. Nie widziałem, ale wiedziałem: szła tak samo jak ja - z zamkniętymi oczami, ślepa, z głową odrzuconą do tyłu, z przygryzionymi wargami - wsłuchana w muzykę: moje ledwo słyszalne drzenie.

Ocknąłem się w jednym z niezliczonych zakamarków podwórza Domu Starożytności: jakiś płot, z ziemi - nagie, kamieniste żebra i żółte zęby rozwalonych ścian. Otworzyła oczy, powiedziała: „Pojutrze o 16”. Odeszła.

Czy to wszystko działo się rzeczywiście? Nie wiem. Dowiem się pojutrze. Realny ślad jest tylko jeden: na prawej ręce - na czubkach palców - zdarta skóra. Ale dzisiaj na *Integralu* Drugi Konstruktor zapewniał mnie, że sam widział, jak przypadkiem dotknąłem tymi właśnie palcami ściernicy szlifierki - ot, i tyle. Cóż, być może. Bardzo prawdopodobne. Nie wiem - nic nie wiem.

Notatka 18

Konspekt:

DŻUNGLA LOGICZNA

RANY I PLASTER

NIGDY WIĘCEJ

Wczoraj położyłem się - i od razu zapadłem na dno snu. Jak przeładowany statek, który przewrócił się na burtę. Masa głuchej, rozkołysanej, zielonej wody. Pomału wypływam z dna na powierzchnię, gdzieś jeszcze w głębi otwieram oczy: mój pokój, zielony, wczesny, zastygły poranek. W lustrzanych drzwiach szafy - odłamek słońca - prosto w oczy. To on nie daje wyrobić godzin snu ściśle wyznaczonych przez Dekalog. Najlepiej byłoby otworzyć szafę. Ale cały jestem jak w pajęczynie, pajęczyna na oczach, nie mam siły wstać...

Wstałem przecież, otworzyłem - i naraz za lustrzanymi drzwiami, wyplątująca się z sukni, cała różowa - I. Tak się ostatnio przyzwyczałem do rzeczy najzupełniej nieprawdopodobnych, że, jeśli pamiętam, nawet się wcale nie zdziwiłem, o nic nie spytałem: byle prędzej do szafy, zatrzasnąłem za sobą lustrzane drzwi - i bez tchu, pospiesznie, na oślep, chciwie połączyłem się z I. Jak dziś widzę: *przez szparę* w drzwiach, w ciemnościach - ostry słoneczny promień załamuje się błyskawicą na ziemi, na ścianie szafy, wyżej - i oto okrutne, migotliwe ostrze spadło na odchyłoną w tył, nagą szyję I... I było w tym dla mnie coś tak strasznego, że nie wytrzymałem, krzyknąłem - i jeszcze raz otworzyłem oczy.

Mój pokój. Zielony, wczesny, zastygły poranek. Na drzwiach szafy odłamek słońca. Ja - w łóżku. Sen. Ale serce wali jak szalone, dygocze, rozpryskuje się, drętwiąją czubki palców, kolana. To - poza wszelką wątpliwością. I nie wiem teraz: gdzie sen - gdzie jawa; wielkości urojone, irracjonalne, wyrastają z ustalonych, zwykłych trzech wymiarów, a zamiast twardych, szlifowanych płaszczyzn - wokoło jakieś chropowatości, kosmatości...

Do dzwonka jeszcze daleko. Leżę, myślę - układa mi się przedziwny logiczny ciąg.

Każdemu równaniu, każdej formule w świecie powierzchni odpowiada krzywa lub ciało. Nie znamy jednak ciał, które odpowiadałyby formułom irracjonalnym, urojonym, mojemu $\sqrt{-1}$, nigdyśmy takich nie widzieli... Ale najstraszniejsze jest to, że takie ciała - niewidzialne - istnieją, niechybnie, nieuchronnie muszą istnieć: bo w matematyce, jak na ekranie, jawią się przed nami ich niedorzeczne, złośliwe widma - formuły irracjonalne; ani

matematyka, ani śmierć - nie myślą się nigdy. Skoro zaś tych ciał nie widzimy w naszym świecie, na powierzchni, istnieje dla nich - niechybnie musi istnieć - cały ogromny świat tam, pod powierzchnią...

Nie czekając już na dzwonek zerwałem się na równe nogi, zacząłem biegać po pokoju. Moja matematyka - dotąd wyjątkowo trwała i niewzruszona wyspa w moim wytraconym z posad życiu - dziś oderwała się od podłoża, popłynęła z prądem, zawirowała. A więc z tego wynika, że ta idiotyczna „dusza” jest tak samo realna jak moja junifa, jak moje buty - chociaż w tej chwili ich właśnie nie widzę (są za lustrzanymi drzwiami szafy)? Skoro zaś buty to nie choroba - dlaczegoż ma nią być „dusza”?

Szukałem i nie mogłem znaleźć wyjścia z tych dzikich chaszczy logiki. Była to taka sama nieznana i straszna dżungla, jak tamta za Zielonym Murem - były to równie niezwykle, niepojęte, mówiące jestestwa. Zdawało mi się - przez jakąś grubą szybę - widzę: nieskończenie ogromny, a zarazem nieskończenie mały, skorpionowaty, z ukrytym, ale przez cały czas wyczuwalnym minusem-żądłem: $\sqrt{-1}$... A może to właśnie jest moja „dusza”, która na podobieństwo legendarnego skorpiona starożytnych z własnej woli wbija sobie żądło - to wszystko, co...

Dzwonek. Dzień. Wszystko to, nie umierając, nie ginąc - trwa, tyle że przesłonięte dziennym światłem; tak jak przedmioty widzialne nie umierają w nocy, przesłonięte sferą mroku. W głowie - lekka, chybotliwa mgła. Za mgłą - długie, szklane stoły; powoli, w milczeniu, rytmicznie poruszające szczękami głowokule. Daleko, za mgłą, cyka metronom, a ja w takt tej pieszczotliwie zwykłej muzyki machinalnie wraz z innymi liczę do pięćdziesięciu: pięćdziesiąt legalnych przeżywających ruchów na każdy kąsek. Machinalnie wybijając takt schodzę na dół, odnotowuję swój numer w książce wyjść - jak wszyscy. Czuję jednak: żyję osobno, odrębnym życiem, sam jeden, odgrodzony miękką, pochłaniającą dźwięki ścianą, a za tą ścianą - mój świat...

Ale: jeżeli ten świat jest tylko mój - dlaczego znalazł się tu, na tych stronicach? Po co tutaj te idiotyczne „sny”, szafy, bezkresne korytarze? Z goryczą dostrzegam, że zamiast precyzyjnego i harmonijnie matematycznego poematu na cześć Państwa Jedyne - wychodzi mi jakaś fantastyczna powieść przygodowa. Ach, gdyby to w istocie była tylko powieść, a nie moje obecne życie, pełne iksów, $\sqrt{-1}$ i upadków.

Zresztą - może wszystko będzie lepiej. Najprawdopodobniej wy, moi nieznani czytelnicy - jesteście wobec nas dziećmi (nas przecież wychowało Państwo Jedyne - osiągnęliśmy przez to najwyższe szczyty dostępne człowiekowi). A jako dzieci - bez krzyku przełkniecie tę gorzką pigułkę, którą podam wam starannie oblaną przygodowym syropem...

Wieczorem

Czy znacie to uczucie, gdy mkniecie na aero wzwyż niebieską spiralą, okno otwarte, podmuch świszczę prosto w twarz - Ziemi nie ma, o Ziemi się zapomina, Ziemia jest równie od was daleko, co Saturn, Jowisz, Wenus? Tak teraz żyję, w twarz - podmuch, zapomniałem o Ziemi, zapomniałem o miłej, różowej O. Ziemia jednak istnieje, wcześniej czy później - trzeba na niej wylądować, i mogę tylko nie patrzeć na dzień, który w mojej Tabeli Seksualnej oznaczony jest jej numerem - numerem 0-90...

Dziś wieczorem daleka Ziemia przypomniała o sobie.

Żeby stosować się do zaleceń lekarza (naprawdę, naprawdę chcę wyzdrowieć) - przez bite dwie godziny spacerowałem po szklanych, prostokątnych pustyniach alej. Wszyscy, zgodnie z Dekalogiem, siedzieli w audytoriach, tylko ja jeden... Było to w istocie szkaradne widowisko: wyobraźcie sobie ludzki palec odcięty od całości, od ręki - pojedynczy ludzki palec, przygarbiony, podskakując biegnie po szklanym trotuarze. Tym palcem byłem ja. A najdziwniejsze, najstraszniejsze - że ten palec nie ma ochoty tkwić na ręce, razem z innymi: albo tak - sam, albo... No, tak, nie ma co ukrywać: albo obok niej - tamtej, znowu tak samo przelewając w nią siebie przez zetknięcia ramion, przez splecione palce rąk...

Wróciłem do domu, kiedy słońce już zachodziło. Różowy popiół wieczoru - na szkle ścian, na złocie iglicy akumulacyjnej, na głosach i uśmiechach mijanych numerów. Czy to nie dziwne: gasnące promienie słońca padają dokładnie pod tym samym kątem co wschodzące rankiem, a przecież są całkiem inne, inna to różowość - bardzo teraz spokojna, troszeczkę gorzkawa, a z rana - znowu będzie dźwięczna, buzująca.

Na dole, w westybulu, spod stosu kopert obsypanych różowym popiołem -, kontrolerka, wyciągnęła i podała mi list. Powtarzam - to kobieta godna najwyższego szacunku, jestem pewien - żywi wobec mnie jak najlepsze uczucia.

A jednak za każdym razem, gdy widzę te obwisłe policzki podobne do rybich skrzeli - nie wiedzieć czemu robi mi się nieprzyjemnie.

Wężlastą ręką podając mi list - westchnęła. Westchnienie to jednak nieznacznie tylko zakotłosało zasłoną dzielącą mnie od świata: ja sam byłem jedynie prostopadłym rzutem na drżącą w mojej ręce kopertę, która - nie wątpię - zawierała list od I.

W tym momencie - drugie westchnienie, tak ostentacyjne, podkreślone podwójną linią, że oderwałem się od koperty - i zobaczyłem: między skrzelami, pod wstydliwymi

żaluzjami spuszczonej oczu - tkliwy, oblepiający, oślepiający uśmiech. A potem:

- Biedniście wy, biedni - westchnienie z potrójną linią i ledwie widoczny gest w stronę listu (treść naturalnie znała - to jej obowiązek).

- Nie, doprawdy... Dlaczego?

- Tak, tak, mój drogi, znam was lepiej niż wy sami. Od dawna was obserwuję - i widzę: musicie mieć w życiu oparcie w kimś, kto od wielu lat zgłębiał życie...

Czuję: cały jestem oblepiony jej uśmiechem - to plaster na rany, które za chwilę zada mi list drżący w mojej ręce. I wreszcie - spod wstydlivych żaluzji - całkiem cicho:

- Zastanowię się, mój drogi, zastanowię. Możecie być spokojni: jeżeli znajdę w sobie dość siły - nie, nie, najpierw jeszcze muszę się zastanowić...

O, Dobroczyńco Wielki! Czyżby sążone mi było... czy ona chce powiedzieć, że...

Przed oczyma - falowanie, tysiące sinusoid, list tańczy w ręce. Podchodzę bliżej światła, pod ścianę. Tam gaśnie słońce i stamtąd - na mnie, na posadzkę, na moje ręce, na list - coraz gęściej ciemnoróżowy żalobny popiół.

Koperta rozdarta - prędzej podpis - i rana - to nie I, nie I, to... O. Jeszcze jedna rana: u dołu karteczki, w prawym rogu - rozmazany kleks - tutaj kapnęło... Nie znoszę kleksów - wszystko jedno: z atramentu czy z... wszystko jedno jakich. Wiem - dawniej - byłoby mi po prostu nieprzyjemnie, nieprzyjemnie oczom - przez tę nieprzyjemną plamę. Ale dlaczego dziś ta szarawa plamka - jak chmura i przez nią - wszystko coraz bardziej ołowiane i ciemne? Czy to znowu „dusza”?

LIST:

„Wiecie... albo może nie wiecie - nie potrafię tego jak trzeba napisać - wszystko jedno: teraz już wiecie, że bez was nie istnieje dla mnie żaden dzień, żaden ranek, żadna wiosna. Dlatego, że R to dla mnie tylko... No, to dla was nieważne. Jestem mu w każdym razie bardzo wdzięczna: sama bez niego w ciągu tych dni - nie wiem, co bym... W ciągu tych dni i nocy przeżyłam dziesięć, a może dwadzieścia lat. Jakby mój pokój był - nie czworokątny, ale okrągły, bez końca - dokoła, dokoła, i ciągle to samo, i nigdzie drzwi.

Nie mogę bez was - bo was kocham. Bo widzę, rozumiem: nikogo teraz, nikogo na świecie wam nie potrzeba, prócz tamtej, drugiej, i - rozumiecie: właśnie dlatego, że was kocham, powinnam - -

Trzeba mi jeszcze tylko paru dni, żeby z okruszyn skleić jakoś coś, co by choć trochę przypominało dawny numer 0-90, - i pójdę, i sama złożę

oświadczenie, że wycofuję swój zapis na was, i będzie wam lepiej, i musi wam być dobrze. Nigdy już więcej nie będę, proszę wybaczyć.

O”

Nigdy więcej. Pewnie, że tak lepiej: ma rację. Ale dlaczego, dlaczego - -

Notatka 19

Konspekt:

NIESKOŃCZENIE MAŁA TRZECIEGO RZĘDU

SPODE ŁBA

ZA PARAPET

Tam, w dziwnym korytarzu z drżącym wielokropkiem mętnych żarówek... chociaż nie, nie - nie tam: potem, gdy byliśmy już z nią w jakimś zagraconym zakamarku podwórza Domu Starożytności - powiedziała: „pojutrze”. To „pojutrze” - to dzisiaj, i wszystko - na skrzydłach, dzień - ulatuje, i nasz *Integral* jest już skrzydlaty: zakończono montaż silnika rakietowego, dzisiaj przeprowadzono jego próbny rozruch. Cóż za wspaniałe, potężne salwy, a dla mnie - każda z nich to salut na cześć tamtej, jedynej, na cześć dzisiejszego dnia.

W momencie pierwszego odpalenia (= wystrzału) pod wylotem silnika, jak się okazało, guzdrało się jeszcze z dziesięć numerów z naszej pochylni - śladu po nich nie zostało prócz jakichś okruszyn i sadzy. Z dumą notuję w tym miejscu, że ani na sekundę nie zakłóciło to rytmu naszej pracy, nikt nawet nie drgnął; i my, i nasze stanowiska - kontynuowaliśmy nasz ruch prostoliniowy i obrotowy ciągle z tą samą dokładnością, jakby nic się nie zdarzyło. Dziesięć numerów - to zaledwie jedna stumilionowa część masy Państwa Jedynego, w praktycznych kalkulacjach - to nieskończenie mała trzeciego rzędu. Arytmetycznie ignorancką litość żywili tylko starożytni: nas to śmieszy.

I śmieszy mnie też, że wczoraj mogłem tracić czas na myślenie - i nawet notowanie na tych stronicach - o jakiejś tam żalostnej, szarawej plamce, o jakimś tam kleksie. To znów „rozmiękczenie powierzchni”, która powinna mieć twardość diamentu - jak nasze ściany (starożytne przysłowie: *jak groch o ścianę*).

Godzina szesnasta. Nie poszedłem na dodatkowy spacer: kto wie, może jej strzeli do głowy właśnie teraz, kiedy wszystko aż dzwoni od słońca.

Jestem prawie sam w domu. Przez ściany prześwietlone słońcem - widzę daleko w prawo, w lewo i w dół - zawieszone w powietrzu puste pokoje, które powtarzają się jak w lustrze. Tylko po błękitnawych, z lekka podczernionych tuszem schodach - powoli przesuwają się w górę chudy, szary cień. Słysząc już kroki - widzę przez drzwi - i czuję: przylepiony do mnie plaster-uśmiech - więc bokiem, po drugiej klatce - na dół...

Szczęknienie numeratora. Rzuciłem się w wąskie białe przejście - a tu... a tu - jakiś nieznany mi męski (na spółgłoskę) numer. Zahuczała, trzasnęła winda. Przedemną - niechlujnie, na bakier przekrzywione czoło, a oczy... przedziwne wrażenie: jakby mówił stamtąd, spode łba, gdzie oczy.

- List od niej - (spode łba, spod nawisu) - prosiła, żeby zaraz, wszystko, jak napisane.

Spode łba, spod nawisu - wokoło. Przecież nikogo, nikogo tu nie ma, no, dawaj! Raz jeszcze się rozejrzył, podał mi kopertę, wyszedł. Zostałem sam.

Nie, nie sam: z koperty - różowy talon i - ledwie wyczuwalny - jej zapach. To ona, ona przyjdzie, przyjdzie do mnie. Prędeż - list, żeby zobaczyć na własne oczy, żeby w to uwierzyć do końca...

Co? Niemożliwe! Czytam jeszcze raz - przeskakuję linijki: „Talon... i zaraz opuście zasłony, jakbym rzeczywiście u was była... Muszą myśleć, że ja... bardzo, bardzo żałuję...”

List - na strzępy. W lustrze na sekundę - moje zniekształcone, złamane brwi. Chwytam talon, żeby tak samo jak jej liścik - - - „Prosiła, żeby zaraz - wszystko jak napisane...”

Ręce osłabły, opadły. Talon osunął się na stół. Jest silniejsza ode mnie, chyba zrobię tak, jak chce. A zresztą... zresztą nie wiem: zobaczymy - do wieczora jeszcze daleko... Talon leży na stole.

W lustrze moje zniekształcone, złamane brwi. Dlaczego nie mam świadectwa lekarskiego także na dzisiaj: żebym mógł iść, chodzić bez końca, obejść cały Zielony Mur - a potem opaść na łóżko - na dno... A tu muszę - do audytorium 13; muszę sobie mocno dokręcić śrubę, żeby dwie godziny, dwie godziny - bez ruchu... kiedy chce się krzyknąć, tupać.

Wykład. Przedziwne - z połyskliwego aparatu - nie metaliczny jak zwykle, ale jakiś miękki, mechaty, omszały głos. Kobiety - majaczy przede mną taka, jak w dawnych czasach: malutka - skurczona starowinka, jak tamta - przy Domu Starożytności.

Dom Starożytności... i wszystko naraz - jak gejzer - z dołu i muszę z całej siły dokręcić sobie śrubę, żeby nie zalać krzykiem całego audytorium. Miękkie, mechate słowa - obok mnie, zostaje tylko: coś - o dzieciach, o hodowli dzieci. Jestem jak błona fotograficzna; utrwalam wszystko z jakąś obcą, nie moją, bezsensowną dokładnością: złoty sierp - odbłask światła na głośniku; pod nim - dziecko, żywa ilustracja - trafia do serca; w ustach rąbek mikroskopijnej junify; mocno zaciśnięta piąstka, wielki (raczej - bardzo mały) palec schowany do środka - lekki, pulchny cień - fałdka na nadgarstku. Jak błona fotograficzna - utrwalam: teraz goła noga - przewieszona przez krawędź, różowy wachlarz palców daje krok

w powietrze - zaraz, zaraz na ziemię - -

I - krzyk kobiety, na estradę przejrzystymi skrzydłami frunęła junifa, pochwyciła dziecko - wargami - pulchną fałdkę na nadgarstku, posadziła na środku stołu, zeszła z podwyższenia. Utrwalam: różowy - różkami w dół - półksiężyc ust, pełne po brzegi niebieskie spodeczki-oczy. To - O. I naraz jakbym czytał jakąś harmonijną formułę - czuję konieczność, prawidłowość tego głupiego przypadku.

Usiadła za mną, po lewej. Obejrzałem się: posłusznie oderwała oczy od stołu z dzieckiem, oczyma - ku mnie, we mnie i znów: ona, ja i stół na podwyższeniu - trzy punkty, i przez te trzy punkty - poprowadzone linie, projekcja jakichś nieuniknionych, niewidzialnych jeszcze zdarzeń.

Do domu - ulicą zieloną, ogarniętą zmierzchem, łypiącą już światłami. Słyszałem: cykam jak zegarek. A wskazówki we mnie - lada chwila przeskoczą jakąś cyfrę, zrobię coś, czego już się nie da odwrócić. Ktoś musi myśleć: ona jest u mnie. To jej potrzebne. A mnie jest potrzebna ona i co mi tam z jej „potrzeba”. Nie chcę być cudzą zasłoną - nie chcę i już.

Z tyłu - znajome, jak po kałużach plaskające kroki. Nie oglądam się już, wiem: S. Dojdzie za mną do samych drzwi - a potem na pewno będzie stał na dole, na trotuarze, wwiercając się swoimi świderkami w mój pokój - tam na górze - aż opadną zasłony kryjąc czyjeś zbrodnie...

On, Anioł Stróż, przeważył szalę. Postanowiłem: nie. Postanowiłem.

Kiedy wszedłem do pokoju i zapaliłem światło, nie mogłem uwierzyć oczom: przy moim biurku stała O. Raczej - wisiała: tak wisi puste, zdjęte ubranie - jakby pod jej ubraniem nie było już najmniejszej sprężynki, bez-sprężyste ręce, nogi, bez-sprężysty, obwisły głos.

- Ja w sprawie mojego listu. Dostaliście go? Tak? Muszę znać odpowiedź, muszę - dzisiaj.

Wzruszyłem ramionami. Z lubością - jakby to ona była wszystkiemu winna - patrzyłem na jej niebieskie oczy, pełne po brzegi - zwlekałem z odpowiedzią. I z lubością, wbijając w nią słowo za słowem, powiedziałem:

- Odpowiedź? Cóż... Macie rację. Bezsprzecznie. We wszystkim.

- A więc... (uśmiech przesłania drobniutkie drżenie, ale ja to drżenie dostrzegam) - No, dobrze! Zaraz - zaraz idę.

I wisiała nad stołem. Opuszczone oczy, ręce. Na stole jeszcze leży zgnieciony różowy talon tamtej. Pospiesznie rozłożyłem mój rękopis - „MY” - jego stronicami przesłoniłem talon (może bardziej przed sobą samym, niż przed O).

- Ciągłe piszę... Już 170 stron... Wychodzi coś tak nieoczekiwanego...

Głos - cień głosu:

- A pamiętacie... Ja wam wtedy na siódmej stronie... Ja wam wtedy kapnęłam i wy...

Niebieskie spodeczki - przez brzeg, nad krawędzią bezszelestne, szybkie krople - po policzkach, w dół, szybkie - nad krawędzią - słowa:

- Nie mogę, zaraz pójdę... nigdy więcej i już. Tylko chcę - muszę z wami dziecko - dajcie mi dziecko i odejdę, odejdę!

Widziałem: cała drży pod junifą, i czułem: ja też zaraz - - Założyłem ręce do tyłu, uśmiechnąłem się:

- Co? Zachciało się Maszyny Dobroczyńcy?

A na mnie - wciąż tak samo, potokami przez zapory - słowa:

- To nie! Ale przecież poczuje, poczuje je w sobie. Choćby przez kilka dni... Zobaczyć - raz tylko zobaczyć u niego fałdkę, o, tu - jak tam - na stole. Jeden dzień!

Trzy punkty: ona, ja - i tam na stole piastka z pulchną fałdką.

Kiedyś w dzieciństwie, pamiętam, zaprowadzono nas na wieżę akumulacyjną. Na najwyższym podeście wychyliłem się poza szklany parapet, w dole ludzie-kropki, a serce piknęło rozkosznie: „A gdyby tak?”. Wtedy tylko jeszcze mocniej uchwyciłem się poręczy; teraz - skoczyłem w dół.

- Więc chcecie? Chociaż doskonale zdajecie sobie sprawę, że...

Zamknięte - jakby wprost pod słońce - oczy. Mokry, promienny uśmiech.

- Tak, tak! Chcę!

Wyciągnąłem spod rękopisu różowy talon - *tamtej* - pobiegłem na dół, do dyżurnego. O złapała mnie za rękę, coś krzyknęła, ale co - pojąłem dopiero potem, gdy wróciłem.

Siedziała na brzegu łóżka, ręce mocno ściśnięte kolanami.

- To... to jej talon?

- Czy nie wszystko jedno? No, tak, jej.

Coś chrupnęło. Najpewniej - O po prostu się poruszyła. Siedziała, ręce między kolanami, milczała.

- No? Prędszej... - brutalnie ścisnąłem ją za rękę - czerwone plamy (jutro - siniaki) na jej nadgarstku, tam - gdzie pulchna dziecinna fałdka.

To - ostatnie okruciny. Potem - przekreślony wyłącznik, myśli gasną, mrok, iskry - i ja przez parapet w dół...

Notatka 20

Konspekt:

WYŁADOWANIE

MATERIAŁ IDEI

ZRĄB ZERA

Wyładowanie - to najlepsze słowo. Widzę teraz, że było to właśnie całkiem jak wyładowanie elektryczne. Puls moich ostatnich dni był coraz bardziej jałowy, coraz szybszy, napięcie rosło - bieguny coraz bliżej - suche trzaski - jeszcze milimetr: eksplozja, potem - cisza.

Bardzo teraz cicho i pusto we mnie - jak w domu, gdy wszyscy wyjdą, a ktoś chory leży sam, wyraźnie słysząc dobitne, metaliczne postukiwanie myśli.

Być może to „wyładowanie” wyleczyło mnie wreszcie z mojej dręczącej „duszy” - znowu stałem się taki sam, jak my wszyscy. W każdym razie teraz, nie odczuwając żadnego bólu, wyobrażam sobie O na stopniach Sześcianu, widzę ją w myślach pod Dzwonem Gazowym. A jeżeli tam, na Operacyjnym, wymieni moje imię - to trudno: w ostatniej chwili - nabożnie i z wdzięcznością ucałuję karzącą rękę Dobroczyńcy. Wobec Państwa Jedynego mam to prawo - ponieść karę, i prawa tego się nie wyrzeknę. Nikt spośród nas, numerów, nie może, nie śmie zaprzeczyć się swego jedynego - a zatem najcenniejszego - prawa.

... Cichutko, z metaliczną dobitnością postukują myśli: nieznanne aero unosi mnie w niebieską wyżynę moich najmielszych abstrakcji. Widzę, jak tutaj - w przeczystym, rozrzedzonym powietrzu - z lekkim trzaskiem, jak opona pneumatyczna - pęka mój wywód na temat „aktywnego prawa”. Widzę jasno, że to tylko odprysk idiotycznego przesądu starożytnych - ich idei „prawa”.

Są idee gliniane - i są idee na wieki utrwalone w złocie czy w naszym drogocennym szkle. Aby zaś ustalić materiał idei, wystarczy tylko kapnąć na nią silnie działającym kwasem. Jeden z takich kwasów znany był też starożytnym: *reductio ad finem*. Zdaje się, że tak to się u nich nazywało; bali się jednak tego jadu, woleli widzieć niebo choćby byle jakie, choćby gliniane, niby zwykła zabawka niż niebieską nicość. My natomiast - chwała Dobroczyńcy - jesteśmy dorośli i zabawek nam nie potrzeba.

A więc - kapnijmy kwasem na idee „prawa”. Nawet starożytni - ci najdojrzalsi -

wiedzieli: źródło prawa w sile, prawo - to funkcja siły. I otóż mamy przed sobą dwie szale wagi; na jednej - gram, na drugiej - tona, na jednej - „ja”, na drugiej - „My”, Państwo Jedyne. I wszystko jest jasne: w zupełności na jedno wychodzi, czy zgodzimy się, że „ja” może mieć jakieś tam „prawa” wobec Państwa, czy też założymy, że gram mógłby zrównoważyć tonę. Dlatego właśnie podział: dla tony - prawa, dla grama - obowiązki; i naturalna droga od nicstwa do wielkości: zapomnieć, że jesteś - gramem, poczuć się milionową cząstką tony...

W mojej niebieskiej ciszy słyszę wasze szemrania, zażywni, rumiani Wenusjanie, Uranici, usmoleni jak kowale! Zrozumcież jednak: to, co wielkie - zawsze jest proste; zrozumcie: niewzruszone i wieczne są tylko cztery reguły arytmetyki. Wielka, niewzruszona, wieczna - pozostanie więc jedynie moralność oparta na czterech regułach. To - ostateczna mądrość, to - wierzchołek owej piramidy, na którą ludzie, czerwoni z wysiłku, *rząc* i osuwając się, drapali się przez wieki. Z tego zaś wierzchołka - tam, na dnie, gdzie nikczemnym robactwem mrowi się jeszcze to, co zachowało się w nas z dzikości przodków - z wysokości tego wierzchołka stają się tym samym: i nielegalna matka - O, i morderca, i ów szaleniec, który śmiało rzucił w Państwo; i jeden czeka ich wszystkich wyrok: przyspieszona śmierć. To jest właśnie ta boska sprawiedliwość, o której w świetle różowych naiwnych promieni poranka historii marzyli ludzie epoki kamiennych domów: ich „Bóg” - bluźnierstwo przeciwko Świętemu Kościołowi karał tak samo, jak morderstwo.

Milczycie, Uranici, surowi i czarni jak starożytni Hiszpanie, którzy umieli mądrze posługiwać się stosem - wydaje mi się, że trzymacie moją stronę. Słyszę jednak: różowi Wenusjanie - coś tam o torturach, kaźniach, o powrocie do barbarzyństwa. Moi drodzy: szkoda mi was - nie jesteście zdolni do myślenia matematyczno-filozoficznego.

Historia ludzkości biegnie w górę po kręgach - jak aero. Kręgi są różne - złote, krwawe, wszystkie jednak tak samo dzielą się na 360 stopni. Zatem od zera - naprzód: 10, 20, 200, 360 stopni - znowu zero. Tak, wróciliśmy do zera, zgadza się. Lecz dla mojego matematycznego umysłu jest jasne: to całkiem inne, nowe zero. Odeszliśmy od zera w prawo - powróciliśmy do zera z lewa, a zatem: zamiast plus zero - mamy minus zero. Rozumiecie?

To zero jawi mi się jako jakiś zrab, milczący, olbrzymi, wąski, ostry jak nóż. W rozjuszonych kosmatej ciemności, wstrzymując oddech, odbiliśmy od czarnej, nocnej strony Zrębu Zera. Przez wieki - my, Kolumbowie, płynęliśmy, płynęli, okrążyliśmy całą ziemię - nareszcie, hura! Wiwat - i wszyscy na maszty: przed nami - inny, dotychczas nieznaną bok Zrębu Zera, opromieniony polarną zorzą Państwa Jedynego - błękitna bryła, iskry tęczy, słońca - setki słońc, miliardy tęczy...

Cóż to szkodzi, że tylko ostrze noża dzieli nas od drugiej, czarnej strony Zrębu Zera.

Nóż - to najtrwalsza, najnieśmiertelniejsza, najgenialniejsza rzecz, jaką stworzył człowiek.
Nóż - był gilotyną, nóż - to uniwersalna metoda rozwiązywania wszelkich węzłów, po ostrzu
noża wiedzie ścieżka paradoksów - jedyna ścieżka godna nieustraszonego rozumu...

Notatka 21

Konspekt:

AUTORSKA POWINNOŚĆ

LÓD ROŚNIE

NAJTRUDNIEJSZA MIŁOŚĆ

Wczoraj był jej dzień, a ona - znowu nie przyszła, i znów od niej - niepojęty, nic nie mówiący liścik. Ale jestem spokojny, zupełnie spokojny. Postępuje tak, jak mi dyktuje liścik, odnoszę dyżurnemu jej talon, a potem, opuściwszy zasłony, siedzę sam we własnym pokoju - ma się rozumieć nie dlatego, żebym nie miał siły oprzeć się jej zachciankom. Śmiechu warte! Oczywiście, że tak nie jest. Po prostu - po pierwsze, odgradzony zasłonami od wszystkich plastro-zbawiennych uśmiechów, mogę spokojnie pokrywać notatkami te tutaj stronicie. A po drugie: wraz z nią, z I, boję się utracić jedyny być może klucz do wszystkich niewiadomych (historia z szafą, moja czasowa śmierć itp.). Rozwiązanie tych zagadek uważam obecnie za moją powinność - choćby jako autora tych notatek, nie mówiąc już o tym, że w ogóle rzeczy niewiadome są z natury wrogie człowiekowi, a homo sapiens - tylko wówczas jest człowiekiem w pełnym sensie tego słowa, kiedy jego gramatyka w ogóle nie zna znaków zapytania, a same tylko wykrzykniki, przecinki i kropki.

Tak więc, powodowany, jak sądzę, autorskim poczuciem obowiązku, dzisiaj o 16 wzięłem aero i znowu przejechałem się do Domu Starożytności. Leciałem pod wiatr. Aero z trudem przedzierało się przez gąszcz powietrza, przezroczyste gałęzie smagały ze świstem jego kadłub. Miasto w dole - całe jakby z błękitnych brył lodu. Nagle - chmura, szybki ukośny cień, lód robi się jak z ołowiu - wzbiera jak wiosną, kiedy czeka się na brzegu: zaraz trzaśnie, ruszy, zakręci, poniesie: lecz mija chwila za chwilą, a lód nadal stoi, i w tobie samym coś wzbiera, serce bije coraz niespokojniej, coraz szybciej (dlaczego zresztą o tym piszę, skąd te dziwne wrażenia? Dlatego, że nie ma przecież takich lodów, które mogłyby zdruzgotać najprzezroczystszy i najtrwalszy kryształ naszego życia...).

U wejścia do Domu Starożytności - pustki. Obszedłem dom i ujrzałem starowinkę-stróżkę pod Zielonym Murem: osłoniła dłonią oczy, patrzyła w górę. A nad Murem - ostre, czarne trójkąty jakichś ptaków: kracząc rzucają się do szturmu – piersią o mocną przegrodę fal elektrycznych - i w tył, i znów za Murem.

Widzę: po ciemnej, zarosłej zmarszczkami twarzy - ukośne, szybkie cienie, szybkie spojrzenie na mnie:

- Nie ma nikogo, nikogo, nikogusieńko! Tak! I nie ma po co chodzić! Tak!...

Jak to, nie ma po co? I cóż to za dziwne obyczaje: traktować mnie wyłącznie jak czyjś tam cień. A może - to wy wszyscy razem jesteście moimi cieniami! Czyż nie zaludniłem wami tych stron - do niedawna jeszcze czworokątnych białych pustyń? Czyż beze mnie ujrzeliby was ci wszyscy, których powiodę wąskimi ścieżkami linijek?

Ma się rozumieć, nie powiedziałem jej tego; wiem z własnego doświadczenia: najgorsza udręka, jaką można komuś zadać, to wzbudzić w nim wątpliwość, czy jest realny - nie jakoś tam, ale trójwymiarowo realny. Zauważyłem tylko oschle, że jej rzecz to otwierać drzwi, ona zaś wpuściła mnie na podwórze.

Pusto. Cicho. Wiatr - tam, za murami, daleki - jak tamten dzień, kiedy ramię w ramię, dwoje w jednym, wyszliśmy z dołu, z korytarzy - o ile to rzeczywiście się zdarzyło. Szedłem pod jakimś kamiennymi arkadami, kroki, objijając się o wilgotne sklepienia, spadały poza mną - jakby przez cały czas ktoś za mną szedł trop w trop. Żółte ściany - w czerwonych ceglanych pryszczach - śledziły mnie przez czarne kwadratowe okulary okien, obserwowały, jak otwieram śpiewające drzwi szop, jak zaglądam w kąty, śledzę odnogi, zakamarki. Furtka w płocie i pustkowie - pamiątka Wielkiej Wojny Dwustuletniej - z ziemi - nagie kamienne żebra, żółte wyszczerzone paszczęki ścian, starożytny piec z pionowym kominem - wieczyście skamieniały okręt pośród żółtych kamiennych i czerwonych ceglanych rozbryzgów.

Wydało mi się: już raz widziałem te właśnie żółte zęby - niejasno, jak na dnie, przez warstwę wody - zacząłem więc szukać. Wpadałem w jakieś doły, potykałem się o kamienie, rdzawe łapy chwyciły mnie za junifę, ostrosłone krople potu spływały po czole w dół, do oczu...

Nigdzie! Tamtego wyjścia z dołu, z korytarzy, nigdzie nie mogłem znaleźć - nie było go. A zresztą, może to i lepiej: większe prawdopodobieństwo, że to był jeden z moich idiotycznych „snów”.

Zmęczony, cały w jakiejś pajęczynie, w kurzu - już otwierałem furtkę, żeby wrócić na główne podwórze. Nagle z tyłu - szmer, chlupoczące kroki i oto przede mną - różowe skrzydła-uszy, dwuwygięty uśmiech S.

Mrużąc oczy wwiercił we mnie swoje świderki i zapytał:

- Spacererek?

Milczałem. Ręce przeszkadzały.

- No i cóż, czy lepiej się teraz czujecie?

- Tak, dziękuję. Zdaje się, że wracam do normy.

Uwolnił mnie - podniósł oczy w górę. Głowa zadarta - po raz pierwszy ujrzałem jego grdykę.

W górze niewysoko - mniej więcej 50 metrów nad ziemią - brzęczały aero. Po ich powolnym, niskim locie, po spuszczonej w dół czarnych czułkach lunet obserwacyjnych poznałem aparaty Opieki. Nie dwa czy trzy, jak zwykle, ale od dziesięciu do dwunastu (muszę poprzestać na liczbie przybliżonej).

- Dlaczego ich dzisiaj tak dużo? - ośmieliłem się zapytać.

- Dlaczego? Hm... Lekarz z prawdziwego zdarzenia zaczyna leczyć człowieka jeszcze zdrowego, takiego, który dopiero ma zachorować, jutro, pojutrze, za tydzień. Profilaktyka, ot, co!

Kiwnął głową, zaplaskotał po kamiennych flizach podwórza. Potem odwrócił się - i przez ramię do mnie:

- Radzę uważać!

Jestem sam. Cicho. Pusto. W oddali nad Zielonym Murem miotają się ptaki, wiatr. Co on chciał przez to powiedzieć?

Aero szybko sunie z wiatrem. Lekkie, ciężkie cienie chmur, w dole - błękitne kopuły, sześciany szklanego lodu - robią się jak z ołowiu, wzbierają...

Wieczorem

Sięgnąłem po mój rękopis, żeby zanotować tu kilka, jak sądzę, pożytecznych (pożytecznych dla was, czytelnicy) myśli o wielkim Dniu Jednomyślności - dzień ten już blisko. No i przekonałem się: nie potrafię teraz pisać. Przez cały czas przysłuchiwałem się, jak wiatr trzepocze ciemnymi skrzydłami o szklane ściany, cały czas oglądałem się, czekałem. Na co? Nie wiem. Kiedy więc w moim pokoju pojawiły się znajome brązoworóżowe skrzela - bardzo się ucieszyłem, mówię to szczerze. Usiadła, cnotliwie poprawiła zapadłą między kolanami fałdę junify, szybko oblepiła mnie uśmiechami - po kawałeczku na każde moje pęknięcie - poczułem się przyjemnie, mocno związany.

- Rozumiecie, przychodzę dziś do klasy (- pracuję w Zakładzie Wychowu Dzieci) - a tu na ścianie karykatura. Tak, tak, zapewniam was! Sportretowali mnie w jakiejś takiej rybiej postaci. Może ja rzeczywiście...

- Nie, nie, co też wy - wtrąciłem pospiesznie (z bliska rzeczywiście nie ma mowy o żadnych skrzelach, z tymi skrzelami - to było z mojej strony całkiem nie na miejscu).

- Tak, koniec końców - to nieważne. Ale rozumiecie: sam czyn. Rzecz jasna, wezwałam Opiekunów. Bardzo kocham dzieci, a uważam, że najtrudniejsza i najszlachetniejsza miłość - to bezwzględność - rozumiecie?

Jeszcze by też! To się tak krzyżowało z moimi myślami. Nie wytrzymałem, przeczytałem jej fragment mojej 20-tej notatki, poczynając od: *Cichutko, z metaliczną dobitnością postukują myśli...*

Nie patrząc widziałem, jak brązoworóżowe policzki drgają i przysuwają się do mnie coraz bliżej, aż wreszcie w moich rękach - suche, twarde, lekko nawet kłujące palce.

- Dajcie - dajcie mi to! Sfonografuję i każę dzieciom nauczyć się na pamięć. To jest potrzebne nie żadnym tam waszym Wenusjanom, ale właśnie nam, nam - na dzisiaj, jutro, pojutrze!

Obejrzała się - i całkiem cicho:

- Słyszeliście: mówią, że w Dzień Jednomyślności... Podskoczyłem.

- Co - co mówią? Co - w Dzień Jednomyślności?

Znikły zaciszne ściany. Od razu poczułem się wyrzucony tam, na zewnątrz, gdzie nad dachami miotał się wiatr-olbrzym, ukośne mroczne chmury - coraz niżej...

IO objęła mnie za ramiona stanowczo, mocno (choć spostrzegłem: rezonując moje zdenerwowanie - kostki jej palców przejmowały drżenie).

- Proszę usiąść, mój drogi, proszę się nie denerwować. Czego to tam ludzie nie mówią... A poza tym: jeżeli tylko będzie trzeba, będę tego dnia przy was, zostawię komuś swoje dzieci w szkole - i będę przy was, bo przecież z was, mój drogi, z was też jest dziecko, i musicie...

- Nie, nie! - zamachałem rękami. - Nigdy w życiu! Rzeczywiście myślelibyście wtedy, że ze mnie jakiś dzieciak - że sam nie mogę... Nigdy w życiu! (- przyznam się: miałem inne plany na ten dzień).

Uśmiechnęła się. Niepisany tekst uśmiechu brzmiał oczywiście: *Ach, cóż za uparty chłopczyk!* Potem usiadła. Oczy spuszczone. Ręce znowu wstydliwie poprawiają zapadłą między kolana fałdę junify - i teraz z innej beczki:

- Sądzę, że powinnam się zdecydować... dla waszego dobra... Nie, błagam: proszę mnie nie naglić, muszę się jeszcze zastanowić...

Nie nagliłem. Chociaż rozumiałem nawet, że powinienem być uszczęśliwiony i że nie ma większego zaszczytu, jak uwieńczyć sobą wieczór czyjegoś życia.

... Przez całą noc - jakieś skrzydła, a ja chodzę, rękami zasłaniając przed nimi głowę. A potem krzesło. Ale krzesło - nie nasze, terazniejsze, lecz na starożytną modłę, drewniane. Przebieram nogami jak koń (prawa przednia i lewa tylna, lewa przednia i prawa tylna), krzesło podbiega do mojego łóżka, wspina się na nie - i Kocham się z tym drewnianym krzesłem; niewygodnie, boleśnie.

Dziwne: czy nic nie można wymyślić, żeby wyleczyć to snoschorzenie, albo przynajmniej uczynić je rozumnym - może nawet pozytecznym?

Notatka 22

Konspekt:

ZASTYGŁE FALE

WSZYSTKO SIĘ UDOSKONALA

JA – MIKROB

Wyobraźcie sobie, że stoicie na brzegu: fale - miarowo w górę; podniósłszy się - naraz stanęły, znieruchomiały, zastygły. To było równie straszne i nienaturalne - kiedy nagle zmałcił się, pogmatwał nasz, nakazany przez Dekalog, spacer. Po raz ostatni, jak głoszą kroniki, coś podobnego zdarzyło się 119 lat temu, kiedy w największy gąszcz spaceru ze świstem i dymem spadł z nieba meteor.

Szliśmy tak jak zawsze, to znaczy tak, jak wojownicy odmalowani na asyryjskich zabytkach: tysiąc głów - dwie zwarte, integralne nogi, dwie integralne w rozmachu ręce. U końca alei - tam, gdzie groźnie huczała wieża akumulacyjna - naprzeciw nas czworobok: z boków, z przodu, z tyłu - straż; pośrodku trzech: na junifach tych ludzi - nie ma już złotych numerów - wszystko jasne aż strach.

Ogromny cyferblat u szczytu wieży - to była twarz: nachyliła się z obłoków i czekała obojętnie, odpływając w dół sekundami. I właśnie punktualnie o godzinie 13.06 - w czworoboku powstało zamieszanie. Działo się to tuż koło mnie, widziałem wszystko z najdrobniejszymi szczegółami i bardzo wyraźnie utkwiała mi w pamięci cienka, długa szyja i na skroni - splątana gmatwanina błękitnych żyłek - jak rzeki na mapie małego nieznanego świata, a ten nieznanany świat - to najwyraźniej młody chłopak. Pewnie spostrzegł kogoś w naszych szeregach: wspiął się na palce, wyciągnął szyję, zatrzymał się. Jeden z konwojentów pstryknął po nim niebieskawą iskrą elektrycznego bata: tamten pisnął cienko, jak szczeniak. A potem - precyzyjny pstryk, mniej więcej co dwie sekundy - i pisk, pstryk - i pisk.

Szliśmy jak przedtem, miarowo, po asyryjsku - a ja, patrząc na eleganckie zygzaki iskier, myślałem: *Wszystko w społeczeństwie ludzkim w nieskończoność udoskonala się - i powinno się doskonalić. Jakim szkaradnym narzędziem był starożytny knut - a ileż piękna...*

Ale w tym momencie, jak nakrętka, co odpada w pełnym biegu, od naszych szeregów oderwała się smukła, elastycznie-giętka sylwetka kobieca i rzuciła się prosto ku nim, do czworoboku, z krzykiem: *Dosyć! Nie waźcie się!* To było - jak meteor 119 lat temu: cały

spacer skamieniał, a nasze szeregi - jak szare grzebienie fal, skutych nagłym mrozem.

Przez sekundę patrzyłem na nią z boku, jak wszyscy: nie była już numerem - była tylko człowiekiem, istniała jedynie jako metafizyczna substancja zniewagi wyrządzonej Państwu Jedynemu. Ale jakiś jeden jej ruch - zawracając ugięła biodra w lewo - nagle olśnienie: znam, znam to ciało giętkie jak pejcz - moje oczy, moje wargi, ręce je znają - w owym momencie byłem tego absolutnie pewien.

Dwóch ze straży - odcinając jej drogę... Zaraz - w jasnym jeszcze, lustrzanym punkcie jezdni - ich trajektorie przetną się - zaraz ją złapią... Serce we mnie zachłysłę się, zamarło - i bez zastanowienia: można, nie wolno, idiotycznie, rozumnie - rzuciłem się w ten punkt...

Czułem na sobie tysiące oczu, wyokrągłych ze zgrozy, ale to tylko wzmagalo jakąś desperacko dziarską siłę kosmatorękiego dzikusa, który wyskoczył ze mnie i biegł coraz szybciej. Już tylko dwa kroki, odwróciła się -

Przede mną twarz drżąca, spryskana piegami, rude brwi... Nie ona! To nie!

Szaleńcza, tryskająca radość. Chcę krzyknąć coś w rodzaju: *Dołóż jej! Trzymaj ją!* - ale słyszę tylko swój szept. A na ramieniu już - ciężka ręka, trzymają mnie, prowadzą, usiłuję im wytłumaczyć...

- Słuchajcie, przecież musicie zrozumieć, że ja myślałem, że to...

Ale jak tu za jednym zamachem wytłumaczyć całego siebie, całą swoją chorobę, odnotowaną na tych stronicach. Gasnę, idę posłusznie... Liść, zdarty z drzewa niespodziewanym podmuchem, pokornie opada, ale w locie kręci się, czepia każdej znajomej gałązki, rozwidlenia, sęczka: tak właśnie czepiałem się każdej milczącej kuli-głowy, przejrzystego lodu ścian, wbitej w chmurę błękitnej igły wieży akumulacyjnej.

W chwili, kiedy szczelna zasłona ostatecznie już miała oddzielić mnie od tego pięknego świata, dostrzegłem: nie opodał, wymachując różowymi rękami-skrzydłami, nad lustrem jezdni sunęła znajoma olbrzymia głowa. I znajomy spłaszczony głos:

- Czuję się w obowiązku zaświadczyć, że numer Δ-503 jest chory i nie jest w stanie regulować swoich emocji. Jestem przekonany, że powodowało nim naturalne oburzenie...

- Tak, tak - uczepliłem się. - Nawet krzyknąłem: trzymaj ją.

Z tyłu, za plecami:

- Niczegoście nie krzyczeli.

- Tak, ale chciałem - przysięgam na Dobroczynię, że chciałem.

Na sekundę wwierciły się we mnie szare, zimne świderki oczu. Nie wiem, czy dopatrywał się we mnie, że to (prawie) prawda, czy też miał jakiś skryty cel, by znowu na pewien czas mnie oszczędzić, w każdym razie napisał coś na karteczce, oddał jednemu z

moich konwojentów - i znów byłem wolny, czy raczej znów byłem zamknięty w harmonijnych, bezkresnych asyryjskich szeregach.

Czworobok, a w nim piegowata twarz i skroń z mapą błękitnych żyłek - znikły za rogiem, na zawsze. Idziemy - jedno milionogłowe ciało, a w każdym z nas - pokorna radość, jaką zapewne żywią molekuly, atomy, fagocyty. W świecie starożytnym - rozumieli to chrześcijanie, nasi jedyni (wprawdzie bardzo niedoskonali) poprzednicy: pokora - to cnota, a pycha - to występki, i że „My” - od Boga, a „Ja” - od diabła.

Na przykład ja - teraz, w nogę ze wszystkimi - a przecież osobno. Cały drzę jeszcze po przeżytych perypetiach jak most, po którym właśnie przelomotała starożytna kolej żelazna. Czuję sam siebie. A przecież to poczucie własnej odrębności, indywidualności ma tylko oko, w którym tkwi jakiś paproch, palec, który się obiera, ząb, który boli: zdrowego oka, palca, zęba - jakby nie było. Świadomość indywidualna - to tylko choroba. Czyż to nie jasne?

Może już nie jestem fagocytem, który sumiennie, ze spokojem, pożera mikroby (z błękitną skronią czy piegami): może jestem mikroblem, może pomiędzy nami jest już tysiąc takich właśnie, co, jak ja, udają jeszcze fagocyty...

A co, jeżeli dzisiejsze, nieistotne właściwie, zajście, to tylko początek, pierwszy meteoryt z całej serii ryczących, płonących kamieni, sypniętych z nieskończoności w nasz szklany raj?

Notatka 23

Konspekt:

KWIATY

ZANIKANIE KRYSZTAŁU

JEŻELI TYLKO

Podobno są kwiaty, które rozwijają się tylko raz na sto lat. Dlaczego więc nie miałyby być takich, które kwitną raz na tysiąc - na dziesięć tysięcy lat? Może nie wiedzieliśmy dotąd o ich istnieniu, bo dopiero dzisiaj nadeszło właśnie to raz-na-tysiąc-lat.

W błogim upojeniu schodzę po schodach - do dyżurnego, a wszędzie naokoło szybko, bezszelestnie pękają tysiącletnie pączki i zakwitają fotele, trzewiki, złote blaszki, żarówki, czyjeś ciemne rozczochrane oczy, graniaste kolumienki poręczy, chusteczka upuszczona na schody, stolik dyżurnego, nad stolikiem - czule brązowe, cętkowane policzki IO. Wszystko to niezwykle, nowe, delikatne, różowe, wilgotne.

IO odbiera mój różowy talon, a nad jej głową - za szklaną ścianą - na niebywałej gałązce wisi księżyc: błękitny, pachnący. Z triumfem wskazuję go palcem i mówię:

- Księżyc, rozumiecie?

IO patrzy na mnie, potem na numer talonu - i widzę ten jej znajomy, tak czarująco cnotliwy gest: poprawia fałdy junify między kolanami.

- Mój drogi, macie wygląd nienormalny, chorobliwy - jako że nienormalność i choroba to jedno i to samo. Zmierzacie do zguby i nie ma nikogo, nikogo! kto by wam o tym powiedział.

To „nikogo” równa się rzecz jasna numerowi talonu: I-330. Miła, cudowna IO Oczywiście, racja po waszej stronie: jestem nierozważny, chory, mam duszę, jestem mikroblem. Ale czyż kwitnienie - to nie choroba? Kiedy pęka pąk - czy to nie boli? Czy nie sądzicie, że spermatozoid - to najstraszniejszy mikrob?

Jestem na górze, u siebie w pokoju. W szeroko rozwiniętym kielichu fotela - I. Ja na ziemi, objąłem jej nogi, moja głowa na jej kolanach, milczymy. Cisza, puls... i tak: ja - kryształ, rozpływam się w niej, w I. Wyraźnie czuję, jak topnieją, topnieją ograniczające mnie w przestrzeni szlifowane krawędzie - ginę, zanikam w jej kolanach, w niej, staję się coraz mniejszy - a zarazem coraz rozleglejszy, coraz większy, coraz bardziej nieobjęty. Bo ona - to

nie ona, to wszechświat. A oto na sekundę ja i ten przejęty radością fotelik przy łóżku - jesteśmy jednym: i wspaniale uśmiechnięta staruszka koło Domu Starożytności, i dzika dżungla za Zielonym Murem, i jakieś tam srebrne na czarnym tle ruiny, które drzemią jak staruszka, i gdzieś niewiarygodnie daleko drzwi, które teraz trzasnęły - to wszystko we mnie, razem ze mną, słucha uderzeń pulsu i w sekundzie szczęścia pędzi wskroś przeze mnie...

W idiotycznych, pogmatwanych, stopniałych słowach usiłuję jej opowiedzieć o tym, że ja - to kryształ, i dlatego we mnie - drzwi, i dlatego czuję, jaki szczęśliwy jest fotel. Ale wychodzi z tego taki galimatias, że daję spokój, po prostu wstyd mi: ja - a tu masz nagle...

- I, kochana, przebacz mi! nie mogę pojąć: wygaduję takie głupstwa...

- Dlaczego sądzisz, że głupstwo to coś złego? Gdyby głupstwa ludzkiego doglądano i hodowano przez wieki jak rozum, mogłoby się okazać bezcennym skarbem.

- Tak... (Zdaje mi się, że ma rację - jakże mogłaby teraz nie mieć racji?)

- A za jedno twoje głupstwo - za to, co wczoraj zrobiłeś na spacerze - kocham cię jeszcze bardziej - jeszcze bardziej.

- Ale dlaczego mnie dręczyłaś, dlaczego nie przychodziłaś, dlaczego przysyłałaś swoje talony, dlaczego zmuszałaś mnie...

- A może chciałam cię wypróbować? Może muszę mieć pewność, że zrobisz wszystko, co zechcę - że jesteś już całkiem mój?

- Tak, całkiem!

Ujęła moją twarz - mnie całego - w dłonie, uniosła moją głowę.

- No, a jak tam z waszymi „obowiązkami każdego uczciwego numeru”? Co?

Słodkie, ostre, białe zęby, uśmiech. W otwartym kielichu fotela - ona jak pszczoła: ma w sobie żądło i miód.

Tak, obowiązki... W myślach przerzucam moje ostatnie notatki: rzeczywiście, nigdzie nawet wzmianki o tym, co właściwie powinienem...

Milczę. Uśmiecham się z zachwytem (i pewnie głupio), patrzę w jej źrenice, przebiegam od jednej do drugiej, a w każdej z nich widzę siebie: ja - malutki, milimetrowy - zamknięty w tych malutkich tęczowych więzieniach. I dlatego znów – pszczoły - wargi, słodki ból kwitnienia...

Każdy z nas, numerów, ma w sobie jakiś niewidzialny, cicho tykający metronom, nie patrząc na zegar znamy więc czas z dokładnością do pięciu minut. Ale wtedy - metronom zatrzymał się we mnie, nie wiedziałem, ile ich minęło, w popłochu wyciągnąłem spod poduszki blaszkę z zegarkiem...

Chwała Dobroczyńcy: jeszcze dwadzieścia minut! Ale minuty - tak śmiesznie krótkie,

skąpe, biegań, a ja muszę tyle jej opowiedzieć - wszystko, siebie całego: o liście O, i o strasnym wieczorze, kiedy dałem jej dziecko; i nie wiedzieć czemu o moim dzieciństwie - o matematyku Papli, o $\sqrt{-1}$ i jak po raz pierwszy byłem na Świącie Jednomyślności i gorzko płakałem, bo okazało się, że mam na junifie - w taki dzień - plamę z atramentu.

I uniosła głowę, oparła się na łokciu. W kątach ust - dwie długie, ostre linie - i ciemny kąt podniesionych brwi: krzyż.

- Może tego dnia... - zamilkła, a brwi jeszcze ciemniejsze. Wzięła mnie za rękę, mocno uścisnęła. - Powiedz, nie zapomnisz mnie, będziesz zawsze o mnie pamiętał?

- Dlaczego ty tak? O co chodzi? I, kochana?

I milczała, a jej oczy już - obok mnie, przeze mnie, dalekie. Raptem usłyszałem, jak wiatr łomocze po szkle ogromnymi skrzydłami (oczywiście - wiał przez cały czas, ale usłyszałem dopiero teraz), i czemuś przypomniały mi się przejmujące ptaki nad szczytem Zielonego Muru.

I potrząsnęła głową, coś od siebie odtrąciła. Raz jeszcze, przez sekundę otarła się cała o mnie - tak aero przez moment sprężyste ociera się o ziemię przed lądowaniem.

- No, dawaj moje. pończochy! Prędko!

Pończochy - porzucone na moim stole, na otwartej (193) stroniej moich notatek. W pośpiechu zaczęliem o rękopis, kartki się rozsypały i to tak, że nie sposób ułożyć w kolejności, a najważniejsze - nawet gdyby wszystkie złożyć, to tak czy owak nie będzie prawdziwego porządku, tak czy owak pozostaną jakieś wyboje, doły, ikisy.

- Nie mogę tak - powiedziałem. - Jesteś - jak teraz - tutaj, obok, a jednak jak za starożytną, nieprzejrzystą ścianą: słyszę przez ścianę szmery, głosy - a nie mogę rozróżnić słów, nie wiem, co się tam dzieje. Ja tak nie mogę. Przez cały czas czegoś nie dopowiadasz do końca, nie powiedziałaś mi, gdzie wtedy trafiłem w Domu Starożytności, co to za korytarze, i skąd doktor - czy tego wszystkiego może w ogóle nie było?

I oparła mi ręce na ramionach, powoli, głęboko weszła w oczy.

- Chcesz wiedzieć wszystko?

- Tak, chcę. Muszę.

- I nie będziesz się bał pójść ze mną wszędzie, do końca - gdziekolwiek cię zaprowadzę?

- Tak, wszędzie!

- Dobrze, obiecuję ci: kiedy skończy się święto, jeżeli tylko... Ach, tak; a jak wasz *Integral*? Ciągłe zapominam spytać - czy szybko?

- Nie: co „jeżeli tylko”? Znowu? Co: „jeżeli tylko”?

Ona (już w progu):

- Sam zobaczysz...

Jestem sam. Wszystko, co po niej zostało - ledwie uchwytny zapach, podobny do słodkiego, suchego, żółtego pyłku jakichś kwiatów zza Muru. I jeszcze coś: tkwiące we mnie mocno haczyki - pytania - jak te, na które starożytni łapali ryby (Muzeum Prehistoryczne).

... Dlaczego ona nagle o *Integralu*?

Notatka 24

Konspekt:

GRANICA FUNKCJI

WIELKANOC

WSZYSTKO PRZEKREŚLIĆ

Jestem jak maszyna puszczone na zbyt szybkich obrotach: łożyska rozgrzane, lada chwila - zacznie kapać roztopiony metal, i wszystko - na nic. Prędkiej - zimnej wody, logiki. Leję wiadrami, ale logika syczy na gorących łożyskach i rozplywa się w powietrzu w nieuchwytną białą parę.

No tak, jasne: żeby określić rzeczywistą wartość funkcji - trzeba ustalić jej granicę. Jasne, że wczorajsze idiotyczne „zniknięcie we wszechświecie” ma granicę w śmierci. Bo śmierć - to właśnie najpełniejsze unicestwienie siebie we wszechświecie. Jeżeli zatem przez „M” oznaczymy miłość, a przez „S” - śmierć, to $M = f(S)$, czyli miłość i śmierć...

Tak, właśnie, właśnie. Dlatego boję się I, walczę z nią, nie chcę. Dlaczego jest we mnie zarazem „nie chcę” i „chcę”? Najstraszniejsze jest właśnie to, że chcę tej wczorajszej szczęśliwej śmierci. Najstraszniejsze jest właśnie, że nawet teraz, po scałkowaniu funkcji logicznej, kiedy widać już, że skrycie zawiera się w niej śmierć, mimo wszystko chcę wargami, rękami, piersią, każdym milimetrem...

Jutro - Dzień Jednomyślności. Rzecz jasna, ona też tam będzie, będę ją widział, ale tylko z daleka. Z daleka - to będzie bolało, bo muszę, bo coś pcha mnie niewstrzymanie, żeby - obok niej, żeby - jej ręce, jej ramię, jej włosy... Ale dobrze - chcę nawet tego bólu.

Dobroczyńco Wielki! Co za absurd - chcieć bólu. Któż nie pojmie, że składniki bólowe są ujemne, pomniejszają sumę, którą nazywamy szczęściem. A zatem...

A właśnie – żadnych „zatem”. Czysto. Nago.

Wieczorem

Za szklanymi ścianami domu - wietrzny, gorączkowo różowy, niespokojny zachód słońca. Odwracam fotel, żeby nie pchała mi się przed oczy ta różowość, przeglądam notatki - i widzę: znowu zapomniałem, że piszę nie dla siebie, lecz dla was, nieznani, których kocham i

którym współczuję - dla was, którzy wleciecie się jeszcze gdzieś w dole, w odległych wiekach.

Na przykład - Dzień Jednomyślności, ten wielki dzień. Zawsze go lubiłem - od dziecka. Zdaje się, że dla nas - to coś takiego, jak dla starożytnych - „Wielkanoc”. Pamiętam, zdarzało się w przeddzień: ułożysz sobie taki kalendarzyk godzinowy - i z triumfem potem wykreślasz godziny: już o godzinę bliżej, o godzinę krócej trzeba czekać... Gdybym był pewien, że nikt tego nie zauważy - słowo honoru, nawet teraz nosiłbym przy sobie taki kalendarzyk, według niego odliczałbym czas, który jeszcze pozostał do jutra, kiedy ujrzę - choćby z daleka...

(Przeszkodzono mi: przyszła nowa junifa, prosto z pracowni. Zgodnie ze starym zwyczajem wszystkim nam w przededniu święta wydaje się nowe junify. Na korytarzu - kroki, radosne okrzyki, gwar).

Ciągnę dalej. Jutro ujrzę scenę, która powtarza się co roku i za każdym razem od nowa budzi wzruszenie: potężny kielich zgody, ze czcią uniesione ręce. Jutro - dzień corocznych wyborów Dobroczyńcy. Jutro znów wręczymy Dobroczyńcy klucze do niezłomnej twierdzy naszego szczęścia.

Ma się rozumieć, w niczym to nie przypomina chaotycznych, niezorganizowanych wyborów starożytnych, kiedy - aż śmiech pomyśleć - nieznany był zawczasu nawet sam rezultat wyborów. Budować państwo na gruncie absolutnie nieprzewidywalnej przypadkowości, na oślepie - czy może być większy bezsens? A przecież, jak się okazuje, trzeba było wieków, żeby to zrozumieć.

Czyż trzeba nadmieniać, że i w tej sprawie nie ma u nas miejsca na żadne przypadkowości, żadne niespodzianki? Same wybory mają raczej symboliczne znaczenie: przypominają, że stanowimy jeden potężny, wielokomórkowy organizm, że jesteśmy - mówiąc językiem „Ewangelii” starożytnych - jednym Kościołem. Albowiem historia Państwa Jedynego nie zna przypadku, by nawet pojedynczy głos ośmielił się w tym dniu zakłócić majestatyczne unisono.

Starożytni podobno przeprowadzali wybory w jakiejś tam tajemnicy, kryjąc się jak złodzieje; niektórzy nasi historycy twierdzą nawet, że na obchodach świąt wyborczych zjawiali się starannie zamaskowani (wyobrażam sobie to fantastyczne mroczne widowisko: noc, ulica, skradające się pod ścianami postaci w czarnych płaszczach; chwiejący się na wietrze szkarłatny płomień pochodni...). Czemu miała służyć cała ta tajemniczość - do tej pory ostatecznie nie wyjaśniono; najprawdopodobniej wybory wiązały się z jakimiś mistycznymi zabobonami, może nawet - ze zbrodnicznymi obrzędami. My nie mamy nic do

ukrycia, my nie mamy czego się wstydzić: świętujemy wybory jawnie, uczciwie, w biały dzień. Widzę, jak wszyscy głosują na Dobroczyńcę - i jakże mogłoby być inaczej, skoro „wszyscy” i „ja” - to jedno „MY”. O ileż to szlachetniejsze, szczerze, wyższe nad tchórzliwą, złodziejską „tajemnicę” starożytnych. Poza tym: o ileż bardziej celowe. Jeżeli nawet założyć rzecz niemożliwą, to znaczy jakiś dysonans w zwykłej monotonii, to przecież niewidzialni Opiekunowie są tu, na miejscu, w naszych szeregach: od razu mogą ustalić numery tych, którzy zbłądzili, ich samych ocalić przed dalszymi fałszywymi krokami, a Państwo Jedyne - przed nimi. A wreszcie, jeszcze jedno...

Za ścianą po lewej: przed lustrzanymi drzwiami szafy - kobieta pospiesznie rozpina junifę. I na sekundę mgliście: oczy, wargi, dwie ostre różowe załaznie. Potem opada zasłona, we mnie natychmiast dzień wczorajszy, i nie wiem - co: „wreszcie jeszcze jedno”, i nie chcę o tym, nie chcę! Chcę tylko jednego: I. Chcę, żeby w każdej chwili, w każdym momencie, zawsze była ze mną - tylko ze mną. A to wszystko, co teraz pisałem o Jednomyślności, jest niepotrzebne, to nie to, mam ochotę wszystko wykreślić, podrzeć, wyrzucić. Bo wiem (to bluźnierstwo, ale niech będzie): święto - to tylko z nią, tylko wtedy, kiedy ona będzie przy mnie, ramię przy ramieniu. A bez niej - jutrzejsze słońce będzie tylko krążkiem z blachy, niebo - blachą malowaną na niebiesko, a ja sam... Chwytam za telefon:

- I, to wy?

- Tak, to ja. Wy tak późno?

- Może jeszcze nie za późno. Chcę was prosić... Chcę, żebyście jutro byli ze mną. Kochana...

„Kochana” - mówię całkiem cicho. I nie wiedzieć czemu miga mi przed oczami scena z dzisiejszego poranka na pochylni: dla żartu położyliśmy pod strunowym młotem zegarek - zamach, podmuch w twarz - i tkliwie stutonowe, lekkie zetknięcie z kruchym zegarkiem.

Pauza. Wydaje mi się, że słyszę tam - w pokoju I - czyjś szept. Potem jej głos:

- Nie, nie mogę... Przecież rozumiecie: sama bym... Nie, nie mogę. Dlaczego? Zobaczycie jutro.

Noc

Notatka 25

Konspekt:

ZSTĄPIENIE Z NIEBA

NAJWIĘKSZA W HISTORII KATASTROFA

SKOŃCZYŁY SIĘ RZECZY WIADOME

Kiedy na początku wszyscy wstali i uroczystą powolną powłoką zakłósał się nad głowami hymn - setki kotłów Wytwórni Muzycznej i miliony głosów ludzkich - na sekundę zapomniałem o wszystkim: zapomniałem o czymś niepokojącym w słowach I na temat dzisiejszego święta, chyba nawet zapomniałem o niej samej. Byłem teraz znów chłopcem, który niegdyś płakał tego dnia z powodu malutkiej, tylko dla niego widocznej plamy na junifie. Choć nikt wokół nie dostrzega czarnych - nie do zmycia - plam na mnie, ja przecież wiem, że dla mnie, przestępcy, nie ma miejsca wśród tych twarzy szeroko otwartych. Ach, gdyby tak wstać, choćby w tej chwili, i zachłystując się wykrzyzczyć całą prawdę o sobie. Niechby potem nastąpił koniec - byle przez sekundę poczuć się czystym, bezmyślnym jak to dziecięco niebieskie niebo.

Oczy wszystkich kierowały się tam, ku górze: w porannym, nieskazitelnym błękitcie, nieobeschłym jeszcze z nocnych łez - ledwie dostrzegalna plamka, raz ciemna, raz świetlista. To z niebiosów zstępował ku nam On - nowy Jehowa w aero, równie mądry i kochająco okrutny, jak Jehowa starożytnych. Z każdą chwilą On był coraz bliżej - i coraz wyżej ku niemu na spotkanie miliony serc - i oto już On widzi nas. A ja wraz z nim w myślach spoglądałem w dół: zaznaczone linią drobnych błękitnych punkcików koncentryczne kręgi trybun - jakby koła pajęczyny, obsypane mikroskopijnymi słońcami (- błyski blaszek); a w jej środku - zaraz zasiądzie biały, mądry Pająk - odziany w biel Dobroczyńca, który w swej przemądrości nałożył nam na ręce i nogi dobroczynne pęta szczęścia.

Lecz oto dobiegło końca to Jego majestatyczne zstępowanie z nieba, zamilkł spiz hymnu, wszyscy usiedli - i w tejże chwili pojąłem: rzeczywiście - cała supercienka pajęczyna napina się i drży, lada moment zerwie się i stanie się coś niewiarygodnego...

Unosząc się lekko z ławki rozejrzałem się wkoło - napotkałem spojrzenie miłośnicie niespokojne, przebiegające od twarzy do twarzy. Jeden właśnie podniósł rękę i ledwie

widocznie poruszając palcami sygnalizuje drugiemu. O, a teraz - w odpowiedzi sygnał palcem. I jeszcze jeden... Pojąłem: to oni, Opieka. Pojąłem: coś ich niepokoi, pajęczyna napięta, drży. I we mnie - jak w radiodbiorniku nastawionym na tę samą długość fal - drżenie w odpowiedzi.

Na estradzie poeta recytował odę przedwyborczą, ale nie słyszałem ani słowa: tylko miarowe drgania heksametrycznego wahadła, a każdy jego zamach przybliżał godzinę przeznaczenia. I oto znowu gorączkowo kartkuję twarze w szeregach, jedna za drugą - jak stronicę - i ciągle jeszcze nie widzę tej jedynej, której szukam, a muszę ją znaleźć jak najprędzej, bo zaraz, wahadło cyknie, a potem - -

On - on, oczywiście. W dole, obok estrady, nad połyskliwym szkłem przepłynęły różowe skrzydła-uszy, ciemną, dwuwygietą pętlą litery S odbiło od tła ciało w biegu - biegł gdzieś w zagmatwane przejścia między trybunami.

S, I - jakaś nić (między nimi - dla mnie - przez cały czas jakaś nić; jeszcze nie wiem, jaka - ale kiedyś ją rozwikłałam). Uczępiłem się go wzrokiem, on - jak kłębek coraz to dalej, a za nim nić. Zatrzymał się, o...

Jakby błyskawiczne, wysokowoltowe wyładowanie przeniknęło mnie, skręciło w supeł. W naszym rzędzie, zaledwie 40 stopni ode mnie, S zatrzymał się, pochylił. Zobaczyłem I, a przy niej - ohydnie negrowargi, uśmiechnięty R-13.

Pierwsza myśl - rzucić się tam i krzyknąć do niej: *Dlaczego jesteś dzisiaj z nim? Dlaczego nie chciałaś, żebym ja?* Ale niewidzialna, dobroczynna pajęczyna mocno oplatała ręce i nogi: zacisnąwszy zęby siedziałem żelazem, nie odrywając oczu. Jak teraz: ostry fizyczny ból w sercu. Pamiętam, pomyślałem: *Jeżeli z przyczyn nie fizycznych - może pojawić się ból fizyczny, to jasne, że - -*

Wniosku niestety nie sformułowałem: pamiętam tylko - mignęło coś o „duszy”, przeleciało bezsensowne starożytne wyrażenie „dusza w pięty”. I zamarłem: heksametr umilkł. Zaczyna się... Co?

Zwyczajowo ustanowiona pięciominutowa przerwa przedwyborcza. Zwyczajowo ustanowione przedwyborcze milczenie. Dziś jednak nie było takie jak zwykle, rzeczywiście modlitewne, nabożne: dziś było jak u starożytnych, kiedy jeszcze nie znano naszych wież akumulacyjnych, kiedy nieoswojone niebo od czasu do czasu jeszcze srożyło się „burzami”. Było teraz jak u starożytnych przed burzą.

Powietrze - z przezroczystego żeliwa. Chciałoby się oddychać szeroko otwartymi ustami. Boleśnie wytężony słuch notuje: gdzieś w tyle - mysio-gryzący, niespokojny szept. Przez spuszczone powieki cały czas widzę tamtych dwoje - I i R - obok siebie, ramię przy

ramieniu, a na kolanach drżą mi cudze - moje nienawistne - włochate ręce...

Każdy ma w ręku blaszkę z zegarkiem. Jedna... Dwie... Trzy... Pięć minut... Z estrady - żeliwny, powolny głos:

- Kto „za” - proszę o podniesienie ręki.

Gdybym mógł spojrzeć Mu w oczy jak dawniej - wprost, z oddaniem: *Jestem przed Tobą. Cały. Weź mnie!* Ale teraz nie śmiałem. Z wysiłkiem - jakby mi stawy zardzewiały - podniosłem

Szmer milionów rąk. Czyjeś stłumione „Ach”! Czuję, coś już się zaczęło, toczy się prądem, ale nie rozumiem - co, i brak sił - nie śmiem spojrzeć...

- Kto - „przeciw”?

To była zawsze najpodnioslejsza chwila całego święta: wszyscy siedzą nieruchomo, radośnie chyląc głowy pod dobroczynne jarzmo Numeru nad Numery. Lecz w tym momencie ze zgrozą znowu usłyszałem szmer: lekki jak westchnienie, był słyszalny bardziej niż przedtem wszystkie kotły hymnu. Kiedy człowiek wyda ostatnie w życiu, ledwie słyszalne westchnienie - podobnie bledną wszystkie wokoło twarze, na wszystkich czołach krople potu.

Podniosłem wzrok i...

To - setna część sekundy, włoszek. Ujrzałem: tysiące rąk skoczyły w górę - „Przeciw”? - opadły. Ujrzałem bladą, przekreśloną na krzyż twarz I, jej podniesioną rękę. Pociemniało mi w oczach.

Jeszcze włoszek: pauza; cicho; puls. Potem - jak na znak jakiegoś oszalałego dyrygenta - na wszystkich naraz trybunach trzask, krzyki, wir rozwianych w biegu junif, miotające się w konsternacji figury Opiekunów, czyjeś obcasy w powietrzu tuż przed moimi oczami - przy obcasach czyjeś usta szeroko otwarte w niedosłyszalnym krzyku. To, z jakiegoś powodu, wryło mi się w pamięć najwyraziściej: tysiące bezdźwięcznie wrzeszczących ust - jak na monstualnym ekranie.

I jak na ekranie - gdzieś daleko w dole na sekundę przede mną - zbielewały wargi O: przyparta do ściany w przejściu, stała, osłaniając brzuch złożonymi na krzyż rękami. I już jej nie ma - zmyta, albo zapomniałem o niej, bo...

To już nie na ekranie, to we mnie samym, w ściśniętym sercu, w łomocących pospiesznie skroniach. Nad moją głową po lewej, na ławce - nagle wyskoczył R-13 - bryzgający, czerwony, szalony. Na jego rękach - I, blada, junifa od ramienia do piersi rozdarta, na białym - krew. Mocno obejmowała go za szyję, a on ogromnymi skokami - z ławki na ławkę - wstrętny i zwinny jak goryl - unosił ją w górę.

Jak pożar u starożytnych - wszystko spurpurowiało - i tylko jedno: skoczyć, złapać

ich. Nie mogę sobie teraz wytłumaczyć, skąd wzięłem tyle siły, żeby jak taran przebić tłum - po czyichś ramionach - po ławkach - i już blisko, już schwyciłem R za kołnierz:

- Ani się waż! Ani się waż, mówię ci! Natychmiast (na szczęście nie było słyhać mojego głosu - wszyscy krzyczeli, wszyscy uciekali).

- Kto? Co takiego? Co? - R obejrzał się, wargi trzęsły się bryzgając - niewątpliwie myślał, że to któryś z Opiekunów.

- Co? A to - nie chcę, nie pozwolę! Precz od niej z rękami - natychmiast!

Ale on tylko gniewnie mlasnął wargami, potrząsnął głową i pobiegł dalej. W tym momencie - z niewiarygodnym wstydem piszę o tym, ale wydaje mi się: mimo wszystko muszę, muszę zanotować, żebyście, moi nieznajomi czytelnicy, mogli do końca zbadać historię mojej choroby - z rozmachem uderzyłem go w głowę. Rozumiecie - uderzyłem! Wyraźnie to pamiętam. I pamiętam jeszcze: po tym uderzeniu, w całym ciele, uczucie jakiegoś wyzwolenia, lekkości.

I szybko wyślizgnęła się z jego ramion.

- Uciekajcie - krzyknęła do R - widzicie przecież: on... Uciekajcie, R, uciekajcie!

R, szczerząc białe murzyńskie zęby, bryznął mi w twarz jakimś słowem, dał nura w dół, zniknął. A ja wzięłem I na rękę, mocno przycisnąłem do siebie i ruszyłem.

Serce biło we mnie - ogromne, i z każdym uderzeniem wyrzucało z siebie szaloną, gorącą, radosną falę. I niech tam sobie, coś się rozsypało w drobny mak - wszystko jedno! Byłe tylko nieść ją tak, nieść, nieść...

Wieczorem, godzina 22

Z trudem trzymam pióro w ręku: tak niezmierne zmęczenie po wszystkich oszałamiających zdarzeniach dzisiejszego ranka. Czyżby runęły zbawcze, odwieczne mury Państwa Jedynego? Czyżbyśmy znowu postradali dach, znaleźli się w dzikim stanie wolności - jak nasi dalecy przodkowie? Czy nie ma już Dobroczyńcy? Przeciw... W Dzień Jednomyślności - przeciw? wstyd mi za nich, boleśnie, strasznie. A zresztą - co to za „oni”? Czy ja to „oni”, czy „my” - skąd mogę wiedzieć?

No, tak: ona siedzi na gorącej od słońca szklanej ławce - na najwyższej trybunie, gdzie ją przyniosłem. Prawe ramię i niżej - początek cudownej, niewymiernej krzywizny - odsłonięte; cieniutka czerwona żmijka krwi. Jakby nie dostrzegąca, że krew, że odsłonięta pierś... Nie, więcej: widzi to wszystko - ale to właśnie to, czego jej teraz trzeba, i gdyby junifa

była zapięta - rozdarłaby ją sama, ona...

- A jutro... - wciąga łapczywie powietrze przez zaciśnięte, połyskliwe, ostre zęby. - A jutro - nie wiadomo co. Rozumiesz: nie wiem, nikt nie wie - nie wiadomo! Rozumiesz, że skończyło się - całe to: „wiadomo”, wszystko - nowe, niewiarygodne, niebywałe.

Tam w dole pienia się, pędzą, krzyczą. Ale to - daleko, coraz dalej, bo ona patrzy na mnie, powoli wciąga mnie w siebie przez wąskie, złote okna źrenic. Tak - długo, w milczeniu. I nie wiadomo czemu przypomina mi się, jak kiedyś, przez Zielony Mur, wpatrywałem się w jakieś niepojęte żółte źrenice, a nad Murem szamotały się ptaki (choć może to było innym razem).

- Słuchaj: jeżeli jutro nic specjalnego się nie stanie - zaprowadzę cię tam - rozumiesz?

Nie, nie rozumiem. Ale w milczeniu kiwam głową. Ja - znikłem, ja - to nieskończenie mały, ja - punkt...

Koniec końców - w tym punktowym stanie jest pewna logika (dzisiejsza): punkt to kulminacja niewiadomych; wystarczy, że drgnie, poruszy się - i może się zmienić w tysiące przeróżnych krzywych, w setki ciał.

Strach się ruszyć: w co się zmienię? Wydaje mi się - wszyscy, tak samo jak ja, boją się najmniejszego ruchu. Na przykład teraz, kiedy to piszę, wszyscy siedzą, wciśnięci w swoje szklane klatki, i na coś czekają. Na korytarzu nie słychać zwykłego o tej godzinie brzęczenia windy, nie słychać śmiechu, kroków. Czasem widzę: parami, oglądając się na wszystkie strony, przemykają na palcach korytarzem, szepczą...

Co będzie jutro? Kim stanę się jutro?

Notatka 26

Konspekt:

ŚWIAT ISTNIEJE

WYSYPKA

410

Ranek. Przez sufit - niebo jak zawsze mocne, krągłe, czerwonolice. Myślę - mniej by mnie zdziwiło, gdybym ujrzał nad głową jakieś niezwykle, czworokątne słońce, ludzi w różnobarwnych ubraniach ze zwierzęcej sierści, kamienne, nieprzejrzyste ściany. Wynika więc z tego, że świat - nasz świat - jeszcze istnieje? Czy też to tylko siła bezwładności, generator już wyłączony, ale zębate koła jeszcze łoskocą i kręcą się - dwa obroty, trzy obroty, przy czwartym znieruchomieją...

Czy znacie ten dziwny stan? Ocknęliście się nocą, otworzyli w ciemnościach oczy i nagle czujecie - zabłądziliście, prędeży, byle prędeży - zaczynacie macać dokoła, szukać czegoś znanego, pewnego - ściany, lampki, krzesła. Tak właśnie macałem, szukałem w dzisiejszej „Gazecie Państwowej” - prędeży, byle prędeży - jest:

W dniu wczorajszym odbyły się obchody od dawna przez wszystkich oczekiwanego Dnia Jednomyślności. Po raz czterdziesty ósmy wybrano na Dobroczyńcę tego, który wielokrotnie składał dowody swojej niezłomnej mądrości. Uroczystość zakłócona została ekscesami, wywołanymi przez wrogów szczęścia, którzy tym samym odebrali sobie prawo do miana cegiełek w odnowionym wczoraj fundamencie Państwa Jedynego. Jest rzeczą dla wszystkich oczywistą, że uwzględnienie ich głosów byłoby równie niedorzeczne, co uznanie za składnik wspaniałej heroicznej symfonii - kaszlu osób chorych, przypadkiem obecnych na sali koncertowej...

O, przemądry! Czyżbyśmy jednak, mimo wszystko - byli uratowani? Rzeczywiście, cóż można przeciwstawić temu arcykryształowemu sylogizmowi?

I dalej: jeszcze dwie linijki:

Dzisiaj o godzinie 12 odbędzie się wspólne posiedzenie Urzędu Administracji, Urzędu

Medycyny oraz Urzędu Opieki. W ciągu najbliższych dni spodziewane jest ogłoszenie ważnego Aktu Państwowego.

Tak, ściany jeszcze stoją - oto one - mogę ich dotknąć. I zniknęło już to dziwne wrażenie, że się zgubiłem nie wiadomo gdzie, zabłądziłem, i wcale mnie nie dziwi, że widzę niebieskie niebo, okrągłe słońce; i wszyscy - jak zwykle - wychodzą do pracy.

Szedłem przez aleję krokiem szczególnie twardym i dźwięcznym - zdawało mi się, że wszyscy tak idą. Ale otóż i skrzyżowanie, skręcam za róg i widzę: jakoś dziwnie, bokiem omijają ludzie narożnik gmachu - jakby tam pękła jakaś rura w ścianie i chlustając zimną wodą nie dawała przejść trotuarem.

Jeszcze pięć, dziesięć kroków - i mnie też oblała zimna woda, coś zachwiało mną, strąciło z trotuaru... Mniej więcej na wysokości 2 metrów - na ścianie - prostokątna kartka papieru; a na niej - niezrozumiałe, jadowicie zielone litery:

Mefi

A w dole S-owato wygięte plecy, uszy przejrzyste falujące z gniewu czy z niepokoju. Unosząc w górę prawą rękę, lewą bezradnie wyciągnąwszy do tyłu - jak chore, złamane skrzydło - podskakiwał do góry - zerwać paperek - i nie mógł, ciut-ciut brakowało.

Pewnie każdy, kto go mijał, myślał sobie: „Jeżeli podejść jeden jedyny spośród wszystkich - czy tamten nie pomyśli: jest winny i właśnie dlatego chce...”.

Przyznaję się: była to i moja myśl. Ale wspomniawszy, ileż to razy był on prawdziwym aniołem-stróżem, ile razy mnie ratował - zbliżyłem się śmiało, sięgnąłem ręką, zerwałem papier.

S odwrócił się, szybkie świderki we mnie, do dna, coś stamtąd wydobył. Potem uniósł lewą brew do góry, brwią wskazał ścianę, gdzie przed chwilą widniało „Mefi”. Mignął mi ogonek jego uśmiechu - ku mojemu zdziwieniu niemal pogodnego. Czemu tu się zresztą dziwić. Każdy lekarz woli wysypkę i czterdziestostopniową gorączkę od nużącej, powoli rosnącej temperatury okresu inkubacyjnego: tak czy siak przynajmniej już wiadomo, co to za choroba. Wypryski „Mefi” na ścianach to wysypka. Rozumiem jego uśmiech...*

Zejście do kolei podziemnej - i na nieskazitelnym szkle stopni znowu biały papier: „Mefi”. I na ścianie na dole, na ławce, na lustrze w wagonie - widocznie przyklejone w

* Muszę się przyznać, że dokładne znaczenie tego uśmiechu ustaliłem dopiero po wielu dniach, po brzegi pełnych wydarzeń najprzedziwniejszych i najzupełniej niespodziewanych.

pośpiechu (niechlujnie, krzywo) - wszędzie ta sama biała, straszna wysypka!

W ciszy - wyczuwalne brzęczenie kół, jak szum rozpalonej krwi. Ktoś kogoś ujął za ramię - tamten wzdrygnął się, wypuścił teczkę pełną papierów. Z lewej strony - inny: czyta w gazecie ciągle tę samą, ciągle tę samą linijkę, a gazeta ledwie dostrzegalnie drży. I czuję, że we wszystkim - w kołach, w rękach, w gazetach, w rzęsach - puls bije coraz szybciej i może już dzisiaj, kiedy razem z I znajdę się tam - będzie 39, 40, 41 stopni - oznaczonych na termometrze czarną kreską...

Na pochylni - taka sama cisza, brzęcząca dalekim, niewidzialnym śmigłem. Maszyny w pochmurnym milczeniu. I tylko dźwigi, ledwie słyszalnie - suną, pochylają się, chwytają w kleszcze błękitne bryły zamrożonego powietrza i ładują je do bocznych zbiorników *Integralu*: szykujemy go już do próbnego lotu.

- No jak: za tydzień skończymy załadunek?

To ja - do drugiego Konstruktor. Jego twarz - fajans wymalowany słodko w modre, delikatne różowe kwiatuszki (oczy, usta), ale dzisiaj jakoś to wszystko wyblakłe, zatarte. Liczyliśmy głośno, ale nagle w pół słowa utknąłem, stanąłem z rozdziawionymi ustami: wysoko pod kopułą, na uniesionej przez dźwig błękitnej bryle - ledwie widoczny biały kwadracik - naklejony papierek. Aż się cały zatrząsłem - może ze śmiechu - tak, sam słyszałem, jak się śmieję (znacie to uczucie, kiedy sami słyszycie własny śmiech?).

- No, nie, słuchajcie - powiedziałem. - Wyobraźcie sobie, że siedzicie w starożytnym aeroplanie, na wysokościomierzu 5000 metrów, złamało się skrzydło, fikacie kozła - i w dół, a po drodze liczycie: „Jutro - od 12 do 2... od 2 do 6... o 6 obiad...”. Przecież to śmiechu warte, nie? A my tu właśnie tak!

Modre kwiatuszki poruszają się, wytrzeszczają. Co by się działo, gdybym był ze szkła i tamten widział, że za 3-4 godziny...

Notatka 27

Konspekt:

BEZ KONSPEKTU - NIE WOLNO

Jestem sam w bezkresnych korytarzach - tamtych. Niemota betonowego nieba. Woda gdzieś kapie po kamieniach. Znajome, ciężkie, nieprzejrzyste drzwi - a stamtąd głuchy gwar.

Powiedziała, że wyjdzie do mnie punkt o 16. Ale właśnie minęło od 16 pięć minut, dziesięć, piętnaście: nie ma nikogo.

Przez sekundę - dawny ja, którego strach ogarnia, że te drzwi się otworzą. Jeszcze - ostatnie pięć minut i jeżeli ona nie wyjdzie...

Woda gdzieś kapie po kamieniach. Nie ma nikogo. Ze smutną radością czuję: jestem uratowany. Powoli wracam korytarzem. Drżący wielokropek żarówek pod stropem coraz mglisty, mglisty...

Nagle za mną - spiesznie trzasnęły drzwi, szybki tupot, miękko odskakujący od ścian, od stropu - ona, lotna, lekko zdyszana od biegu, oddycha ustami.

- Wiedziałaś: będziesz tu, przyjdiesz! Wiedziałaś: ty, ty... Włócznie rzęs rozchylają się, wpuszczają mnie do środka - i... To nie do opisania, co ze mną robi ten starożytny, idiotyczny, cudowny obrzęd, w którym jej wargi stykają się z moimi! W jaką formułę ująć ten wicher, który wymiata z duszy wszystko - wszystko prócz niej? A, tak, tak, z duszy - kto chce, niech się śmieje.

Z wysiłkiem, powoli unosi powieki - i z trudem, powoli, słowa:

- Nie, dosyć... potem: teraz - chodźmy.

Drzwi się otwarły. Stopnie - starte, szare. I nieznośna pstrokaczna: zgiełk, świst, blask.

* * *

Od tamtej pory minęła już prawie doba, wszystko we mnie już się trochę uleżało - ale mimo to bardzo mi trudno podjąć próbę opisu. W głowie - jakby eksplodowała bomba, a rozwarte usta, skrzydła, krzyki, liście, słowa, kamienie - tuż obok, całą nawałą, jedno za drugim...

Pamiętam - pierwsze, co we mnie było, to: „Prędzej, na złamanie karku - z

powrotem!”. Bo jasne: kiedy ja tam, w korytarzu czekałem na nią - oni w jakiś sposób wysadzili czy zburzyli Zielony Mur - i wszystko stamtąd runęło i zalało nasze miasto, oczyszczone dotąd z obecności niższego świata.

Pewnie coś podobnego powiedziałem I. Roześmiała się:

- Ależ skąd! Po prostu - wyszliśmy za Zielony Mur...

Wtedy otworzyłem oczy - i twarzą w twarz ze mną, na jawie - to właśnie, czego dotąd żaden żyjący nie widział inaczej niż w tysiącrotnym zmniejszeniu, osłabionego, stuszowanego matowym szkłem Muru...

Słońce... to nie było nasze Słońce, równomiernie rozłożone na lustrzanej płaszczyźnie nawierzchni: to były jakieś żywe odłamki, nieustannie skaczące plamy, od których ślepy oczy, kręciło się w głowie. I drzewa jak świece - prosto w niebo; jak pająki na koślawych łapach przypadłe do ziemi; jak oniemiałe zielone fontanny... I wszystko to raczkuje, gramoli się, szeleści, spod nóg szmyrga jakiś szorstki kłębuszek, a ja - jak wryty, ani kroku - bo pod nogami mam nie płaszczyznę - rozumiecie, nie płaszczyznę - ale coś wstrętne miękkiego, podatnego, żywego, zielonego, elastycznego.

Ogłuszyło mnie to wszystko, zachłysnąłem się tym - to może najwłaściwsze słowo. Stałem, oburącz uczepiwszy się jakiejś chwiejnej gałęzi.

- To nic, to nic! To - tylko z początku, to minie. Śmiało!

Obok I - na tle zielonej, mączącej w głowie, tańczącej siatki czyjś arcycienki, wycięty z papieru profil... Nie, nie czyjś, znam go. Pamiętam: doktor - nie, nie, bardzo dobrze wszystko rozumiem. Rozumiem: we dwoje ujęli mnie pod ręce i ze śmiechem ciągną dalej. Nogi mi się płaczą, ślizgają. Tam krakanie, mech, kępki, skwir, gałęzie, pnie, skrzydła, liście, gwizd...

I - drzewa rozbiegły się, jaskrawa polana, na polanie - ludzie... czy właściwie nie wiem jak: może lepiej - istoty.

Tutaj - najtrudniej. Bo *to* przekraczało już wszelkie granice prawdopodobieństwa. Rozumiem już dziś, dlaczego! I zawsze tak uparcie milczała: i tak bym nie uwierzył - nawet jej. Może jutro sam sobie nie będę wierzył - tej właśnie notatce.

Na polanie, wokół nagiego jak czerep kamienia - szumiał tłum złożony z trzystu-czterystu... ludzi - niech będzie - „ludzi”, trudno powiedzieć inaczej. Jak na trybunach z ogólnej sumy twarzy z początku wychwytyje się tylko znajomych, tak tutaj z początku dostrzegłem tylko nasze szarobłękitne junify. A po sekundzie - wśród junif wyraźnie i po prostu: wronę, gniade, jabłkowate, moręgowate, deresowate, białe istoty - widocznie ludzie. Wszyscy bez ubrania, pokryci krótką lśniącą sierścią - podobną do tej, jaką każdy może obejrzeć na wypchanym koniu w Muzeum Prehistorycznym. Ale samice - miały twarze

zupełnie - ale to zupełnie takie same, jak nasze kobiety: delikatnie różowe i nie porośnięte włosami, wolne od włosów miały także piersi - pełne, mocne, o pięknej geometrycznej formie. Samce miały wolną od sierści jedynie część twarzy - jak nasi przodkowie.

Było to tak niewiarygodne, tak nieoczekiwane, że stałem spokojnie - twierdząc z całym przekonaniem: spokojnie stałem i patrzyłem. Jak waga: przeciążycie jedną szalkę - potem już możecie kłaść na niej, ile wam się spodoba - strzałka ani drgnie...

Nagle - sam: I nie ma już przy mnie - nie wiem, jak i gdzie znikła. Dookoła - tylko ci, atlasowo lśniący sierścią w słońcu. Chwytam kogoś za gorące, mocne, wronę ramię:

- Słuchajcie - na Dobroczyńcę - nie widzieliście, gdzie ona poszła? Dopiero co - w tej chwileczce...

Kosmate, surowe brwi - na mnie:

- Ts-s-s! Ciszej - i kosmato skinęły tam, na środek, gdzie kamień żółty jak czerep.

Tam, w górze, nad głowami, nad wszystkimi - zobaczyłem ją. Słońce prosto w oczy, z tamtej strony, i przez to. ona cała - na niebieskim płótnie nieba - ostra, węglowo czarna, węglem sylwetka na błękitcie. Nieco wyżej lecą obłoki i jest tak: jakby to nie obłoki, ale kamień i ona sama na kamieniu, i za nią tłum, i polana - płyną bezgłośnie jak statek, i lekka - upływa ziemia spod nóg...

- Bracia... - to ona. - Bracia! Wicie wszyscy: tam za Murem w mieście ' - budują *Integral*. Wicie też: nadszedł dzień, w którym zniszczymy ten Mur - wszystkie mury - żeby zielony wiatr od końca do końca - po całej ziemi. Ale *Integral* uniesie te mury tam, w górę, ku tysiącom innych światów, które dziś zaszemrzą wam płomykami w czarnym listowiu nocy...

O kamień - fale, piana, wiatr:

- Precz z *Integrale*! Precz!

- Nie, bracia: nie precz. Lecz *Integral* musi być nasz. W dniu, w którym po raz pierwszy pożegluje w niebo, będziemy na nim - my. Bo z nami jest Konstruktor *Integralu*. Opuścił mury, przyszedł tu ze mną, żeby być wśród was. Niech żyje Konstruktor!

Chwila - jestem gdzieś w górze, pode mną - głowy, głowy, głowy, szeroko krzyczące usta, pluskające w górę i opadające ręce. To było przedziwne, upajające: czułem siebie ponad wszystkimi, ja - byłem ja, odrębność, świat, przestałem być jak zwykle składnikiem, stałem się jednostką.

I otóż ja - z ciałem zmiętoszonym, szczęśliwym, zgniecionym jakby w miłosnym uścisku - w dole, przy samym kamieniu. Słońce, głosy z góry - uśmiech I. Jakaś złotowłosa i cała atlasowożłota kobieta pachnąca ziołami. W jej rękach - czara, chyba drewniana. Upija łyk czerwonymi ustami - i podaje mi, a ja łapczywie, z zamkniętymi oczami, piję, żeby zgasić

ogień - piję słodkie, kłujące, chłodne iskry.

A potem - krew we mnie i cały świat - tysiąc razy szybciej. Lekka ziemia leci jak puch. I wszystko dla mnie - lekkie, proste, jasne.

Teraz dostrzegam na kamieniu znajome ogromne litery: „Mefi” - i nie wiedzieć czemu jest to takie potrzebne, to - zwykła, mocna nić, która wszystko wiąże. Widzę toporny wizerunek - też może na tym kamieniu: skrzydlaty młodzieniec, przejrzyste ciało, a tam, gdzie powinno być serce - oślepiający, purpurowo rozżarzony węgiel. I znów: rozumiem ten węgiel... czy inaczej: czuję go tak samo, jak czuję każde słowo nie słysząc go (ona przemawia z góry, z kamienia) - i czuję, że wszyscy oddychają jednym oddechem - i wszyscy razem muszą gdzieś lecieć jak wtedy ptaki nad Murem...

Z tyłu, z dyszącego ciężkiego gąszczu ciał donośny głos:

- Ależ to szaleństwo!

I zdaje mi się, że to ja - tak, sędzę, że to byłem właśnie ja - wskakuję na kamień, a stamtąd słońce, głowy, na niebieskim tle - zielona zębata piła, i krzyczę:

- Tak, tak, właśnie! Wszyscy właśnie muszą oszaleć, koniecznie muszą oszaleć - jak najprędzej! Ja wiem - to konieczność.

Obok - I; jej uśmiech, dwie ciemne linie - od kącików ust w górę, ostrym kątem; a we mnie - węgiel, i to - przelotne, lekkie, nieco bolesne, piękne...

Potem - tylko zakrzepłe, rozprysłe odłamki.

Powoli, nisko - ptak. Widzę: jest żywy tak jak ja, jak człowiek obraca głowę w prawo, w lewo, i świdruje mnie czarnymi, okrągłymi oczami...

I coś jeszcze: plecy pokryte lśniąca sierścią barwy starej kości słoniowej. Po plecach pełźnie ciemny insekt z drobnymi przezroczystymi skrzydłami - plecy drgają, żeby strząsnąć insekta, drgają jeszcze raz...

I jeszcze coś: cień liści - spleciony, kratkowany. Leżący w cieniu jedzą coś, co przypomina legendarne pożywienie starożytnych: podługowaty żółty owoc i kawałek czegoś ciemnego. Kobieta wtyka mi to w rękę - i śmiech mnie bierze: nie wiem, czy mogę to jeść.

I znów: tłum, głowy, nogi, ręce, usta. Na sekundę wyskakują twarze - i giną, pękają jak bąble na wodzie. I na sekundę - czy może tak mi się tylko zdaje - przezroczyste, lecące skrzydła - uszy.

Z całej siły ściskam rękę I. Ogląda się:

- Co ty?

- On tu jest... Zdawało mi się...

- Co za on?

- S... Dopiero co - w tłumie...

Węglowoczarne, cienkie brwi zadarte ku skroniom: ostry trójkąt, uśmiech. Nie rozumiem, dlaczego się uśmiecha - jak ona może się uśmiechać?

- Nie rozumiesz, I - ty nie rozumiesz, co to znaczy, jeżeli on albo któryś z nich tu jest...

- Śmieszny jesteś! Czy komukolwiek tam, za Murem, przyjdzie do głowy, że my jesteśmy tutaj? Przypomnij sobie: czy sam kiedykolwiek myślałeś, że to jest możliwe? Oni polują na nas tam - niech sobie polują! A ty majaczysz.

Uśmiecha się lekko, wesoło i ja się uśmiecham, ziemia - pijana, wesoła, lekka - płynie...

Notatka 28

Konspekt:

OBIE

ENTROPIA I ENERGIA

NIEPRZEJRZYSTA CZĘŚĆ CIAŁA

No, więc: jeżeli wasz świat przypomina świat naszych dalekich przodków, wyobraźcie sobie, że raz pewnego w przestworzach oceanu natknęliście się na szóstą, siódmą część świata - jakąś Atlantyde, a tam - niesłychane miasta-labirynty, ludzie szybują w powietrzu bez skrzydeł ani aero, kamienie unosi w górę siła wzroku - słowem, coś takiego, co wam samym nie powstałoby w głowie, nawet gdybyście chorowali na sny. Tak właśnie było wczoraj ze mną. No, bo zrozumcie: nikt z nas nigdy od czasów Wojny Dwustuletniej nie był za Murem - mówiłem wam już o tym.

Wiem: mam wobec was, nieznani przyjaciele, obowiązek - szczegółowo opowiedzieć wam o tym dziwnym i nieoczekiwanym świecie, który wczoraj odkryłem. Ale na razie nie jestem w stanie do te, go wrócić. Ciągle coś nowego, jakaś ulewa zdarzeń, nie zdołam zebrać tego wszystkiego: nadstawiam poły, garście - a mimo to całe wiadra chlustają obok, a na te stronicie trafiają tylko kropelki...

Najpierw usłyszałem za moimi drzwiami podniesione głosy - poznałem głos I, sprężysty, metaliczny - i drugi, prawie sztywny, nie gnący się - jak drewniana linijka - głos IO. Potem drzwi otwarły się z trzaskiem i wystrzeliły nimi obiema w głąb mego pokoju. Właśnie tak: wystrzeliły.

I położyła ręce na oparciu mojego fotela i przez ramię, w prawo - samymi zębami uśmiechała się do tamtej. Nie chciałbym stanąć wobec takiego uśmiechu.

- Słuchajcie - zwróciła się do mnie I. - Ta kobieta, jak się zdaje, postanowiła chronić was przede mną jak małe dziecko. Czy to - za waszą zgodą?

I wtedy - tamta, z drgającymi skrzelałami:

- Tak, on właśnie jest dzieckiem. Tak! Tylko dlatego nie widzi, że wy z nim to wszystko - tylko po to, żeby... że to wszystko - komedia, tak! I moim obowiązkiem...

Przez moment w lustrze - złamana, podskakująca prosta moich brwi. Zerwałem się i z trudem powściągając w sobie tamtego - z trzęsącymi się owłosionymi pięściami, z trudem

przeciskając przez zęby każde słowo, krzyknąłem jej prosto w twarz - prosto w skrzek:

- Nat-tych-chmias-st - precz! Natychmiast!

Skrzela wzdęły się ceglastoczerwono, potem opadły, poszarzały. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć i nic nie mówiąc - zamknęła, wyszła.

Przypadłem do I:

- Nie daruję - nigdy sobie tego nie daruję! Ona śmiała - ciebie? Ale nie możesz myśleć, że ja myślę, że... że ona... To wszystko przez to, że ona chce się zapisać na mnie, a ja...

- Zapisać się na szczęście nie zdąży. A choćby tysiące takich jak ona: wszystko mi jedno. Wiem - uwierzysz nie tysiącowi, ale mnie jednej. Bo przecież po wczorajszym - jestem cała przed tobą, do końca, tak jak chciałeś. Masz mnie w ręku, możesz - w każdej chwili...

- Co - w każdej chwili - i naraz zrozumiałem - *co*, krew trysnęła do uszu, policzków, krzyknąłem: - Nie wolno o tym, nigdy mi o tym nie mów! Przecież rozumiesz, że to - tamten ja, dawny, a teraz...

- Kto cię tam wie... Człowiek jest jak powieść - do ostatniej stroniczki nie wiesz, jak się skończy. Inaczej nie warto byłoby czytać...

I głaszcze mnie po głowie. Nie widzę jej twarzy, ale po głosie słychać: patrzy teraz gdzieś bardzo daleko, uczepliła się oczami chmury płynącej bezgłośnie, powoli, nie wiadomo gdzie...

Nagle odsunęła mnie ręką - twardo i czule:

- Słuchaj: przyszłam ci powiedzieć, że może to już dla nas ostatnie dni... Wiesz: od dzisiaj wieczór odwołano wszystkie audytoria.

- Odwołano?

- Tak. Przechodziłam w pobliżu - widziałam: oni coś szykują w budynkach audytoriów, jakieś stoły, medycy na biało.

- Ale co to znaczy?

- Nie wiem. Nikt na razie nie wie. I to jest najgorsze. Czuję tylko: oni włączyli prąd, biegnie iskra - i jak nie dziś, to jutro... Ale może nie zdążą.

Dawno już przestałem rozumieć: co za oni, co za my. Nie rozumiem, czego chcą: żeby zdążyli - czy żeby nie. Jedno jest dla mnie jasne: I stąpa teraz po samej krawędzi - i lada moment...

- Ależ to szaleństwo - mówię. - Wy - i Państwo Jedyne. Jakby ktoś zatkał ręką wylot lufy i myślał, że powstrzyma wystrzał. To zupełne szaleństwo!

Uśmiech:

- „Wszyscy muszą oszaleć - jak najprędzej oszaleć”. Ktoś to powiedział wczoraj. Pamiętasz? Tam...

Tak, mam to zanotowane. Z tego wynika, że to się działo naprawdę. W milczeniu patrzę jej w twarz: teraz szczególnie wyraźnie w poprzek niej - ciemny krzyż.

- I, kochana - dopóki nie za późno... Chcesz, rzucę wszystko, o wszystkim zapomnę - i uciekniemy tam z tobą, za Mur - do tych... Nie wiem, co to za jedni.

Pokręciła głową. Przez ciemne okna oczu - tam, w jej wnętrzu, widziałem, płonie piec, iskry, języki ognia w górę, zwalone stosy suchych smolnych szczap. I oczywiście dla mnie: za późno, moje słowa nic już nie mogą...

Wstała - zaraz odejdziesz. Może - już ostatnie dni, może - minuty. Złapałem ją za rękę.

- Nie! Chociaż chwilę jeszcze - na Dobro... na...

Powoli uniosła do światła moją rękę - moją włochatą rękę, której tak nienawidziłem. Chciałem wyszarpnąć, ale trzymała mocno.

- Twoja ręka... Przecież nie wiesz - i niewiele osób o tym wie, że kobietom stąd, z miasta, zdarzało się kochać tamtych. I ty masz pewnie parę kropel słonecznej, leśnej krwi. Może dlatego ja ciebie też - -

Pauza - i jak dziwnie: przez pauzę, przez pustkę, przez to nic - serce w taki galop. I ja w krzyk:

- Aha! Nie wyjdiesz jeszcze! Nie wyjdiesz, dopóki mi o nich nie opowiesz - bo kochasz... ich, a ja nawet nie wiem, kim, skąd oni są. Kim oni są? Połową, którą straciliśmy, H₂ i O -... a żeby wyszło H₂O - strumienie, morza, wodospady, fale, burze - trzeba połączyć połowy...

Namacalnie pamiętam każdy jej ruch. Pamiętam, jak wzięła ze stołu moją szklaną ekierkę i przez cały czas, gdy mówiłem, przyciskała ją ostro krawędzią do policzka - na policzku wystąpiła biała blizna, potem napelniła się różowością, nikła. I dziwna rzecz: nie mogę sobie przypomnieć jej słów - zwłaszcza z początku - i tylko jakieś poszczególne obrazy, barwy.

Wiem: najpierw było o Wojnie Dwustuletniej. I to - czerwień w zieleni traw, na ciemnej glinie, na niebieskości śniegu - czerwone, nigdy nie wysychające kałuże. Potem żółte, spalone przez słońce trawy, nadzy, żółci, skołtunieni ludzie - i skołtunione psy - obok, nad wzdętym padłem, psim, a może ludzkim... To - ma się rozumieć - za murami: bo nasze miasto - już zwyciężyło, w mieście już nasze dzisiejsze - naftowe pożywienie.

I prawie spod samego nieba na dół - czarne, ciężkie fałdy, i te fałdy się kołyszą: nad

lasami, wsiami, powolne słupy, dym. Głuche wycie: pędzą do miasta czarne nie kończące się kolumny - żeby siłą przymuszać je do zbawienia i uczyć szczęścia.

- Wiedziałeś prawie o wszystkim?

- Tak, prawie.

- Ale nie wiedziałeś i mało kto wiedział, że niewielka ich część mimo wszystko ocalała i dalej żyła tam, za murami. Nadzy - uciekli w lasy. Uczyli się tam od drzew, od zwierząt, ptaków, kwiatów, słońca. Porośli sierścią, ale za to pod sierścią ocalili gorącą czerwoną krew. Z wami gorzej: wyście porośli cyframi, cyfry po was pełzają jak wszy. Trzeba was obdrzeć ze wszystkiego i wypędzić do lasu. Żebyście się nauczyli drzeć ze strachu, z radości, ze wściekłego gniewu, z zimna, żebyście się modlili do ognia. I my, Mefi - chcemy...

- Nie, poczekaj - a „Mefi”? Co to za „Mefi”?

- Mefi? To - starożytne imię, to - tamten, co... Pamiętasz: tam, na kamieniu - wizerunek młodzieńca... Albo nie: lepiej twoim językiem, łatwiej zrozumiesz. Więc tak: dwie siły na świecie - entropia i energia. Jedna - dla świętego spokoju, szczęśliwej równowagi; druga - dla zburzenia równowagi, dla męczeńsko nieskończonego ruchu. Entropię - nasi czy raczej - wasi przodkowie, chrześcijanie, wielbili jako Boga. A my, antychrześcijanie, my...

I naraz moment - ledwie słyszalne, szeptem, pukanie do drzwi - i do pokoju wpadł tamten splaszczony, z czołem zbakierowanym na oczy, ten, co to nieraz przynosił kartki od L

Podbiegł do nas, zatrzymał się, sapał - jak pompa pneumatyczna - i nie mógł wydusić słowa: musiał biec pędem.

- No, co! Co się stało? - I złapała go za rękę.

- Idą - tutaj... - wysapała wreszcie pompa. - Straż... i z nimi ten - no, jak go... niby garbaty...

- S?

- No, tak! Obok - w domu. Zaraz tu będą. Prędeż, prędeż!

- Bzdura! Zdąży się - śmiała się, w oczach - iskry, wesołe języki.

To - albo idiotyczna, nierozsądna brawura - albo było tu jeszcze coś, czego nie rozumiałem.

- I, na Dobroczyńcę! Zrozum - przecież to...

- Na Dobroczyńcę - ostry trójkąt-uśmiech.

- No... dla mnie... Proszę cię.

- Ach, a ja jeszcze miałam z tobą o jednym... No, dobrze: jutro.

Wesoło (tak: wesoło) skinęła mi głową; skinął też tamten - wysunawszy się na chwilę

spod okapu swojego czoła. I - jestem sam.

Prędej - do biurka. Rozłożyłem moje notatki, wziąłem pióro - żeby oni zastali mnie przy tej pracy na chwałę Państwa Jedynego. I naraz - każdy włos na głowie żywy, odrębny, rusza się: „A jeżeli przeczytają choćby jedną stronicę - z tych tu, z ostatnich?”.

Siedziałem przy biurku bez ruchu - i widziałem, jak drżały ściany, drżało pióro w mojej ręce, falowały, zlewały się litery...

Ukryć? Ale gdzie: wszędzie - szkło. Spalić? Ale z korytarza i z sąsiednich pokoi - zobaczą. A poza tym już nie zdołam, nie jestem w stanie zniszczyć tego męczeńskiego - i może najdroższego mi - kawałka samego siebie.

Z dala - w korytarzu - już głosy, kroki. Zdażyłem tylko schwycić plik kartek, wsunąć je pod siebie - i teraz przykuty do fotela chwiejącego się każdym atomem, a podłoga pod nogami - pokład, w górę, w dół...

Zwinięty w kłębek, wciśnięty pod okap czoła - jakoś spode łba, chyłkiem widziałem: szli od pokoju do pokoju, poczynając od prawego końca korytarza, coraz bliżej. Jedni siedzieli, zastygli jak ja: inni - wybiegali im na spotkanie i na oścież otwierali drzwi - szczęściarze! Gdybym ja też!

Ucieleśniona w Dobroczyncy cnota - stanowi konieczna dla ludzkości najdoskonalsze dezynfekcję, wskutek tego w organizmie Państwa Jedynego żadna perystaltyka... - skaczącym piórem wyciskałem z siebie ten bełkot, pochylając się nad biurkiem coraz niżej, a w głowie - obląkańcza kuźnia i plecami czułem - szczęknęła klamka drzwi, wionął podmuch, fotel pode mną zatańczył...

Dopiero wtedy z trudem oderwałem się od stronicy i odwróciłem ku wchodzącym (jak trudno grać komedię... ach, kto to mi dziś mówił o komedii?). Na przedzie szedł S - ponuro, w milczeniu, szybko wywiercając oczami studnię we mnie, w moim fotelu, w drżących pod moją ręką karteluszkach. Potem na sekundę - jakieś znajome, powszednie twarze w progu, i oto jedna oddzieliła się od nich - rozdymające się, różowobrazowe skrzela...

Przypomniało mi się wszystko, co działo się w pokoju pół godziny temu. Było dla mnie oczywiste, że ona zaraz - - Cała moja istota tętniła, pulsowała w tej (na szczęście nieprzejrzystej) części ciała, którą nakryłem rękopis.

IO podeszła od tyłu do niego, do S, ostrożnie dotknęła jego rękawa - i powiedziała półgłosem:

- To Δ-503, Konstruktor *Integralu*. Na pewno słyszeliście o nim? On tak zawsze, przy biurku... Zupełnie się nie oszczędza. ... A ja o niej? Co za cudowna, zadziwiająca kobieta.

S przysunął się do mnie, nachylił się ponad moim ramieniem - nad biurkiem.

Zasłoniłem łokciem to, co pisałem, ale krzyknął surowo:

- Proszę mi natychmiast pokazać, co tam macie!

Płonąc ze wstydu podałem mu kartkę. Przeczytał i zobaczyłem, jak z oczu wyślizgnął mu się uśmiech, przemknął po twarzy i ledwie ledwie poruszając ogonkiem przycupnął gdzieś w prawym kącie ust...

- Trochę dwuznaczne, ale zawsze... No, cóż, pracujcie dalej: nie będziemy wam przeszkadzać.

Zachlupotał - jak łopatkami koła po wodzie - do drzwi, a z każdym jego krokiem stopniowo odzyskiwałem nogi, ręce, palce - dusza znowu równomiernie rozprzestrzeniła się w moim ciele, wciągałem powietrze...

Nareszcie: IO jeszcze chwilę została w moim pokoju, podeszła, nachyliła się do ucha - i szeptem:

- Wasze szczęście, że ja...

Niepojęte: co ona chciała przez to powiedzieć?

Później, wieczorem, dowiedziałem się: zabrali trzech. Nikt o tym zresztą głośno nie mówi, tak samo jak o żadnym z ostatnich wydarzeń (-wychowawcze oddziaływanie niewidzialnie obecnych wśród nas Opiekunów). Rozmowy - przede wszystkim, że barometr szybko spada i zmiana pogody.

Notatka 29

Konspekt:

NICI NA TWARZY

KIEŁKI

NIENATURALNA KOMPRESJA

Aż strach: barometr spada, wiatru ciągle jeszcze nie ma, cisza. Tam, w górze, już się zaczęła - dla nas jeszcze niesłyszalna - burza. Pędem przelatują chmury. Na razie jest ich niewiele - pojedyncze zębate odpryski. I tak: jakby w górze jakieś miasto padło już w gruzy i w dół leciały teraz kawały murów i wież, rosły w oczach z przerażającą szybkością - coraz bliżej - ale jeszcze całymi dniami mają lecieć w błękitnej nieskończoności, aż zwałą się na dno, na nas, na dół.

W dole - cisza. W powietrzu - cienkie, niepojęte, prawie niewidzialne nici. Co jesień wiatr przynosi je stamtąd, zza Muru. Płyną powoli - i naraz czujecie: coś obcego, niewidzialnego na twarzy, chcecie strącić - nie: nie możecie, nie ma się jak opędzić...

Najwięcej tych nici - kiedy się idzie pod Zielonym Murem. Szedłem tamtędy dzisiaj rano: I wyznaczyła mi spotkanie w Domu Starożytności - w tamtym, naszym „mieszkanu”.

Miałem już właśnie przed sobą wielką bryłę Domu Starożytności, kiedy usłyszałem za sobą jakieś drobne, pospieszne kroki, szybki oddech. Obejrzałem się - zobaczyłem: doganiała mnie O.

Cała była jakaś szczególnie, doskonale, elastycznie okrągła. Ręce i półkule piersi, i całe jej ciało, tak dobrze mi znane, wyokrąglało się, napinało junifę: lada chwila przerwie cienką tkaninę - i na zewnątrz, na słońce, na światło. Wydaje mi się: tam, w gęstwinie zieloności, wiosną, z równym uporem wydzierają się spod ziemi kiełki roślin - żeby prędzej wyrzucić z siebie pędy, liście, żeby prędzej zakwitnąć.

Przez kilka sekund milczała, świecąc mi w twarz błękitem.

- Widziałam was wtedy, w Dniu Jedności...

- Ja też was widziałem... - naraz przypomniało mi się, jak stała w dole, w wąskim przejściu, przyciśnięta do ściany, osłaniając brzuch rękami. Mimo woli spojrzałem na jej brzuch zaokrąglony pod junifą.

Widocznie zauważyła - zrobiła się okrągło różowa, i różowy uśmiech:

- Jestem taka szczęśliwa - taka szczęśliwa... Jestem pełna - rozumiecie: po brzegi. Chodzę i nic nie słyszę, co dookoła, słucham tylko w środku, w sobie...

Milczałem. Na twarzy - coś obcego, przeszkadzało - ani rusz nie mogłem się od tego uwolnić. Naraz, niespodziewanie, świecąc jeszcze błękitniej, złapała mnie za rękę - i poczułem na swojej ręce jej wargi... To - jak żyję - pierwszy raz. Była to jakaś nieznaną mi dotąd starożytna pieszczota, i od niej - taki wstyd i ból, że (chyba nawet brutalnie) wyrwałem rękę.

- Słuchajcie - czyście zwariowali! I nie dosyć tego - w ogóle wy... Z czego się cieszycie? Jak możecie zapominać o tym, co was czeka? Nie dziś - to za miesiąc, za dwa miesiące...

Przygasła; wszystkie okrągłości - od razu wklęsły, odkształciły się. A w moim sercu - nieprzyjemna, aż chorobliwa kompresja, związana z uczuciem litości (serce - to właściwie idealna pompa; kompresja, sprężenie - zasysanie przez pompę cieczy - to techniczny absurd; a więc jasne: jak absurdalne, nienaturalne, chorobliwe są w istocie wszystkie te „miłości”, „litości” i temu podobne, które wywołują taką kompresję).

Cisza. Mętnie zielone szkło Muru - po lewej. Ciemnoczerwona bryła - z przodu. Te dwa kolory, nakładając się na siebie, dały w mojej głowie, niczym wypadkową - znakomity, jak sądzę, pomysł.

- Czekajcie! Wiem, jak was uratować. Ocalę was przed tym: ujrzeć swoje dziecko i umrzeć. Będziecie je mogli wykarmić - rozumiecie - będziecie obserwować, jak będzie na waszych rękach rosło, zaokrąglało się, dojrzewało jak owoc...

Cała zadygotała, wczepiła się we mnie.

- Pamiętacie tamtą kobietę... no, wtedy, dawno, na spacerze. Ona jest tutaj, w Domu Starożytności. Chodźmy do niej i rękę: wszystko bezzwłocznie załatwię.

Już widziałem, jak we dwójkę z I prowadzimy ją korytarzami - i już tam, ona, wśród kwiatów, traw, liści... Ale ona cofnęła się, różki jej różowego półksiężycy drżały i wyginały się w dół.

- To - właśnie ta - powiedziała.

- To znaczy... - zmieszałem się nie wiedzieć czemu. - No, tak: ta właśnie.

- I wy chcecie, żebym do niej poszła - żebym ją prosiła - żebym ja... Nie wazcie się o tym nigdy więcej!

Zgarbiona, szybko odwróciła się ode mnie. Jakby coś jeszcze sobie przypomniwała - odwróciła się i krzyknęła:

- Umrę - tak, dobrze! A wam nic do tego - nie wszystko wam jedno?

Cisza. Spadają z góry, z przerażającą szybkością rosną w oczach - kawały niebieskich wież i murów, ale jeszcze całymi godzinami - może dniami - mają lecieć w nieskończoności; powoli płyną niewidzialne nici, osiadają na twarzy - ani rusz nie można ich strząsnąć, nie sposób uwolnić się od nich.

Idę powoli w stronę Domu Starożytności. W sercu - absurda, męcząca kompresja...

Notatka 30

Konspekt:

OSTATNIA LICZBA BŁĄD GALILEUSZA CZY NIE LEPIEJ?

Oto moja rozmowa z I - tam, wczoraj, w Domu Starożytności, wśród pstrokatego zgiełku, który zagłuszał logiczny bieg myśli - czerwone, zielone, brązowożółte, białe, pomarańczowe barwy... Przez cały czas - wobec zastygłego w marmurze uśmiechu perkatego starożytnego poety.

Przytaczam tę rozmowę słowo w słowo, bo, wydaje mi się - będzie miała ogromne, decydujące znaczenie dla losów Państwa Jedyne - i więcej: wszechświata. I dlatego - tutaj, moi nieznani czytelnicy, doszukajcie się, być może, jakiegoś dla mnie usprawiedliwienia...

I od razu, bez żadnego przygotowania, zvaliła na mnie wszystko:

- Wiem: pojutrze macie pierwszy, próbny lot *Integralu*. Tego dnia - zdobędziemy go.

- Jak to? Pojutrze?

- Tak. Siądź, nie denerwuj się. Nie możemy tracić ani chwili - pośród setek tych, których wczoraj Opieka wygarnęła na oślep, znalazło się 12 Mefi, dwa-trzy dni zwłoki, a zginą.

Milczałem.

- Żeby obserwować przebieg eksperymentu - muszą przysłać do was elektrotechników, mechaników, lekarzy, meteorologów. Punkt o 12 - zapamiętaj - kiedy zadzwonią na obiad i wszyscy pójdą do jadalni, zostaniemy w korytarzu, zamkniemy wszystkich w jadalni - i *Integral* będzie nasz... Rozumiesz: to konieczne, za wszelką cenę. *Integral* w naszych rękach - to będzie broń, która pomoże zakończyć wszystko za jednym zamachem, szybko, bezboleśnie. Ich aero... ha! To będą po prostu marne komary wobec jastrzębia. A poza tym: gdyby to było konieczne - będzie można skierować w dół dysze silników i samą ich siłą...

Zerwałem się.

- To bezsens! To idiotyzm! Czy nie rozumiesz: to, co planu - to rewolucja?

- Tak, rewolucja! Dlaczego ma to być idiotyzm?

- Idiotyzm - bo rewolucji być nie może. Bo nasza - to nie ty, ale ja mówię - nasza rewolucja była ostatnia. I żadnych więcej rewolucji być nie może. Każdy o tym wie...

Kpiący, ostry trójkąt brwi:

- Mój kochany: ty jesteś - matematyk. Nawet więcej - jesteś filozofem - od matematyki. No więc: wymień mi ostatnią liczbę.

- To znaczy? Ja... nie rozumiem: jak to - ostatnią?

- No - ostatnią, najwyższą, największą.

- Ależ, I - przecież to idiotyzm. Skoro mnogość liczb jest nieskończona, jakiej ty chcesz ostatniej?

- A jakiej ty chcesz ostatniej rewolucji? Ostatniej - nie ma, rewolucje - są nieskończone. Ostatnia - to dla dzieci: bo dzieci boją się nieskończoności, a muszą spokojnie spać nocami...

- Ależ jakież sens - jakież sens w tym wszystkim - na Dobroczynę? Jakież sens, skoro wszyscy są już szczęśliwi?

- Przypuścimy... No, dobrze: niech nawet tak będzie. A co dalej?

- Śmieszne! Zupełnie dziecinne pytanie. Opowiada się dzieciom wszystko do końca - a one i tak pytają: a dalej, a potem?

- Dzieci - to jedyni śmiali filozofowie. A śmiali filozofowie - to zawsze dzieci. Zawsze trzeba tak właśnie, jak dzieci: a co dalej?

- Nic dalej! Kropka. W całym wszechświecie - równomiernie, wszędzie - rozlane...

- Aha! Równomiernie, wszędzie! Tu właśnie doszliśmy do niej - to entropia, psychiczna entropia. Czy dla ciebie, matematyka - nie jest oczywiste, że tylko różnice - różnice - temperatur, tylko kontrasty cieplne - tylko w nich tkwi życie. A jeżeli wszędzie, w całym wszechświecie, ciała jednakowo ciepłe - albo jednakowo chłodne... Trzeba je zderzyć - żeby był ogień, eksplozja, piekło. I my je - zderzymy.

- Ale, I - zrozumże, zrozum: nasi przodkowie - podczas Wojny Dwustuletniej - to właśnie zrobili...

- O, i mieli rację - po tysiącokroć rację. Tylko jeden błąd: później uwierzyli, że istnieje ostatnia liczba - której w przyrodzie nie ma, nie ma. Ich błąd, to błąd Galileusza: miał rację, że Ziemia kręci się wokół Słońca, ale nie wiedział, że cały układ słoneczny - porusza się jeszcze wokół jakiegoś środka, nie wiedział, że prawdziwa, a nie względna orbita Ziemi - to żadne tam proste koło...

- A wy?

- A my - na razie wiemy, że nie ma ostatniej liczby. Może zapomnimy. Nie: nawet na

pewno - zapomniony, gdy się zestarzejemy - tak jak wszystko nieuchronnie się starzeje. I wtedy też nieuchronnie w dół - jak jesienią liście z drzewa - jak pojutrze wy... Nie, nie, kochany - nie ty. Ty przecież jesteś - z nami, ty jesteś - z nami!

Rozgorączkowana, rozwichrzona, irytująca - nigdy jeszcze takiej jej nie widziałem - ogarnęła mnie sobą, cała. Znikłem.

Na koniec - patrząc mi w oczy mocno, twardo:

- Więc pamiętaj: o 12.

Powiedziałem:

- Tak, pamiętam.

Poszła. Sam - wśród wściekłego, różnogłosego zgiełku - niebieskich, czerwonych, zielonych, brązowożółtych, pomarańczowych...

Tak, o 12... - i naraz idiotyczne odczucie czegoś obcego, oblepiającego twarz - czego ani rusz nie da się strącić. Raptem - wczorajszy ranek, IO - i to, co krzyczała wtedy w twarz I... Dlaczego? Co za absurd.

Pospiesznie wyszedłem na dwór - i jak najszybciej do domu, do domu...

Gdzieś za mną słyszałem przejmujący pisk ptaków nad Murem. A przede mną, w zachodzącym słońcu z purpurowego, skryzalizowanego ognia - kule kopuł, ogromne, płonące sześciany domów, jak zastygła w niebie błyskawica - szpic wieży akumulacyjnej. I to wszystko - to nieskazitelne, geometryczne piękno - mam sam własnymi rękami... Czyżby nie było żadnego wyjścia, żadnej drogi?

Przy którymś z audytoriów (numeru nie pamiętam). Wewnątrz - zwalone na stos ławki: pośrodku - stoły, nakryte prześcieradłami ze śnieżnobiałego szkła, na bieli - plama słonecznej różowej krwi. I w tym wszystkim ukryte jakieś niewiadome - dlatego straszne jutro. To wbrew naturze: żeby myśląca, widząca istota żyła wśród nieprawidłowości, niewiadomych, iksów. Jakby wam zawiązano oczy i zmuszono do chodzenia, macania, potykania się, a wiecie - gdzieś tu całkiem blisko jest krawędź, jeden tylko krok - i zostanie z was tylko rozplaszczony, poszarpany kawał mięsa. Czyż to nie to samo?

A gdyby tak nie czekając - samemu głową w dół? Czy to nie będzie jedyne słuszne wyjście, co od razu wszystko rozstrzygnie?

Notatka 31

Konspekt:

WIELKA OPERACJA

WSZYSTKO WYBACZYŁEM

ZDERZENIE POCIĄGÓW

Jesteśmy ocaleni! W ostatniej chwili, kiedy już się wydawało - nie ma się czego uchwycić, wydawało się - wszystko skończone...

Było tak: jakbyście wspięli się już po stopniach do groźnej Maszyny Dobroczyńcy i z ciężkim szczękiem nakrył was już szklany kołpak, i ostatni raz w życiu - prędzej - pochłaniacie oczami niebieskie niebo...

I nagle: wszystko to – tylko „sen”. Słońce - różowe, wesole, i ściana - co za radość pogłaskać ręką zimną ścianę - i poduszka - bez końca upajać się dołkiem odcisniętym przez waszą własną głowę w białej poduszce.

Tego w przybliżeniu doświadczyłem, kiedy dziś rano przeczytałem „Gazetę Państwową”. Straszny sen się skończył. A ja, małoduszny, ja niedowiarek - myślałem już o samowolnej śmierci. Wstyd mi teraz odczytywać ostatnie zdania, jakie wczoraj zanotowałem. Ech, wszystko jedno: niech tam, niech zostaną jako świadectwo tego nieprawdopodobieństwa, do którego mogło dojść - i już nie dojdzie... tak, nie dojdzie!

Na pierwszej stronie „Gazety” jaśniało, co następuje:

„Radujcie się,

Oto dziś bowiem doskonali będziecie! Poczęte z was mechanizmy były dotychczas doskonalsze niż wy.

Dlaczego?

Każda iskra z dynama - to iskra najczystszejgo rozumu; każdy suw silnika - to nieskazitelnym sylogizm. Czy ów nieomylny rozum nie jest też waszym udziałem?

Filozofia dźwigów, pras i pomp - jest pełna i oczywista jak koło zakreślone cyrklem. Czy wasza filozofia jest mniej kolista?

Piękno mechanizmu - to precyzyjny jak wahadło, nieprzerwany rytm. Czyż wy,

karmieni od dziecka systemem Taylora, nie staliście się - wahadłowo precyzyjni?

Jedno tylko:

Mechanizm nie ma wyobraźni.

Czy widzieliście kiedykolwiek, aby w trakcie pracy na obliczu cylindra tłokowego - rozlewał się wyobcowany, bezsensownie marzycielski uśmiech? Czy słyszeliście kiedykolwiek, aby dźwigi nocami, w godzinach przeznaczonych na odpoczynek, niespokojnie wzdychając przewracały się z boku na bok?

Nie!

U was natomiast - zaczerwieniecie się ze wstydu! - Opiekunowie coraz częściej odnotowują te uśmiechy i westchnienia. A - zasłońcie oczy rękami! - historycy Państwa Jedyne podają się do dymisji, aby nie opisywać tych haniebnych zdarzeń.

Nie wasza to jednak wina - jesteście chorzy. Imię tej choroby:

wyobraźnia.

To robak, który wyžera czarne zmarszczki na czole. To gorączka, która pędzi was coraz dalej - chociażby owo „dalej” zaczynało się tam, gdzie kończy się szczęście. To ostatnia barykada na drodze do szczęścia.

Cieszcie się: już wysadzono ją w powietrze.

Droga wolna.

Oto ostatnie odkrycie Nauki Państwowej: ośrodek wyobraźni to żaloszny zwoik mózgu w pobliżu mostu Varola. Wystarczy trzykrotne przypalenie tego zwoiku promieniami X - i już jesteście uleczeni z wyobraźni -

Na zawsze.

Jesteście - doskonali, jesteście - równi maszynom, droga do stuprocentowego szczęścia - wolna. Spieszcie więc wszyscy - starzy i młodzi - spieszcie poddać się Wielkiej Operacji. Pospieszajcie do audytoriów, w których przeprowadza się Wielką Operację. Niech żyje Wielka Operacja! Niech żyje Państwo Jedyne, niech żyje Dobroczyńca!

... Gdybyście odczytywali to wszystko nie z moich notatek przypominających jakąś dziwną starożytną powieść - gdyby jak mnie drżała wam w rękach ta pachnąca jeszcze świeżą farbą płachta gazety - gdybyście tak jak ja wiedzieli, że to wszystko najprawdziwsza realność, jak nie dziś, to jutro - czy nie czulibyście tego, co ja? Czy - tak jak mnie w tej chwili - nie mąciłoby się wam w głowie? Czy - pleców i ramion - nie przenikałyby wam te straszne, rozkoszne, lodowate igiełki? Czy nie wydawałoby się wam, że jesteście - gigantem, Atlasem - że prostując się niechybnie stukniecie głową w szklany sufit?

Złapałem za telefon:

- I-330... Tak, tak: 330 - a potem krzyknąłem zachłystując się: - Jesteście w domu, tak? Czytaliście - czytacie? Przecież to, przecież to... To olśniewające!

- Tak... - długie, ciemne milczenie. Słuchawka ledwie słyszalnie brzęczała, zastanawiała się nad czymś... - Koniecznie muszę się dzisiaj z wami zobaczyć. Tak, u mnie po 16. Koniecznie.

Kochana! Ach, jaka kochana! „Koniecznie...” Czułem: uśmiecham się - i w żaden sposób nie mogę przestać, i tak właśnie będę niósł mój uśmiech ulicą - jak latarnię, wysoko nad głową...

Tam, na dworze, wypadł na mnie wiatr. Popychał, świszczwał, smagał. Ale w to mi graj. Skowyt, wycie - co tam: już teraz nie zdołasz zwalić murów. Nad głową rozpadają się żelazolotne chmury - nie szkodzi: nie zdołacie przesłonić słońca - na wieki przykuliśmy je łańcuchami do zenitu - jesteśmy jak Jozue!

Na rogu - gromadka takich Jozuów tłoczyła się z czołami przylepionymi do szklanej ściany. W środku, na oślepiająco białym stole leżał już jeden. Spod bieli, rozsunięte żółtym kątem, wyglądały bosa podeszwy stóp, biali medycy - pochylili się u wezglowia, biała ręka - podała innej ręce napełnioną czymś strzykawkę.

- A wy - czemu nie idziecie? - spytałem - nikogo czy raczej wszystkich.

- A wy - obejrzała się ku mnie czyjaś kula.

- Ja - potem. Muszę jeszcze najpierw...

Odszedłem trochę zmieszany. Rzeczywiście, najpierw musiałem zobaczyć się z nią, z I. Ale dlaczego, „najpierw” - sam sobie nie potrafiłem odpowiedzieć...

Pochylnia. Błękitnawolodowy *Integral* połyskiwał, iskrzył się. W maszynowni huczało dynamo - powtarzając bez końca jakieś jedno pieszczotliwe słowo - jakby moje własne, znane mi słowo. Nachyliłem się, pogłaskałem długą, zimną dyszę silnika. Kochana... ach, jaka kochana. Jutro - ożyjesz, jutro - zadrżysz pierwszy raz w życiu, czując palące rozbryzgi ognia w swoim łonie...

Jakże teraz śmiałybym spojrzeć na tego potężnego, szklanego potwora, gdyby wszystko zostało jak wczoraj? Gdybym wiedział, że jutro o 12 zdradzę go... tak, zdradzę...

Ostrożnie - z tyłu za łokieć. Odwróciłem się: talerzowata, płaska twarz Drugiego Konstruktora.

- Wiecie już - powiedział.

- Co? Operacja? Tak, prawda? Jak - wszystko, wszystko - od razu...

- Ależ nie, nie o to chodzi: próbny lot przełożono na pojutrze. Wszystko przez tę tam

Operację... Niepotrzebnie się spieszyliśmy...

„Wszystko przez tę tam Operację”... Śmieszny, ograniczony człowiek. Nie widzi dalej swojego talerza. Nie wie, że gdyby nie Operacja - jutro o 12 siedziałby pod kluczem w szklanej klatce, miotałby się tam i tłukł o ściany...

W moim pokoju o 15.30. Wszedłem - zobaczyłem. Siedziała przy biurku - koścista, wyprostowana, twarda - oparłszy na ręce prawy policzek. Widocznie czekała już od dawna: kiedy zerwała się, gdy wszedłem - na jej policzku zostało pięć dołków po palcach.

Przez sekundę we mnie - tamten nieszczęsny poranek, i właśnie tu, przy biurku - ona obok I, rozjuszona... Ale to tylko sekunda - zaraz spłukana przez dzisiejsze słońce. Tak bywa, kiedy w jasny dzień wchodząc do pokoju w roztargnieniu włączamy światło - żarówka się pali, ale jakby jej nie było - taka śmieszna, biedna, niepotrzebna...

Bez namysłu podałem jej rękę, wszystko wybaczyłem - schwyciła obie moje, mocno, kolczasto ścisnęła i z policzkami podrygującymi w zdenerwowaniu jak starożytne ozdoby - powiedziała:

- Czekałam... ja tylko na chwilę... chciałam tylko powiedzieć: taka jestem szczęśliwa, taka szczęśliwa! Rozumiecie: jutro - pojutrze - będziecie się już cieszyć doskonałym zdrowiem, odrodzicie się...

Dostrzegłem na biurku kartkę - ostatnie dwie strony mojej wczorajszej notatki: leżała tam, gdzie ją wczoraj zostawiłem. Gdyby wiedziała, co ja tam wypisywałem... Wszystko jedno zresztą: teraz to - tylko historia, teraz to - w śmiesznej dali, jak przez odwróconą lornetkę...

- Tak - powiedziałem - a wiecie: szedłem teraz aleją, i ktoś przede mną, a za nim - cień na nawierzchni. I rozumiecie: - cień - świeci się. I zdaje mi się - no, nawet jestem przekonany - jutro już w ogóle nie będzie cieni, ludzie, przedmioty - bez cienia, słońce - na wylot, przez wszystko...

Ona - czule i surowo:

- Fantasta z was! Dzieciom w mojej szkole - nie pozwoliłabym tak mówić...

I coś o dzieciach, jak wszystkie naraz, hurtem zaprowadziła na Operację, jak trzeba było je tam wiązać, i że „kochać - trzeba bezlitośnie, ale to bezlitośnie”, i że, zdaje się, wreszcie się zdecyduje...

Poprawiła szarobłękitną tkaninę pomiędzy kolanami, w milczeniu, szybko - oblepiła mnie całego uśmiechem, wyszła.

I - na szczęście, słońce dzisiaj jeszcze się nie zatrzymało, słońce biegło, i już 16, stukam do jej drzwi - serce stuka...

- Proszę wejść!

Na podłogę - przy jej fotelu, objąwszy jej nogi, z głową odrzuconą patrzeć jej w oczy - kolejno to w jedno, to w drugie - i w każdym widzieć siebie - w cudownej niewoli...

A tam, za ścianą, burza, tam - chmury coraz to bardziej żelazne: to co! w głowie - ciasno, wezbrane - przez brzeg - słowa, i na głos razem ze słońcem lecę gdzieś... nie, *teraz* wiemy już, gdzie - a za mną planety - planety buchające płomieniami, zasiedlone przez ogniste, śpiewające kwiaty - i planety nieme, niebieskie, na których rozumne kamienie łączą się w zorganizowane społeczeństwa - planety, które, jak nasza Ziemia, osiągnęły szczyt absolutnego, stuprocentowego szczęścia...

I naraz - z góry:

- A nie sądzisz, że szczyt - to właśnie kamienie połączone w zorganizowane społeczeństwo?

I coraz ostrzejszy, coraz ciemniejszy trójkąt:

- A szczęście... Co to jest? Przecież pragnienia - są dręczące, prawda? To jasne: szczęście - kiedy nie ma już żadnych pragnień, ani jednego... Co za błąd, co za idiotyczny przesąd, że do tej pory przed szczęściem - stawialiśmy znak plus, przed absolutnym szczęściem - a nie, oczywiście - minus, boski minus.

Pamiętam, speszony wybełkotałem:

- Absolutny minus - to 273°...

- Minus 273 - właśnie. Trochę chłodno, ale czyż to nie dowodzi, że jesteśmy na szczycie?

Jak wtedy, dawno, mówiła jakby za mnie, ze mnie - rozwijała moje myśli aż do końca. Ale było w tym coś tak strasznego - nie mogłem - z wysiłkiem wydobyłem z siebie „nie”.

- Nie - powiedziałem. - Ty... ty żartujesz...

Roześmiała się, głośno - za głośno. Szybko, w ciągu sekundy, dośmiała się do jakiejś krawędzi - potknęła się - w dół... Pauza.

Wstała. Położyła mi ręce na ramionach. Patrzyła długo, powoli. Potem przyciągnęła do siebie - i już nic: tylko jej ostre, gorące wargi.

- Żegnaj!

To - z daleka, z góry, doszło do mnie nie od razu - może po minucie, dwóch.

- Jak to „żegnaj”?

- Jesteś przecież chory, przeze mnie dokonywałeś przestępstw - czy to cię nie dręczyło? A teraz Operacja - i ulecysz się ze mnie. I dlatego - żegnaj.

- Nie - krzyknąłem.

Bezlitośnie ostry trójkąt, czarne na białym:

- Jak to? Nie pragniesz szczęścia?

Głowa mi pękała, dwa logiczne pociągi z trzaskiem zderzyły się, spiętrzyły, zdruzgotały...

- No, cóż, czekam: wybieraj - Operacja i stuprocentowe szczęście - albo...

„Nie mogę bez ciebie, nie trzeba bez ciebie” - powiedziałem albo tylko pomyślałem - nie wiem, ale I słyszała.

- Tak, wiem - odpowiedziała mi. A potem - ciągle jeszcze opierając mi ręce na ramionach i oczami pilnując moich oczu:

- Więc - do jutra. Jutro - 12: pamiętasz?

- Nie. Przełożone o jeden dzień... Pojutrze...

- Tym lepiej dla nas... o 12 - pojutrze...

Szedłem sam - ulicą o zmierzchu. Wiatr obracał mną, niósł, pędził - jak papierkiem, kawały żeliwnego nieba leciały, leciały - miały tak lecieć w nieskończoności - jeszcze dzień, dwa... Junify przechodniów wpadały na mnie - ale szedłem sam. Było jasne: wszyscy są ocaleni, ale dla mnie już nie ma zbawienia, *ja nie chcę zbawienia...*

Notatka 32

Konspekt:

NIE WIERZĘ

TRAKTORY

DRZAZGA LUDZKA

Czy wierzycie, że *umrzecie*? Tak, człowiek jest śmiertelny, ja jestem człowiekiem - a zatem... Nie, to nie tak: wiem, że o tym wiecie. Ale pytam: czy zdarzyło się wam *uwierzyć w to*, uwierzyć do ostateczności, uwierzyć nie umysłem, ale *ciałem*, poczuć, że kiedyś palce, które trzymają teraz tę właśnie stronicę - będą żółte, lodowate...

Nie: oczywiście nie wierzycie - i dlatego jak dotąd nie wyskoczyliście z dziesiątego piętra na bruk, dlatego jak dotąd jecie, odwracacie stronicę, golicie się, uśmiechacie, piszecie...

Ja dziś tak samo - tak, właśnie tak samo. Wiem, że ta mała czarna wskazówka na zegarku spełźnie - o, tu, na dół, przed północą znowu wdrapie się na górę, przekroczy jakąś ostatnią granicę - i nastanie niewiarygodne jutro. Wiem o tym, ale jednak *przez cały czas nie wierzę* - czy też być może wydaje mi się, że dwadzieścia cztery godziny - to dwadzieścia cztery lata. Dlatego mogę jeszcze cokolwiek robić, spieszyć się gdzieś, odpowiadać na pytania, wspinać się po trapie *Integralu*. Czuję, jak on kołysze się na wodzie, i rozumiem - trzeba się chwycić poręczy - a pod ręką zimne szkło. Widzę, jak przezroczyste żywe dźwigi wyginają żurawie szyje, wyciągają dzioby, troskliwie, tkliwie karmią *Integral* straszną eksplozywną karmą silników. A w dole na rzece - widzę wyraźnie niebieskie, wzdęte od wiatru żyły, węzły wodne. Ale to tak: bardzo osobno, bez związku ze mną, obco, płasko - jak wykres na płachcie papieru. I dziwna rzecz, że płaska, wykreślna twarz Drugiego Konstruktorza - nagle przemówiła:

- Więc jak: ile bierzemy paliwa? Licząc trzy... no, trzy i pół godziny...

Przede mną - w projekcji, na wykresie - moja ręka z suwakiem, logarytmiczny cyferblat, liczba 15.

- Piętnaście ton. Ale lepiej weźcie... tak: weźcie sto...

To dlatego, że przecież jednak wiem, że jutro - -

I widzę z boku - jak ledwie dostrzegalnie zaczyna drżeć moja ręka z suwakiem.

- Sto? Ale po cóż taką masę? Przecież to na tydzień. Gdzie tam na tydzień - dłużej!

- Mało to się może... Kto wie...

- Wiem...

Wiatr świszczę, powietrze aż po sam wierzch nabite czymś niewidzialnym. Trudno mi oddychać, trudno iść - i trudno, powoli, nie zatrzymując się ani na sekundę - pełźnie wskazówka na zegarze wieży akumulacyjnej, tam, u końca alei. Szpic wieży - w chmurach - matowy, granatowy, głucho wyje: zasysa elektryczność. Huczą kotły Wytwórni Muzycznej.

Jak zwykle - w rzędach, czwórkami. Ale rzędy - jakieś nietrwale, może na wietrze - chwieją się, łamią. Coraz bardziej. Zderzyły się z czymś na rogu, odrzuciło je wstecz - i już zbity, zastygły, stłoczony, z przyspieszonym oddechem - kłęb, i wszyscy naraz - długie gęsie szyje.

- Popatrzcie! Ej, popatrzcie - tam, tam, przódziej!

- Oni! to oni!

- ... A ja - za nic! Za nic - lepiej głowę w Maszynę...

- Ciszej! Szalony...

Na rogu, w audytorium - drzwi otwarte na oścież, a stamtąd - powolna, ociężała kolumna, z pięćdziesięciu ludzi. „Człowiek” zresztą - to nie to: nie nogi - ale jakieś ciężkie, na uwięzi, koła - obracane niewidzialnym napędem; nie ludzie - ale jakieś człekokształtne traktory. Nad ich głowami łopocze na wietrze biały sztandar ze słońcem wyhaftowanym złotą nicią - a w promieniach napis: *Jesteśmy pierwsi! Już po Operacji! Wszyscy w nasze ślady!*

Powoli, niepowstrzymanie rozorali tłum - to jasne: gdyby zamiast nas mieli na swej drodze mur, drzewo, dom - tak samo niepowstrzymanie rozoraliby mur, drzewo, dom. Już są na środku alei. Ześrubowani pod ręce - rozciągnęli się tyralierą, twarzą ku nam. A my - napięty, najeżony głowami kłęb - czekamy. Szyje gęsie wyciągnięte. Chmury. Wiatr świszczę.

Naraz skrzydła tyraliery, po prawej i po lewej, szybko się zagięły - i na nas - coraz szybciej - jak ciężka maszyna pod górę - wzięli w kleszcze i ku rozwartym drzwiom, we drzwi, do środka...

Czyjś przenikliwy krzyk:

- Zapędzają! Uciekajcie!

Wszystko runęło z miejsca. Przy samej ścianie - jeszcze wążutka żywa furtka, wszyscy - w nią, głowami naprzód - głowy momentalnie wyostrzone klinem i ostre łokcie, żebra, ramiona, boki. Jak strumień wody sprężonej w sikawce rozprysły się wachlarzem i tryskają dokoła tupoczące nogi, wymachujące ręce, junify. Skądś na moment przed moimi

oczami - ciało dwuwygięte jak S, przejrzyste skrzydła - uszy - i już go nie ma, pod ziemię - i jestem sam - wśród pędzących rąk, nóg - uciekam...

Odsapnąć - do jakiejś bramy - plecami mocno o drzwi - i naraz ku mnie, jakby wiatr cisnął małą ludzką drzazgę.

- Ja cały czas - ja za wami... Ja nie chcę - rozumiecie - nie chcę. Zgadzą się...

Krągłe, drobne ręce na moim rękawie, okrągłe niebieskie oczy: to ona, O. Jakoś osuwa się po ścianie i siada na ziemi. Skulona tam, na zimnych schodach, a ja - nad nią, gładzę ją po głowie, po twarzy - ręce mokre. Tak: jakbym był bardzo duży, a ona - całkiem mała - mała cząstka mnie samego. To coś zupełnie innego niż I, wydaje mi się teraz: coś podobnego mogli mieć starożytni w stosunku do swoich prywatnych dzieci.

W dole - spoza rąk zakrywających twarz - ledwie słyszalnie:

- Ja co noc... Nie mogę - jeżeli mnie wyleczą... Co noc - jestem sama, po ciemku myślę o nim - jakie będzie, jak będę je... Wtedy nie mam po co żyć. Rozumiecie? I musicie - musicie...

Idiotyczne uczucie - ale rzeczywiście jestem przekonany: tak, muszę, mam obowiązek. Idiotyczne - bo ten mój obowiązek - to jeszcze jedno przestępstwo. Idiotyczne - bo białe nie może być jednocześnie czarnym, obowiązek i przestępstwo - nie mogą się łączyć ze sobą. Czy też może białe i czarne w życiu w ogóle nie istnieje, a kolor zależy tylko od zasadniczej przesłanki logicznej. A jeżeli przesłanką było to, że bezprawnie zrobiłem jej dziecko...

- No, dobrze - ale nie trzeba, nie trzeba... Rozumiecie: muszę was zaprowadzić do I - jak wtedy proponowałem - żeby ona...

- Tak (*cicho, nie odejmując rąk od twarzy*).

Pomogłem jej wstać. I w milczeniu, każde zajęte sobą - czy może tym samym - ulicą coraz ciemniejszą, wśród niemych ołowianych domów, w gęstych, smagających gałęziach wiatru...

W jakimś przezroczystym napiętym punkcie - w świcie wiatru usłyszałem za nami znajome kroki - chlupoczące jak po kałużach. Obejrzałem się na zakręcie - wśród chmur pędzących głową na dół w granatowym lustrze nawierzchni - ujrzałem S. Naraz - obce, nie do taktu wymachujące ręce, i głośno opowiadam O - że jutro... tak, jutro - pierwszy lot *Integralu* - to będzie rzecz absolutnie niebywała, cudowna, straszna.

O - ze zdumieniem, krągło, niebiesko patrzy na mnie, na moje głośno, bezsensownie wymachujące ręce. Ale nie daję jej dość do słowa - gadam, gadam. A w środku odrębnie - to słyszę tylko ja sam - gorączkowo brzęczy i postukuje myśl: *Nie wolno... trzeba jakoś... Nie*

wolno prowadzić go ze sobą do I -...

Zamiast skrócić w lewo - skręcam w prawo. Most podstawia swój pokorny, niewolniczo ugięty grzbiet - nam trojgu: mnie, O - i jemu, S, z tyłu. Z oświetlonych budynków na tamtym brzegu sypią się w wodę światła, rozpryskują się tysiącami iskier podskakujących gorączkowo, ochlapanych wściekłą białą pianą. Wiatr huczy - jakby gdzieś nie bardzo wysoko naciągnięto basową strunę-sznur. A w tle basu - z tyłu przez cały czas - -

Dom, w którym mieszkam. Przy drzwiach O zatrzymała się, coś zaczęła:

- Nie! Przecież obiecaliście...

Nie dałem jej skończyć, pospiesznie wepchnąłem za próg - byliśmy w środku, w westybulu. Nad stolikiem kontroli - znajome, podrygujące nerwowo obwisłe policzki: wokoło - zbity gromadka numerów - jakiś spór, głowy przewieszane przez poręczę pierwszego piętra - kolejno zbiegają na dół. Ale to - potem, potem... A teraz - byle szybciej - zaciągnąłem O w przeciwny kąt, usiadłem tyłem do ściany (tam, za ścianą, widziałem: po trotuarze w tę i z powrotem sunął ciemny, wielkogłowy cień), wyciągnąłem notes.

O - w swoim fotelu powoli zapadała się - jakby pod junifą ulatniało się, topniało ciało - i tylko puste ubranie i puste - wyciągające w niebieską pustkę - oczy. Ze zmęczeniem:

- Po co wyście mnie tutaj? Oszukaliście mnie?

- Nie... Ciszej! Spójrzcie tam: widzicie - za ścianą?

- Tak. Cień.

- On - cały czas za mną... Nie mogę. Rozumiecie - nie wolno mi. Zaraz napiszę dwa słowa - weźmiecie i załatwicie sama. Wiem: on tu zostanie.

Pod junifą - znowu poruszyło się pełne ciało, zaokrąglił się brzuch, na policzkach - ledwie dostrzegalny brzask, jutrzeńka.

Wsunąłem karteczkę w jej zimne palce, mocno ścisnąłem rękę, ostatni raz zaczerpnąłem oczami z jej niebieskich oczu.

- Żegnajcie! Może jeszcze kiedyś...

Cofnęła rękę. Pochylona odeszła powoli - dwa kroki - szybko się odwróciła - i znowu przy mnie. Wargi się poruszają - oczami, wargami - cała - jedno, tylko jedno i to samo, jakieś słowo do mnie - i jaki nie do zniesienia uśmiech, jaki ból...

A potem zgięta, złamana ludzka drzazga w drzwiach - drobny cień za ścianą - nie oglądając się, szybko - coraz szybciej...

Podszedłem do stolika IO. Nerwowo, z irytacją wzdymając skrzela powiedziała do mnie:

- Macie pojęcie - wszyscy jakby powariowali! Ten tam przysięga, że na własne oczy

widział koło Domu Starożytności jakiegoś człowieka - goły i cały obrośnięty sierścią...

Ze zbitej, najeżonej głowami gromadki - głos:

- Tak! I jeszcze raz powtarzam: widziałem, tak!

- No, jak wam się to podoba? Co za brednie!

I te jej „brednie” - takie pewne siebie, sztywne, że sam sobie zadałem pytanie: *Czy to rzeczywiście nie brednie - wszystko to, co dzieje się ze mną i wokół mnie w ostatnich czasach?*

Rzuciłem jednak okiem na własne włochate ręce - przypomniało mi się: *I ty masz pewnie parę kropel leśnej krwi... Może właśnie dlatego...*

Nie: na szczęście - nie brednie. Nie: na nieszczęście - nie brednie.

Notatka 33

Konspekt:

TO BEZ KONSPEKTU

JAK LECI

OSTATNIE

Ten dzień - nadszedł.

Prędej gazetę - może tam. Czytam oczami (właśnie tak: moje oczy teraz - jak pióro, jak suwak, który trzyma się, czuje w ręku - to coś obcego, to narzędzie).

Tam - wielkimi literami, na całą pierwszą stronę:

Wrogowie szczęścia nie śpią. Nasze szczęście jest w naszych rękach: zatrzymajcie je! W dniu jutrzejszym odwołuje się wszelkie prace - wszystkie numery obowiązane są stawić się na Operację. Numery, które nie dopełnią obowiązku stawienia - podlegają karze w Maszynie Dobroczyńcy.

Jutro! Czy może jeszcze być - czy będzie jakiegokolwiek jutro?

Prawem codziennej bezwładności sięgnąłem ręką (narzędzie) na półkę z książkami - dołączyłem dzisiejszą „Gazetę” do reszty pod okładkę zdobioną złotem. I jednocześnie:

Po co? Czy nie wszystko jedno? Przecież tutaj, do tego pokoju - już nigdy więcej, nigdy...

Gazeta z rąk - na ziemię. A sam stoję, rozglądam się wokoło po całym, całym pokoju, pospiesznie chwytam na drogę - gorączkowo upycham w niewidzialnej walizce wszystko, co żał mi tu zostawić. Biurko. Książki. Fotel. W fotelu siedziała wtedy I - a ja na dole, na ziemi... Łóżko...

Potem chwilę jedną, drugą - idiotycznie czekam na jakiś cud, może - zadzwoni telefon, może ona powie, żeby...

Nie. Nie ma cudu...

Odchodzę - w nieznanne. To moje ostatnie słowa. Żegnajcie - nieznani, ukochani, z

którymi przeżyłem tyle stronic, którym ja, chory na duszę - ukazałem siebie bez reszty, do ostatniej śrubki startej na proch, do ostatniej pękniętej sprężynki... Odchodzę.

Notatka 34

Konspekt:

WYZWOLEŃCY

SŁONECZNA NOC

RADIO-WALKIRIA

O, gdybym rzeczywiście roztrzaskał w drobny mak i siebie, i innych, gdybym rzeczywiście - razem z nią - znalazł się gdzieś za Murem, między bestiami szczerzącymi żółte kły, gdybym rzeczywiście już nigdy tu nie wrócił. Byłoby tysiąc – milion razy łatwiej. A teraz - co? Pójść i udusić tę - - Ale czy to co pomoże?

Nie, nie nie Δ-503, weź się w garść! Skonstruuj sobie mocną oś logiczną - ze wszystkich sił napieraj na dźwignię, choćby niedługo miało być tego napierania - i jak starożytny niewolnik obracaj żarna sylogizmów - aż zanotujesz, aż przemyślisz wszystko, co zaszło...

Kiedy wszedłem na pokład *Integralu* - wszyscy już byli w komplecie, wszyscy na stanowiskach, wszystkie plastry gigantycznego szklanego ula były już pełne. Przez szkło pokładów - mikroskopijni, mrówczy ludzie w dole - przy telegrafach, przy dynamo, transformatorach, wysokościomierzach, zaworach, wskazówkach, silnikach, pompach, dyszach. W messie - jacyś tacy z tablicami i instrumentami - pewnie delegowani przez Urząd Nauki. Przy nich - Drugi Konstruktor z dwoma swoimi asystentami.

Wszyscy trzej z głowami żółwim sposobem wciągniętymi w ramiona, twarze - szare, jesienne, bez jednego promyka.

- No, jak? - zapytałem.

- Jakoś... Trochę strasznie... - szaro, bez promyka, uśmiechnął się jeden. - Może trzeba będzie lądować nie wiadomo gdzie. I w ogóle - nie wiadomo...

Nie mogłem ścierpieć ich widoku - widoku tych, których własnoręcznie za godzinę wytrącę spośród zacisznych cyfr Dekalogu Godzinowego, na zawsze oderwę od matczynej piersi Państwa Jedyne. Przypominali mi tragiczne postaci „Trzech Wyzwoleńców” - których dzieje zna u nas każdy uczeń. Jest to historia trzech numerów, których gwoli eksperymentu na miesiąc zwolniono z pracy: rób, co ci się podoba, idź, gdzie ci się podoba*. Nieszczęśnicy błąkali się w pobliżu miejsca zwykłej pracy i wygłodniałymi oczami zagłądali

* Działo się to dawno, w III wieku po Dekalogu.

do środka; zatrzymywali się na ulicach - i całymi godzinami wykonywali te właśnie ruchy, które o danej porze dnia stały się już potrzebą ich organizmu: piłowali i strugali powietrze, niewidzialnymi młotami podzwaniali, łomotali o niewidzialne kowadła. Wreszcie dziesiątego dnia już nie wytrzymali: ująwszy się za ręce weszli do wody i w takt Marsza pogrążyli się coraz głębiej, aż woda skróciła ich męczarnie...

Powtarzam: ciężko mi było na nich patrzeć, spieszyłem się do odejścia.

Sprawdzę tylko maszynownię - powiedziałem - a potem w drogę.

O coś mnie pytali - jaki woltaż przyjąć dla eksplozji startowej, ile trzeba balastu wodnego w zbiorniku rufowym. Miałem w sobie jakiś gramofon: odpowiadał na wszystkie pytania szybko i precyzyjnie, podczas gdy ja - bez ustanku - w środku, na swój temat.

I nagle w wąziutkim korytarzyku - coś trafiło do mnie, tam, do środka - i od tej chwili rzeczywiście się zaczęło.

W wąziutkim korytarzyku migają szare junify, szare twarze, a między nimi przez sekundę jedna: nisko nasunięte włosy, oczy spode łba - ten sam. Zrozumiałem: są tutaj, nigdzie przed tym wszystkim nie uniknę, zostały tylko minuty - parędziesiąt minut... Niedostrzegalne, molekularne drzenie w całym ciele (trwało już potem do samego końca) - jakby włączono olbrzymi silnik, a gmach mojego ciała był za lekki: wszystkie ściany, przegródki, kable, dźwigary, światła - wszystko drżało...

Nie wiem jeszcze: czy ona jest tutaj. Ale teraz nie ma już czasu - przysłano po mnie, żeby prędzej na górę, do sterowni: pora w drogę... Dokąd?

Twarze szare, bez jednego promyka. W dole, na wodzie, napięte niebieskie żyły. Ciężkie, żeliwne płyty nieba. I tak żeliwnie ciężko unieść rękę, ująć słuchawkę telefonu dowódcy.

- Cała w górę - 45°!

Głucha eksplozja - szarpnięcie - wściekła biało-zielona góra wody w rufie - pokład ucieka spod nóg - miękki, gumowy - i wszystko w dole, całe życie, na zawsze... Przez sekundę - coraz głębiej spadając w jakiś lej, wszystko zaciskało się wokół mnie - plastyczny niebieskolodowy plan miasta, krągłe bąbelki kopuł, samotny ołowiany palec wieży akumulacyjnej. Potem - przelotna watowana kurtyna chmur - przez nią - i słońce, niebieskie niebo. Sekundy, minuty, mile - niebieskość szybko krzepnie, nasiąka ciemnością, kroplami zimnego srebrnego potu perlą się gwiazdy...

I oto - straszna, nieznośnie jaskrawa, czarna, gwiazdzista, słoneczna noc. Jakby naraz człowiek ogłuchł: widzi jeszcze, że ryczą trąby, ale tylko widzi: trąby nieme, cisza. Takie było - nieme - słońce.

To było naturalne, tego należało oczekiwać. Wyszliśmy poza atmosferę ziemską. Ale to wszystko tak szybko, raz dwa - że wszyscy dokoła osłupieli, umilkli. A mnie - mnie nawet ulżyło pod tym fantastycznym niemym słońcem: jakbym, w ostatnim skurczu, stanął już za niewidzialnym progiem - moje ciało gdzieś tam w dole, a ja mknę przez nowy świat, w którym wszystko musi być właśnie niepodobne do niczego, przeniecowane...

- Tak trzymać - krzyknąłem do maszynowni - raczej nie ja, ale ów gramofon we mnie - po czym gramofon mechaniczną, podwieszoną na zawiasach ręką podsunął słuchawkę Drugiemu Konstruktorowi. A ja, od stół do głów obleczony w niewidzialne molekularne drzenie - pobiegłem na dół szukać...

Drzwi do mesy - to te: za godzinę szczękną, zamkną się... przy drzwiach - jakiś nieznajomy, niski, z setną, tysięczną twarzą, która gubi się w tłumie, i tylko ręce niezwykle długie, do kolan, jakby przez pomyłkę, na łapu-capu wzięte z innego zestawu ludzkiego.

Długa ręka wyciągnęła się, zagroziła:

- Dokąd?

Jasne: nie wie, że wiem wszystko. Dobrze: może - tak trzeba. I z góry, umyślnie szorstko:

- Jestem Konstrukтором *Integralu*. Kieruję eksperymentem. Zrozumiano?

Ręka znikła.

Mesa. Nad instrumentami, mapami - głowy obciążone szarą szczecinią i głowy żółte, łyse, dojrzałe. Szybko wszystkich do kupy - jednym rzutem oka - i z powrotem, korytarzem po trapie, na dół, do maszynowni. Tam żar, i łoskot dysz rozpalonych od eksplozji, korbowody błyskające w desperackich pijanych hołubcach, wskazówki na cyferblatach - w nieustannym, ledwie dostrzegalnym drzeniu...

- Wreszcie - przy tachometrze - on, z czołem nisko nasuniętym nad notesem.

- Słuchajcie... (łoskot: trzeba krzyżeć wprost do ucha). - Ona tu jest? Gdzie?

W cieniu - spode łba - uśmiech.

- Ona? Tam. W radiokabinie...

I ja - tam. Tam - troje. Wszyscy w skrzydlatych hełmofonach. I ona - jakby o głowę wyższa niż zwykle, uskrzydłona, migotliwa, lotna - jak starożytna walkiria, i jakby ogromne, fioletowe iskry w górze, na radioigle - to od niej, i od niej tutaj - lekki, błyskawicowy zapach ozonu.

- Ktoś... No, choćby - wy... zwróciłem się do niej łapiąc oddech (po biegu). - Muszę przekazać na dół, na ziemię, na pochylnię... Chodźmy, podyktuję...

Przy radiokabinie - mała klitka. Przy stole, obok. Znalazłem, mocno ścisnąłem jej

rękę:

- No, jak? Jak będzie?

- Nie wiem. Rozumiesz, jakie to cudowne: nie wiedząc - lecieć - wszystko jedno gdzie... Tylko patrzeć - 12 - i nie wiadomo co. I noc... gdzie my dwoje będziemy nocą? Może na trawie, na suchych liściach...

To od niej - fioletowe iskry i zapach ozonu, i drżenie we mnie - jeszcze szybsze.

- Zanotujcie - mówię głośno i ciągle jeszcze łapiąc oddech (po biegu). - Czas 11.30, prędkość: 6800...

Ona - spod skrzydlatego hełmu, nie odrywając oczu od papieru, cicho:

- ... Wczoraj wieczorem przyszła do mnie z twoją kartką... Wiem - wszystko wiem: milcz. Ale przecież dziecko - twoje? Wysłałam ją - jest już tam, za Murem. Będzie żyła...

Znowu na mostku. Znowu - noc jak w malignie, z czarnym rozgwieżdżonym niebem i oślepiającym słońcem; wskazówka powoli od minuty do minuty kuśtykająca po ściennym zegarze; wszystko jak za mgłą - obleczone w lotne, ledwie dostrzegalne (tylko dla mnie) drżenie.

Nie wiem czemu wydało mi się: lepiej, żeby to wszystko stało się nie tutaj, ale gdzieś w dole, bliżej ziemi.

- Stop - krzyknąłem do maszynowni.

Ciągle jeszcze naprzód - prawem bezwładności - ale wolniej, wolniej. O, teraz *Integral* zaczepił o jakiś włoszek, na mgnienie zawisł nieruchomo, potem włoszek pękł - i *Integral* jak kamień w dół - coraz szybciej. Tak w milczeniu, minuty, dziesiątki minut - słyhać puls - wskazówka przed oczami coraz bliżej 12. Jasne: ja to kamień, I - ziemia, a ja - rzucony przez kogoś kamień - i kamień koniecznie musi spaść, dopaść ziemi, żeby w drobny mak... A co, jeżeli... - w dole już twardy, granatowy dym chmur... a co, jeżeli...

Ale gramofon we mnie - precyzyjnie, ujął słuchawkę, zakomenderował: „Mała naprzód” - kamień przestał spadać. Ze zmęczeniem prychają tylko cztery najniższe odrośle - dwie rufowe i dwie dziobowe - tyle, żeby sparaliżować ciężar *Integralu*; *Integral* zaś, drżąc lekko jak na kotwicy - stanął w powietrzu, mniej więcej kilometr nad ziemią.

Wszyscy wylegli na pokład (zaraz 12, dzwonek na obiad) i wychyleni przez szklane nadburcie pospiesznie, haustami chłonęli nieznany świat zza Muru - tam, w dole. Bursztynowość, zieloność, niebieskość: las jesienią, łąki, jeziora. Na brzeżku niebieskiego spodka - jakieś żółte, kościane ruiny, grozi żółty, wyschnięty palec - pewnie cudem ocalała wieża starożytnej świątyni.

- Patrzcie, patrzcie! Tam - na prawo!

Tam - przez zielone pustkowia - jakaś plama szybko przesuująca się brązowym cieniem. Lornetka w ręce, machinalnie podniosłem ją do oczu: w trawie do piersi, z rozwianymi ogonami pędził tabun brązowych koni, a na ich grzbietach - tamci skarogniadzi, biali, wroni...

Za mną:

- A ja wam mówię: widziałem - twarz.

- Co też wy! Nie do mnie z tymi bajkami!

- No, proszę, proszę lornetkę...

Ale już znikli. Bezkresne zielone pustkowia.

I w pustkowiu - wypełniając je całe, i mnie, i nas wszystkich - przejmujące drżenie dzwonek: obiad, za minutę - 12.

Świat - roztrzaskany na przelotne, chaotyczne odłamki. Na stopniach - czyjaś dźwięczna złota blaszka - to już dla mnie obojętne: zachręściła mi pod obcasem. Głos: „A ja powiadam - twarz!”. Ciemny kwadrat: otwarte drzwi mesy. Zaciśnięte białe, ostro uśmiechnięte zęby. i.

I właśnie wtedy, kiedy, nieskończenie powoli, wstrzymując oddech między uderzeniami zaczął bić zegar, a przednie rzędy już ruszyły - kwadrat drzwi nagle na krzyż przekreślony dwiema znajomymi, nienaturalnie długimi rękami:

- Stać!

Palce wpiły mi się w dłoń - to I, to ona obok:

- Kto to? Znasz go?

- A czy... czy to nie...

On - na ramionach. Nad setką twarzy - jego twarz setna, tysięczna i jedyna wśród wszystkich.

- W imieniu Urzędu Opieki... Mówię wam - ci, do których mówię, słyszą mnie dobrze, każdy z nich mnie usłyszy - mówię wam: wiemy. Nie znamy jeszcze waszych numerów - ale o wszystkim wiemy. *Integral* nie będzie wasz! Eksperyment zostanie przeprowadzony do końca, i to wy - nie ważcie się teraz ruszyć - wy sami, własnymi rękami tego dokonacie. A potem... A Zresztą skończyłem...

Milczenie. Szklane płyty pod nogami - miękkie, watowane, nogi pode mną też miękkie, jak z waty. Obok jej - całkiem biały uśmiech, fioletowe iskry. - Przez zęby do mnie w ucho:

- Ach, więc to wy? „Spełniliście obowiązek”? No, cóż...

Ręka - wyrwała się z mojej, gniewnie skrzydlaty hełm walkirii - gdzieś daleko z

przodu. Ja - samotnie, skamieniałe, w milczeniu, jak wszyscy wchodzę do messy...

- „Ale przecież to nie ja - nie ja! Przecież ja o tym z nikim, nikomu prócz tych białych, niemych stronic...”

W duchu - niedosłyszalnie, rozpaczliwie, głośno - krzychałem to do niej. Siedziała naprzeciwko, przez stół - i ani razu nawet nie musnęła mnie wzrokiem. Przy niej - czyjaś dojrzała żółta łysina. Słyszę (to I).

- „Szlachetność”? Ależ, najmilszy profesorze, przecież nawet zwykła analiza filologiczna tego wyrazu - dowodzi, że to zabobon, przeżytek starożytnych feudalnych epok. A my...

Czułem: blednę - i zaraz wszyscy to dostrzegą... Ale gramofon we mnie wykonywał 50 przepisowych ruchów przeżuwania na każdy kąsek, zabarykadowałem się w sobie jak w starożytnym domu - zawałem drzwi kamieniami, zasłoniłem okna...

Potem - w mojej ręce słuchawka dowódcy i lot - w lodowatej ostentacyjnej rozpacz - przez chmury - w lodowatą, gwiazdno-słoneczną noc. Minuty, godziny. I najwidoczniej przez cały czas we mnie gorączkowo, na pełnym biegu - dla mnie samego niedosłyszalny motor logiczny. Bo naraz w jakimś punkcie niebieskiej przestrzeni: moje biurko, nad nim - skrzelowate policzki IO, zapomniany arkusik moich notatek. I jasne: nikt, tylko ona - wszystko dla mnie jasne...

Ach, żeby tylko - żeby tylko do radia... Skrzydlate hełmy, zapach fioletowych błyskawic... Pamiętam - coś jej głośno mówiłem, i pamiętam - ona patrząca przeze mnie, jakbym był ze szkła - z daleka:

- Jestem zajęta: odbieram z ziemi. Podyktujcie choćby tej... W mikroskopijnej klitce, po chwili zastanowienia, podyktowałem twardo:

- Czas - 14.40. W dół! Zatrzymać silniki. Koniec.

Słuchawka. Mechaniczne serce *Integralu* zatrzymało się, spadamy, a moje serce - nie nadąża ze spadaniem, pozostaje w tyle, podnosi się do gardła. Chmury - a potem w dali zielona plama - coraz zieleńsza, coraz wyraźniejsza - pędzi na nas jak burza - zaraz koniec - -

Fajansowe biała, zniekształcona twarz Drugiego Konstruktor. Prawdopodobnie pchnął mnie z całej siły, uderzyłem o coś głową i już padając - jak przez mgłę niewyraźnie usłyszałem:

- Rufowe - cała naprzód!

Gwałtowny skok do przodu... Potem *nic* nie pamiętam.

Notatka 35

Konspekt:

W OBREŃCZY

MARCHEWKA

MORDERSTWO

Całą noc nie spałem. Całą noc - o jednym...

Głowa po tym, co wczoraj, szczelnie zabandażowana. Jakby to nie bandaż, ale obręcz; bezlitosna, ze szklanej stali, obręcz wbita na moją głowę, a ja sam - ciągle w tym samym zakutym kręgu: zabić IO. Zabić IO - a potem pójść do tamtej i powiedzieć: „Teraz - wierzysz?”. Najohydniejsze, że zabić jakoś tak brudno, starożytnie, zgruchotać czymś głowę - przez to właśnie dziwne odczucie czegoś wstrętnie słodkiego w ustach i nie mogę przełknąć śliny, cały czas odpluwam ją w chusteczkę, w ustach sucho.

W mojej szafie leżał pęknięty podczas odlewania trzpień tłoka (miałem zbadać strukturę pęknięcia pod mikroskopem). Zwinąłem moje notatki w papierowy rulon (niech odczyta mnie całego - do ostatniej litery), wsunąłem do środka ułamek trzpienia i zszedłem na dół. Schody - bez końca, stopnie - jakieś ohydnie śliskie, tłuste, cały czas wycierać usta chusteczką...

Na dole. Serce rąbnęło. Zatrzymałem się, wyciągnąłem trzpień - do stolika kontrolerki...

Ale IO tam nie było: pusta, lodowata deska. Przypomniałem sobie: dzisiaj - wszystkie prace odwołane; wszyscy muszą na operację, zrozumieli: ona nie ma po co, nie ma kogo zapisywać...

Na ulicy. Wiatr. Niebo z pędzących żeliwnych płyt. I tak jak w którymś momencie wczoraj: cały świat roztrzaskany na poszczególne ostre, samodzielne kawałki, a każdy z nich, spadając na łeb, na szyję, przez sekundę zatrzymywał się, zawisał nade mną w powietrzu - i wyparowywał.

Jakby czarne, precyzyjne litery na tej stronie - nagle drgnęły, w pośpiechu rozbiegły się we wszystkich kierunkach - i ani jednego słowa, tylko bełkot: płoch-bieg-jeg - Na ulicy - tłum tak samo rozsypany, nie w rzędach - wprost, wstecz, na ukos, w poprzek.

I już nikogo. I na sekundę, to coś pędzące na łeb, na szyję - zastygło: tam, na piętrze,

w szklanej klatce zawieszanej w powietrzu - mężczyzna i kobieta - w pocałunku, stojąc - ona całym ciałem przełamana w tył. To - na wieki, po raz ostatni...

Na którymś rogu - poruszający się kolczasty krzak głów. Nad głowami - oddzielnie, na wietrze - sztandar, słowa: „Precz z Maszynami! Precz z Operacją!” I oddzielnie (ode mnie) - ja, w sekundzie myśli: „Czyżby w każdym taki ból, który można wydrzeć ze środka - tylko razem z sercem, i każdy musi coś zrobić, zanim?”. I przez sekundę na świecie nic prócz (mojej) zwierzęcej ręki z żeliwnie ciężkim trzpieniem.

Teraz - chłopiec: cały - naprzód, pod dolną wargą - cień. Dolna warga - wywrócona jak mankiet podwiniętego rękawa - cała twarz wywrócona - chłopiec beczy - i przed kimś, ile sił w nogach - za nim tupot...

Od chłopca: „Tak, IO - powinna być teraz w szkole, trzeba jak najprędzej”. Pobiegłem do najbliższej stacji podziemnej kolei.

W drzwiach ktoś w biegu:

- Nie chodzą! Pociągi dzisiaj nie chodzą! Tam -

Zszedłem. Tam - istna maligna. Blask szlifowanych, kryształowych słońc. Peron szczelnie wybrukowany głowami. Pusty, zastygły pociąg.

I w ciszy - głos. Jej - nie widać, ale wiem, znam ten głos, giętki, elastyczny jak pejcz, smagający - i gdzieś tam zadarty ku skroniom ostry trójkąt brwi... Krzyknąłem:

- Puście! Przepuście mnie tam! Muszę -

Ale czyjeś kleszcze - za ręce, za ramiona, gwoździami. I w ciszy - głos:

- ... Tak: uciekajcie na górę! Tam was - wyleczą, tam was do mdłości nakarmią jadalnym szczęściem, aż w sytości będziecie spokojnie drzemać, pochrapując w sposób zorganizowany, do taktu - słyszycie tę wielką symfonię chrapania? Śmieszni jesteście: chcą was uwolnić od znaków zapytania, które wiją się jak robaki, gryzą i dręczą jak robaki. A wy stoicie i słuchacie mnie. Prędzej - na górę - na Wielką Operacją! Co wam do tego, że ja tu zostanę sama? Co wam do tego - skoro nie chcę, żeby za mnie chcieli inni, ale chcę chcieć sama - skoro chcę niemożliwości...

Inny głos - powolny, ciężki:

- Aha! Niemożliwości! To znaczy, że mamy gonić w kółko nasze kretyńskie fantazje, a one będą nam przed nosem wymachiwać ogonem? Nie - my za ogon, pod siebie, a potem...

- A potem - podjecie sobie, zaczniecie chrapać - i już przed nosem trzeba nowego ogona. Podobno starożytni mieli takie zwierzę: osła. Żeby szedł naprzód, naprzód - przed pyskiem, u dyszla, przywiązywali mu marchew tak, żeby nie mógł złapać. A jak złapał, podjadł sobie...

Nagle kleszcze puściły, rzuciłem się w sam środek, skąd mówiła - i w tejże chwili wszystko runęło, ścisnęło - z tyłu krzyk: „Tutaj, tutaj idą!”. Światło zadrzało, zgasło - ktoś przerwał obwód - i lawina, krzyki, rżenie, głowy, palce...

Nie wiem, ile czasu toczyliśmy się tak podziemną rurą. Wreszcie: stopnie - półmrok - coraz jaśniej - i znów na ulicy jak wachlarz, w różne strony...

I wreszcie - sam. Wiatr, szary, niski - nad samą głową - zmierzch. W mokrej tafli trotuaru - bardzo głęboko - odwrócone światła, mury, postaci poruszające się do góry nogami. I niewiarygodnie ciężki rulon w ręce - ciągnie mnie w głąb, na dno.

Na dole, przy stoliku, IO w dalszym ciągu nie było, jej pokój też - pusty, ciemny.

Wszedłem do siebie, zapaliłem światło. Łomot w skroniach, mocno ściśniętych obręczą, chodziłem - zamknięty ciągle w tym samym kręgu: biurko, na biurku biały rulon, łóżko, drzwi, biurko, biały rulon... W pokoju po lewej spuszczone zasłony. Po prawej: nad książką guzowata łysina, a czoło - olbrzymia żółta parabola. Zmarszczki na czole - ciąg żółtych nieczytelnych linijek. Czasem spotykają się nasze oczy - a wtedy czuję: te żółte linijki - o mnie.

... Stało się punkt o 21. Przyszła IO - sama. Wyraźnie utrwaliło się w pamięci tylko jedno: oddychałem tak głośno, że słyszałem, jak oddycham, cały czas chciałem jakoś ciszej - i nie mogłem.

Siadła, wygładziła junifę na kolanach. Falowały różowobrazowe skrzek.

- Ach, mój drogi, więc to prawda, że jesteście ranni? Jak się tylko dowiedziałam - natychmiast...

Trzpień przede mną na biurku. Zerwałem się oddychając jeszcze głośniej. Usłyszała, urwała w pół słowa, też - nie wiedzieć czemu - podniosła się. Widziałem już to miejsce na głowie, w ustach wstrętne słodycz... chusteczka, ale nie ma chusteczki - splunąłem na podłogę.

Tamten - za ścianą po prawej - żółte uważne zmarszczki - o mnie. Nie może wiedzieć, jeszcze ohydniej - jeżeli będzie patrzył. Nacisnąłem guzik - to co, że nie mam prawa, czy to teraz nie wszystko jedno - zasłony opadły.

Widać przeczuła, zrozumiała, rzuciła się do drzwi. Ale uprzedziłem ją - i dysząc głośno, ani na sekundę nie spuszczać z oka tego miejsca na głowie...

Wy... zwariowaliście! Nie ważcie się... - cofnęła się - usiadła, raczej opadła na łóżko - drżąc wsunęła między kolana ręce złożone dłońmi ku sobie. Jak na sprężynach mocno trzymając ją oczami na uwięzi, powoli sięgnąłem ręką na biurko - poruszyła się tylko ręka - złapałem trzpień.

- Błagam! Dzień - tylko jeden dzień! Jutro - zaraz – jutro - pójdę i wszystko załatwię...

O czym ona?... Zamachnąłem się - -

I uważam: zabiłem ją. Tak, moi nieznani czytelnicy, macie prawo nazwać mnie mordercą. Wiem, że uderzylibym ją trzpieniem w głowę, gdyby nie krzyknęła.

- Proszę... proszę... Zgadzą się - ja... zaraz.

Trzęsącymi się rękami zdarła z siebie junifę - obfite, żółte, obwisłe ciało opadło na łóżko... Dopiero teraz pojąłem: myślała, że ja zasłony - po to, żeby - że chcę...

To było tak niespodziewane, tak idiotyczne, że wybuchnąłem śmiechem. I natychmiast mocno nakręcona we mnie sprężyna - trzasnęła, ręka osłabła, trzpień grzmotnął o podłogę. Na własnym przykładzie przekonałem się, że śmiech to najstraszniejsza broń: śmiechem można zabić wszystko - nawet samo zabójstwo.

Siedziałem przy biurku i śmiałem się - rozpaczliwym, przedśmiertnym śmiechem - i nie widziałem żadnego wyjścia z tej idiotycznej sytuacji. Nie wiem, czym by się to wszystko skończyło, gdyby szło dalej swoim torem - w tym jednak momencie nowy zewnętrzny czynnik: zadzwonił telefon.

Podskoczyłem, ścisnąłem w ręce słuchawkę: może ona? a w słuchawce czyjś nieznajomy głos:

- Chwilę.

Dręczące, nie kończące się brzęczenie. Z daleka - ciężkie kroki, coraz bliżej, coraz donośniej, coraz żeliwniej - i wreszcie:

- Δ-503 Mhm... Mówi Dobroczyńca. Bezzwłocznie do mnie!

Dzyń - słuchawka odwieszona - dzyń.

IO ciągle jeszcze leżała na łóżku, oczy zamknięte, skrzela szeroko rozsunięte w uśmiechu. Zgarnąłem z podłogi jej ubranie, rzuciłem na nią - przez zęby:

- No! Prędeż, prędeż!

Uniosła się na łokciu, piersi rozlały się na boki, oczy okrągłe, zrobiła się woskowa.

- Jak to?

- Tak to. No - ubierajcie się!

Cała - zwinęła się, wczepiona w ubranie, głos spłaszczony:

- Odwróćcie się...

Odwróciłem się, oparłem czoło o szybę. W czarnej, mokrej tafli drżały światła, postaci, iskry. Tak: to ja, to we mnie... Po co On mnie? Czy wie już o niej, o mnie, o wszystkim?

IO, już ubrana, przy drzwiach. Dwa kroki do niej - ścisnąłem jej ręce tak, jakbym

właśnie z jej rąk miał zaraz wycisnąć to, czego mi potrzeba:

- Słuchajcie... jej numer - wiecie, o kim - czy wymienialiście ją? Nie? Tylko prawdę - muszę o tym... jestem gotów na wszystko - tylko prawdę...

- Nie.

- Nie? Ale dlaczegoż to - skoro już poszliście tam, zawiadomili...

Jej dolna warga - nagle na nice, jak u tamtego chłopca - a z policzków, po policzkach krople...

- Bo ja... ja się bałam, że jak ja... że za to wy możecie... wy przestaniecie to... O, nie mogę - ja bym nie mogła!

Zrozumiałem: to - prawda. Idiotyczna, śmieszna, ludzka prawda! Otworzyłem drzwi.

Notatka 36

Konspekt:

PUSTE STRONICE

CHRZEŚCIJAŃSKI BÓG

O MOJEJ MATCE

Coś dziwnego - jakbym miał w głowie pustą, białą stronicę: jak tu szedłem, jak czekałem (wiem, że czekałem) - nic nie pamiętam, ani jednego dźwięku, ani jednej twarzy, ani jednego gestu. Jakby przerwano obwód łączący mnie ze światem.

Ocknąłem się - już stojąc przed Nim, strach mi podnieść oczy: widzę tylko Jego ogromne żeliwne ręce - na kolanach. Te ręce przytłaczały Go samego, kolana się pod nimi uginały. Z wolna poruszał palcami. Twarz - gdzieś we mgle, w górze, jakby tylko dlatego, że Jego głos dochodził mniej z takiej wysokości - nie grzmiał gromem, nie ogłuszał mnie, ale mimo wszystko przypominał zwykły ludzki głos.

- A więc - i wy? Wy - Konstruktor *Integralu*? Wy, którzyście mieli stać się wielkim konkwistadorem? Wy - którego imię miało otwierać nowy wspaniały rozdział dziejów Państwa Jedynego?... Wy?

Krew chlusnęła mi do głowy, do policzków - znów biała stronica: tylko w skroniach - puls, a w górze donośny głos, ale żadnego słowa. Dopiero gdy umilkł, ocknąłem się, zobaczyłem: ręka uniosła się stutonowo - popęzła z wolna - palec wymierzył we mnie.

- Więc? Dlaczego milczycie? Tak czy nie? Oprawca?

- Tak - wykrztusiłem pokornie. A potem już wyraźnie słyszałem każde jego słowo.

- Cóż więc? Sądzicie, że boję się tego wyrazu? A czy spróbowaliście kiedy zedrzeć z niego skorupę i popatrzeć, co tam tkwi w środku? Zaraz wam pokażę. Przypomnijcie sobie: mroczne wzgórze, krzyż, tłum. Jedni - w górze, zalani krwią, przybijają ciało do krzyża; inni - w dole, zalani łzami, patrzą. Czy nie wydaje się wam, że rola tamtych na górze jest najtrudniejsza, najważniejsza? Gdyby ich nie było, jak zainscenizowano by tę majestatyczną tragedię? Ciemny motłoch ich wygwizdał: ale za to przecież autor tragedii - Bóg - powinien ich jeszcze szczerzej wynagrodzić. A sam chrześcijański, arcymiłosierny Bóg, który pomału w ogniu piekielnym spala wszystkich nieposłusznych - czyż nie jest oprawcą? Czy może tych, których chrześcijanie spalili na stosie, było mniej niż spalonych chrześcijan? A przecież -

zrozumiecie, przeciez tego wlasnie Boga wyslawiano przez wieki jako Boga miłości. Absurd? Nie, przeciwnie: krwią wypisany patent na niezniszczalny rozsadek człowieka. Nawet wtedy - dziki, wlochaty - rozumiał: prawdziwa, algebraiczna miłość ludzkości - jest nieodzownie nieludzka, a nieodzowną cechą prawdy - jest jej okrucieństwo. Jak nieodzowną cechą ognia jest to, że spala. Możecie mi pokazać ogień, który nie pali? No, przekonujcie mnie, spierajcie się!

Jakże się miałem spierać? Jakże mogłem się spierać, skoro były to (dawniej) moje własne myśli - tyle, że nigdy nie umiałem oblec ich w taką kutą, błyszczącą zbroję. Milczałem....

- Jeżeli to ma znaczyć, że się ze mną zgadzacie - pomówmy jak dorośli, kiedy już położą dzieci spać: o wszystkim bez obsłonek. Pytam: o co ludzie - od powijaków - modlili się, męczyli? Żeby ktoś raz na zawsze wytłumaczył im, co to jest szczęście - a potem przykuł ich do tego szczęścia łańcuchem. Cóż innego teraz robimy - czy nie to? Starożytne marzenie o raju... Przypomnijcie sobie: w raju nie wie się, co to pragnienie, litość, miłość, tam - sami święci w wiecznej szczęśliwości, z zoperowaną wyobraźnią (tylko dlatego szczęśliwość) - anieli, słudzy Boga... I właśnie w momencie, kiedy doścignęliśmy to marzenie, kiedy schwyciliśmy je, o, tak (Jego ręka zacisnęła się: gdyby trzymał w niej kamień, z kamienia trysnąłby sok), kiedy pozostało tylko oprawić zdobycz i każdemu wydzielić kasek - w tym właśnie momencie wy - wy...

Żeliwny huk urwał się znenacka. Ja - czerwony jak sztaba stalowa na kowadle pod walącym młotem. Młot zawisł w milczeniu, a czekać - to jeszcze... strasz...

Naraz:

- Ile macie lat?

- Trzydzieści dwa.

- A naiwności dokładnie w dwójnasób - jak szesnastolatek! Słuchajcie: czy rzeczywiście nigdy nie przyszło wam do głowy, że przecież im - nie znamy jeszcze ich imion, ale jestem przekonany, że dowiemy się od was - że im zależało na was wyłącznie jako na Konstruktorze *Integralu* - tylko dlatego, żeby za waszym pośrednictwem...

- Nie trzeba! Nie trzeba - krzyknąłem.

... To tak samo, jakby zasłonić się rękami i krzyknąć tak do kuli: jeszcze słyszycie swoje śmieszne „nie trzeba”, a tu kula - już przepaliła na wylot, już skręcacie się na ziemi.

Tak, tak: Konstruktor *Integralu*... Tak, tak... i zaraz: rozjuszona, z dygocącymi, ceglastoczerwonymi skrzelami twarz - tamtego ranka, kiedy obie razem były w moim pokoju...

Pamiętam bardzo wyraźnie: roześmiałem się - podniosłem oczy. Siedział przede mną człowiek łysy, po sokratejsku łysy, na łysinie - kropelki potu.

Jakie to wszystko proste. Jakie wzniosie banalne i śmiesznie proste.

Śmiech mnie dusił, buchał we mnie kłębami. Zatkaną usta dłonią i na łeb, na szyję wypadłem za drzwi.

Stopnie, wiatr, mokre, podskakujące odłamki światła, twarzy, a w biegu: „Tak! Zobaczyć ją! Zobaczyć ją tylko jeszcze jeden raz!”

Tutaj - znowu pusta, biała stronica. Pamiętam tylko: nogi. Nie ludzie, ale właśnie - nogi: tupoczące nieharmonijnie, skądś z góry spadające na jezdnię setki nóg, ciężki deszcz nóg. I jakaś wesola, zadzierzysta pieśń, i krzyk - chyba do mnie: „Ej! Tutaj, do nas!”.

Potem - bezludny plac, po brzegi nabity zwalistym wiatrem. Pośrodku - matowy, ciężki, groźny ogrom: Maszyna Dobroczyńcy. I jej - jakby niespodziewane echo we mnie: jaskrawobiała poduszka; na poduszce - odrzucona do tyłu głowa z półprzymkniętymi oczami; ostre, słodkie pasemko zębów... I wszystko to w jakiś idiotyczny, straszny sposób związane z Maszyną - wiem jak, ale jeszcze nie chcę wiedzieć, wypowiedzieć na głos - nie chcę, nie trzeba.

Zamknąłem oczy, usiadłem na schodach prowadzących na górę, do Maszyny. Chyba padał deszcz: twarz miałem mokrą. Gdzieś daleko, głucho - krzyki. Ale nikt nie słyszy, nikt nie słyszy, jak ja krzyczę: ocalcie mnie przed tym - ocalcie!

Gdybym miał matkę - jak starożytni: swoją - właśnie swoją osobistą - matkę. I żeby dla niej - nie Konstruktor *Integralu* ani numer Δ-503, ani molekula Państwa Jedynego, ale zwykły okrawek człowieczeństwa - kawałek jej samej - zdeptany, stłamszony, wyrzucony... I czy to ja przybijam, czy to mnie przybijają gwoździemi - może to na jedno wychodzi - żeby usłyszała to, czego nikt nie słyszy, żeby jej starcze wargi zarośnięte zmarszczkami...

Notatka 37

Konspekt:

DROBNOUSTRÓJ

KONIEC ŚWIATA

JEJ POKÓJ

Rano w jadalni - sąsiad z lewej z lękiem szepnął do mnie:

- Ależ jedzcie! Patrzą na was!

Ja - ze wszystkich sił - uśmiech. I poczułem to - jak jakieś pęknięcie na twarzy; uśmiecham się - brzegi rozpadliny rozchodzą się coraz szerzej - a ja przez to coraz boleśniej...

Dalej tak: ledwie zdążyłem wziąć kostkę na widelec, widelec zadrżał i zadzwięczał o talerz - i zadrżały, zadzwoniły stoły, ściany, naczynia, powietrze, a na dworze - jakiś ogromny do nieba, krągły, żelazny huk - przez głowy, przez domy - zamarł daleko, ledwie dostrzegalnymi, drobnymi jak na wodzie kręgami.

Zobaczyłem twarze w jednej chwili spłowiałe, wyblakłe, usta zastopowane w pełnym biegu, widelce zastygłe w powietrzu.

Potem wszystko się pogmatwało, wypadło z odwiecznych szyn, wszyscy zerwali się z miejsc (nie odśpiewawszy hymnu) - byle jak, nie do taktu przełykając, dławiąc się, wczepiali się w siebie nawzajem: „Co? Co się stało? Co?”. I - chaotyczne odłamki harmonijnej niegdyś wielkiej Maszyny - wszystkie sypnęły się w dół, do wind - schodami - stopnie - tupot - urywki słów - jak strzępy listu podartego, porwanego przez wiatr...

Tak samo wysypywali się ze wszystkich sąsiednich domów, w jednej chwili aleja - jak kropla wody pod mikroskopem: drobnoustroje uwięzione w szklanoprzezroczystej kropli w popłochu miotają się w bok, w górę, w dół.

- Aha - jakiś triumfujący głos - przede mną tył głowy i palec wycelowany w niebo - bardzo wyraźnie pamiętam żółto-różowy paznokieć, a na końcu paznokcia - biały półksiężyc jakby wyłaniający się zza horyzontu. I to jak kompas: setki oczu, wzorem tego palca, obróciły się ku niebu.

Tam, szukając ocalenia przed jakąś niewidzialną pogonią, pędziły, deptały się, przeskakiwały przez siebie chmury - i barwie chmur czarne aero Opieki ze zwisającymi czarnymi trąbami peryskopów - i jeszcze dalej tam, na zachodzie, coś, co przypominało - -

Z początku nikt nie rozumiał, co to ma być - nie rozumiałem nawet ja, któremu (na nieszczęście) dane było wiedzieć więcej niż komukolwiek. Przypominało to ogromny rój czarnych aero; gdzieś na niewiarygodnej wysokości - ledwo dostrzegalne, szybkie punkciki. Coraz bliżej; z góry ochryple, gardłowe krople - wreszcie nad naszymi głowami ptaki. Ostre, czarne, przenikliwe, spadającymi trójkątami zapełniły niebo, burza strącała je w dół, siadały na kopułach, na dachach, na słupach, na balkonach.

- Aha-a - triumfujący tył głowy odwrócił się - zobaczyłem tamtego, spodełbnego. Teraz jednak z niego dawnego został sam tylko tytuł, cały jakoś wylazł z tego swojego wiecznego spodełba, na jego twarzy - wokół oczu, wokół ust - kępkami włosów rosły promienie, uśmiechał się.

- Rozumiecie - w świście wiatru, skrzydeł, w krakaniu - krzyknął do mnie. - Rozumiecie: Mur - Mur wysadzili! Ro-zu-mie-cie?

Mimochodem, gdzieś w tyle, migające sylwetki - głowy wciągnięte - uciekają co prędzej do środka, do domów, środkiem jezdni - szybka, a jednak jakby powolna (ze względu na ciężar) lawina operowanych, idących tam - na zachód.

... Włochate kępki promieni wokół ust, oczu. Złapałem go za rękę.

- Słuchajcie: gdzie ona jest? Gdzie I? Tam, za Murem - czy... Muszę - słyszycie? Natychmiast, nie mogę...

- Tutaj - krzyknął do mnie w upojeniu, wesoło - mocne, żółte zęby... - Tutaj w mieście, działa. Oho - my działamy!

Kto to - my? Kto to - ja?

Wokół niego - było z pół setki takich jak on - wypełzłych ze swoich ciemnych spodełbów, głośnych, wesołych, mocnożębnych. Łapiąc burzę otwartymi ustami, wymachując tak z pozoru posłusznymi, i niegroźnymi palikami elektrycznymi (skąd oni je wzięli?) - ruszyli w tę samą stronę, na zachód za zoperowanymi, ale okrężną drogą - równoległą aleją 48...

Potykając się o grube sznury ukręcone z wiatru biegłem do niej. Po co? Nie wiem. Potykałem się, puste ulice, obce, opętane miasto, nie milknący triumfalny ptasi wrzask, koniec świata. Przez szyby ścian - w kilku domach widziałem (utkwilo): numery żeńskie. i męskie spółkowały bezwstydnie - nawet nie opuściwszy zasłon, bez żadnych talonów, w biały dzień.

Dom - jej dom. Rozdziawione na oścież, skonfundowane drzwi. Na dole, przy stoliku kontroli - pusto. Winda zawisała w środku szybu. Tracąc oddech biegłem na górę schodami bez końca. Korytarz. Szybko - jak szprychy w kole - cyfry na drzwiach: 320, 326, 330... I-

330, tak!

I przez szklane drzwi: wszystko w pokoju porozrzucane, przemieszane, pogniecione. Krzesło przewrócone w pośpiechu - na grzbiecie, wszystkimi czterema nogami do góry - jak ścierwo podłego bydłęcia. Łóżko - jakoś tak idiotycznie, na ukos odsunięte od ściany. Na ziemi - opadłe, zdeptane płatki różowych talonów.

Schyliłem się, podniosłem jeden, drugi, trzeci: na wszystkich był Δ-503 - na wszystkich byłem ja - krople mnie samego, rozlanego, wychluniętego przez krawędź. I to wszystko, co zostało...

Nie wiem, czemu nie można ich było tak, na podłodze, żeby po nich deptano. Zebrałem jeszcze garść, położyłem na biurko, wygładziłem ostrożnie, spojrzałem - i... roześmiałem się.

Nie wiedziałem przedtem - teraz wiem i wy wiecie: śmiech może przybierać różne barwy. To tylko dalekie echa eksplozji wewnątrz was: może to fajerwerki świąteczne, czerwone, niebieskie, złote, a może - wyleciały w powietrze strzępy ludzkiego ciała...

Na talonach mignęło mi imię, którego nigdy w życiu nie słyszałem. Nie zapamiętałem cyfr - tylko literę: F. Straciłem wszystkie talony z biurka na ziemię, zdeptałem je - siebie - obcasem - o, tak, tak - wyszedłem...

Siedziałem na parapecie w korytarzu naprzeciwko drzwi - ciągle na coś czekałem, w otępieniu, długo. Z lewej strony człapiące kroki. Starzec: twarz - jak przekłuty pęcherz - pusta, w zwiotczałych fałdach - a z przekłucia jeszcze sączy się coś przezroczyściego, powoli ścieka w dół. Powoli, mgliście pojąłem: łyzy. I dopiero kiedy starzec był już daleko, połapałem się, zawołałem:

- Słuchajcie - słuchajcie-no - czy nie wiecie: numer I-330...

Starzec odwrócił się, z rozpaczą machnął ręką i pokuśtykał dalej...

O zmroku wróciłem do siebie, do domu. Na zachodzie niebo z każdą sekundą coraz bardziej tężało w bladoniebieskiej konwulsji - stamtąd głuchy, stłamszony huk. Dachy obsypane czarnymi, zagasłymi węgielkami: ptaki.

Położyłem się na łóżku - i zaraz jak dzika bestia zwałił się, przydusił mnie sen...

Notatka 38

Konspekt:

(NIE WIEM, JAKI. MOŻE ZAMIAST CAŁEGO KONSPEKTU - TO JEDNO: RZUCONY PAPIEROS)

Ocknąłem się - jaskrawe światło, boli patrzeć. Zacisnąłem powieki. W głowie - jakiś niebieski, gryzący dymek, wszystko za mgłą. I spoza mgły:

„Ale przecież nie zapalałem światła - jak to...”

Zerwałem się - zza biurka, podparłszy ręką podbródek, z uśmiechem przyglądała mi się I...

Piszę teraz przy tym samym biurku. To już za mną - te dziesięć-piętnaście minut okrutnie skręconych w najściślejszą sprężynę. A we mnie wrażenie, że dopiero co drzwi zamknęły się za nią, jeszcze można ją dopędzić, złapać za rękę, może roześmieje się, powie...

I siedziała przy biurku. Podbiegłem do niej.

- Ty, ty! Byłem - widziałem twój pokój - myślałem, że ty - -

Ale w pół drogi natknąłem się na ostre nieruchome włócznie rzes, zatrzymałem się. Przypomniałem sobie: tak samo spojrzała na mnie wtedy, na *Integralu*. Trzeba wszystko zaraz, w tej sekundzie, wszystko jej powiedzieć - tak, żeby uwierzyła - bo już nigdy...

- Słuchaj, I - muszę... Muszę ci wszystko... Nie, nie, zaraz - tylko napiję się wody...

W ustach - sucho, wszystko jakby oklejone bibułą. Nalewałem wodę - nie mogę: postawiłem szklankę na stole i mocno oburącz złapałem karafkę.

Teraz zauważyłem: niebieski dymek - to od papierosa. - Podniosła do warg, wciągnęła, chciwie połknęła dym - tak jak ja wodę, powiedziała:

- Nie trzeba. Milcz. Wszystko jedno - widzisz: mimo wszystko przyszłam. Tam, na dole - czekają na mnie. A ty chcesz, żeby te nasze ostatnie chwile...

Rzuciła papierosa na podłogę, całym ciałem przechyliła się w tył ponad oparciem fotela (tam guzik na ścianie, trudno go dosięgnąć) - zapamiętałem, jak zakołysał się fotel, uniósł dwie nóżki nad ziemią. Potem opadły zasłony.

Podeszła, objęła mocno. Jej kolana przez sekundę - trucizna powolna, delikatna, ciepła, powlekająca sobą wszystko...

I nagle... Tak się zdarza: już człowiek zapadnie w słodki, ciepły sen - nagle coś go zakłuje, wzdrygnięcie i znowu oczy szeroko otwarte... Tak też teraz: na podłodze w jej pokoju zdeptane różowe talony, a na jednym: litera F i jakieś tam cyfry... Splątały się we mnie w jeden kłębek - nawet teraz nie mogę powiedzieć, co to było za uczucie - ścisnąłem ją tak, że krzyknęła z bólu...

Jeszcze jedna minuta - z tych dziesięciu czy piętnastu, na jaskrawobiałej poduszce - głowa z półprzymkniętymi oczami odrzucona do tyłu; ostre, słodkie pasemko zębów. I to przez cały czas nieodparcie, idiotycznie, męcząco przypomina mi o czymś, o czym nie wolno, o czym teraz - nie trzeba. I coraz tkliej, coraz okrutniej ściskam ją - coraz wyraźniej sine plamy po moich palcach...

Powiedziała (nie otwierając oczu - zauważyłem to):

- Podobno byłeś wczoraj u Dobroczyńcy? Czy to prawda?

- Tak, prawda.

I wtedy oczy się otwarły - i z rozkoszą patrzyłem, jak szybko bladła, blakła, znikła jej twarz: same oczy.

Opowiedziałem jej wszystko. I tylko - nie wiem, czemu... nie, nieprawda, wiem - tylko jedno przemilczałem - to, co On mówił na samym końcu, to, że zależało im na mnie tylko...

Stopniowo, jak fotografia w wywoływaczu, jej twarz zaczęła występować z bieli: policzki, pasemko zębów, wargi. Wstała, podeszła do lustrzanych drzwi szafy.

Znowu sucho w ustach. Nalałem sobie wody, ale poczułem do niej wstręt - postawiłem szklankę na stole i zapytałem:

- Dlatego przyszłaś - musiałaś się dowiedzieć?

Z lustra na mnie ostry, kpiący trójkąt brwi, uniesionych w górę, ku skroniom. Odwróciła się, żeby coś mi odpowiedzieć, ale nic nie powiedziała.

Nie trzeba. Wiem.

Pożegnać się z nią? Ruszyłem z miejsca swoje - cudze - nogi, zawadziłem o krzesło, padło na grzbiet, martwe jak tam - u niej w pokoju. Jej wargi były zimne - kiedyś równie zimna była podłoga tutaj, w moim pokoju przy łóżku.

A kiedy wyszła - usiadłem na podłodze, pochyliłem się nad papierosem, który rzuciła.

Nie mogę więcej pisać - nie chcę więcej!

Notatka 39

Konspekt:

KONIEC

Wszystko to było jak ostatnie ziarnko soli wrzucone do roztworu nasyconego: kryształy jeżąc się igłami spelzły się szybko, stwardniały, zakrzepły. Było dla mnie jasne: postanowione - jutro z rana *zrobię to*. Znaczyło to tyle, co zabić siebie - ale być może dopiero wtedy zmartwychwstanę. Bo przecież zmartwychwstać może tylko to, co zabite.

Na zachodzie w nieustającej niebieskiej konwulsji wstrząsało się niebo. Głowa paliła mnie i huczała. Tak przesiedziałem całą noc, zasnąłem dopiero koło siódmej rano, kiedy ciemność wessała się już, zzieleniała i zarysowały się dachy upstrzone ptakami.

Obudziłem się - już dziesiąta (widocznie nie było dziś dzwonka). Na biurku - jeszcze od wczoraj - stała szklanka z wodą. Chciwie wypilem wodę i pobiegłem: musiałem to wszystko szybko, jak najszybciej.

Niebo - błękitne pustkowie do cna wyżarte przez burzę. Cienie koląco kanciaste, wszystko wycięte z niebieskiego powietrza jesieni - cienkie - strach dotknąć: zaraz trzaśnie, rozleci się w szklany pył. I coś takiego - we mnie: nie wolno myśleć, nie trzeba myśleć, nie trzeba myśleć, bo -

Nie myślałem, może nawet tak naprawdę nie widziałem, rejestrowałem tylko. Na jezdni - nie wiedzieć skąd gałązki, na nich liście zielone, bursztynowe, pąsowe. W górze - na przemian miotają się ptaki i aero. Wszystko to chyba wrzeszczy, kracze, brzęczy...

Potem ulice puste, jakby wymiecione przez zarazę. Pamiętam: potknąłem się o coś, co było nieznośnie miękkie, podatne, ale jednak nieruchome. Schyliłem się: trup. Leżał na wznak, rozsunawszy ugięte nogi jak kobieta. Twarz...

Poznałem grube murzyńskie wargi, jakby nawet teraz *jeszcze* pryskające śmiechem. Śmiał mi się w twarz, mocno zacisnąwszy powieki. Sekunda - dałem krok nad nim i pobiegłem - bo już nie mogłem. Musiałem wszystko zrobić jak najszybciej, bo w przeciwnym razie - czułem - złamię się, ugnę jak przeciążona szyna...

Na szczęście - zostało ze dwadzieścia kroków, już wywieszka - złote litery *Urząd Opieki*. Na progu zatrzymałem się, zaczerpnąłem powietrza, ile mogłem - i wszedłem.

W środku na korytarzu - łańcuch bez końca, gęsiego - stały numery z karteluszkami, z grubymi zeszytami w rękach. Z wolna przesuwali się do przodu o krok, o dwa - i znów

stawali w miejscu.

Miotalem się wzdłuż łańcucha, głowa mi pękała, łapałem ich za rękaw, błagałem - jak chory, który błaga o coś, co w sekundzie dojmującej męki od razu uwolniłoby od wszystkiego.

Jakaś kobieta, w junifie mocno ściśniętej pasem, wyraźnie wybałuszone dwie półkule siedzeniowe, i *przez* cały czas strzygła nimi na boki, jakby tam właśnie miała oczy. Prychnęła na mnie:

- Brzuszek go boli! Zaprowadźcie go do ubikacji - drugie drzwi po prawej...

I śmiech - ze mnie: i przez ten śmiech coś do gardła, i zaraz zacznę krzyczeć albo... albo...

Naraz ktoś od tyłu złapał mnie za łokieć. Odwróciłem się: przejrzyste, skrzydlate uszy. Nie różowe jak zwykle, ale pąsowe: grdyka latała na szyi - lada chwila rozerwie cienki pokrowiec.

- Wy tu po co? - szybko wwiercił się we mnie. Uczepiłem się go:

- Prędeż - do was, do gabinetu... Muszę - zaraz! To dobrze, że właśnie wam... Może to straszne, że właśnie wam, ale to dobrze, to dobrze...

On też *ja* znał, to była dla mnie dodatkowa udręka, ale może on też wzdygnie się słuchając i będziemy już zabijać we dwójkę, w tej mojej ostatniej sekundzie nie będę już sam...

Drzwi się zatrzasnęły. Pamiętam: w dole jakiś paperek uczepony drzwi zaszurgotał po podłodze, kiedy się zamykały, a potem jak klosz nakryła nas jakaś szczególna, bezpowietrzna cisza. Gdyby wyrzekł choć jedno słowo - byle jakie - najbardziej blahe słowo, od razu wszystko opadłoby ze mnie. Ale on milczał.

Cały więc napięty, aż dzwoniło w uszach - powiedziałem (nie patrząc):

- Zdaje mi się - zawsze jej nienawidziłem, od samego początku. Walczyłem... A zresztą - nie, nie, nie wiercie mi: mogłem, ale nie chciałem się uratować, chciałem własnej zguby, to była dla mnie rzecz najdroższa... to znaczy nie zguba, ale, żeby ona... I nawet teraz - nawet teraz, kiedy już wiem wszystko... Wiecie, wiecie, że Dobroczyńca wzywał mnie do siebie?

- Tak, wiem.

- Ale to, co On mi powiedział... Proszę zrozumieć, to tak jakby wam spod nóg wyrwano podłogę - i razem ze wszystkim, co tu jest na biurku - z papierem, atramentem... atrament chłapie i wszystko w kleksach...

- Dalej, dalej! I pospieszcie się! Inni tam czekają.

A wtedy ja - zachłystując się, płacząc - wszystko, co było, wszystko, co tutaj zanotowane. O sobie prawdziwym i o sobie włochatym i to, co ona wtedy powiedziała o moich rękach - tak, właśnie od tego wszystko się zaczęło - i jak wtedy nie chciałem spełnić swojego obowiązku, i jak sam siebie oszukiwałem, i jak ona zdobyła fałszywe zaświadczenia, i jak z dnia na dzień pokrywałem się rdzą, i korytarze na dole, i jak tam - za Murem...

Wszystko to - w niedorzecznych strzępach, zbitkach - zachłystywałem się, brakowało słów. Krzywe, dwuwygięte usta z uśmiechem podsuwały mi potrzebne wyrazy - z wdzięcznością kiwałem głową: tak, tak... I nagle (co to?) - nagle: to już on mówi za mnie, a ja tylko słucham: „Tak, a potem... Właśnie tak było, tak, tak!”.

Czuję: jak pod eterem - wszystko tu, wokół kołnierza - coraz zimniejsze, i z trudem pytam:

- Ale jak to - ale tego wyście nie mogli...

Jego uśmieszek - w milczeniu - coraz bardziej krzywy... A potem:

- A wiecie co - chcieliście coś ukryć przede mną, wyliczyliście wszystkich, których widzieliście za Murem, ale jednego pominęliście. Mówicie, że nie? A nie pamiętacie, że tam przez sekundę, w przelocie - widzieliście tam... mnie? Tak, tak: mnie.

Pauza.

I nagle - błyskawicznie mi do głowy, bezwstydnie jasno: on - on też ich... I wszystko, wszystkie moje męczarnie, to wszystko, co ostatkiem sił przyniosłem tutaj jak ofiarę - wszystko to jest tylko śmieszne jak starożytna historyjka o Abrahamie i Izaaku. Abraham - zlany zimnym potem - już się zamierzył nożem na własnego syna - na siebie - nagle z góry głos: „Nie warto! Żartowałem...”.

Nie odrywając oczu od coraz bardziej krzywego uśmieszku wparłem się rękami w krawędź biurka, z wolna, z wolna odjechałem razem z fotelem, potem naraz - całego siebie - schwyciłem w garść - i wśród krzyków, stopni, ust - na łeb, na szyję.

Nie pamiętam, jak znalazłem się na dole, w jednym z publicznych szaletów na stacji kolei podziemnej. Tam, na górze, ginęło wszystko, rozpadała się największa i najrozumniejsza w dziejach cywilizacja, a tutaj - jak na ironię - wszystko było jak dawniej piękne. Pomyśleć tylko: wszystko to - już skazane, wszystko to zarośnięte trawą, o tym wszystkim - będą tylko „mity”.

Jęknąłem głośno. I w tejże chwili - czuję - ktoś łagodnie pogłaskał mnie po ramieniu.

To mój sąsiad, który zajmował sedes po lewej. Czoło - ogromna, łysa parabola, na czole żółte nieczytelne linijki zmarszczek. A te linijki o mnie.

- Rozumiem was, doskonale rozumiem - powiedział. - Ale uspokójcie się: nie trzeba.

Wszystko to wróci, niechybnie wróci. Najważniejsze, żeby wszyscy poznali moje odkrycie. Wam pierwszemu o tym mówię: obliczyłem, że nieskończoność nie istnieje!

Spojrzałem na niego dzikim wzrokiem.

- Tak, tak, powiadam wam: nieskończoność nie istnieje. Gdyby świat był nieskończony, średnia gęstość materii musiałaby w nim równać się zeru. A ponieważ nie równa się zeru - o czym wiemy - wszechświat jest skończony, ma formę kulistą, a kwadrat promienia wszechświata $y^2 = \text{średnia gęstość pomnożona przez...}$ Jeszcze tylko to muszę - wyliczyć współczynnik liczbowy, a wtedy... Rozumiecie: wszystko - jest skończone, wszystko jest proste, wszystko - daje się wyliczyć; a zatem zwyciężymy filozoficznie - rozumiecie? A wy, mój szanowny, przeszkadzacie mi dokończyć obliczeń, krzyczycie...

Nie wiem, co mną bardziej wstrząsnęło: jego odkrycie czy jego stałość w tej godzinie apokalipsy; w ręce trzymał (zauważyłem to dopiero teraz) notes i suwak logarytmiczny. Zrozumiałem: jeśli nawet wszystko zginie, moim obowiązkiem jest (wobec was, moi nieznani, ukochani) - doprowadzić moje notatki do końca.

Poprosiłem go o papier - i na miejscu zanotowałem te ostatnie linijki...

Chciałem już postawić kropkę - tak jak starożytni stawiali krzyż nad dołem, w którym grzebali swoich umarłych, ale nagle ołówek zadrżał i wymknął mi się z palców...

- Słuchajcie - tarosiłem sąsiada. - Słuchajcie, powiadam! Musicie - musicie mi odpowiedzieć: a tam, gdzie kończy się wasz kulisty wszechświat? Co tam - dalej?

Nie zdążył odpowiedzieć: z góry - po stopniach - tupot - -

Notatka 40

Konspekt:

FAKTY

DZWON

JESTEM PRZEKONANY

Dzień. Jasno. Barometr 760.

Czy to rzeczywiście ja Δ -503, zapisałem te dwieście dwadzieścia stron? Czy rzeczywiście kiedyś czułem - czy też wyobrażałem sobie, że czuję to wszystko?

Charakter pisma - mój. Dalej też - ten sam charakter, na szczęście - tylko charakter pisma. Żadnych bredni, żadnych idiotycznych metafor, żadnych uczuć: tylko fakty. Jestem bowiem zdrow, zdrow w sposób absolutny, doskonały. Uśmiecham się, nie mogę się nie uśmiechać: wyciągnęli mi z głowy jakąś drzazgę, w głowie lekko, pusto. Dokładniej: nie pusto, ale nie ma żadnego obcego ciała, które przeszkadzałoby się uśmiechać (uśmiech to normalny stan człowieka normalnego).

Fakty - takie. Owego wieczoru mojego sąsiada, który odkrył skończoność wszechświata, i mnie, i wszystkich wokół nas - zatrzymano jako nie posiadających zaświadczenia o operacji - i odstawiono do najbliższego audytorium (numer audytorium - nie wiedzieć czemu znajomy: 112). Tutaj zostaliśmy przywiązani do stołów i poddani Wielkiej Operacji.

Nazajutrz ja sam Δ -503, stawilem się u Dobroczyńcy i opowiedziałem mu wszystko, co było mi wiadome o wrogach szczęścia. Dlaczego przedtem mogło mi się to wydawać trudne? Niepojęte. Jedyne wytłumaczenie: moja dawna choroba (dusza).

Tegoż dnia wieczorem - przy jednym stole z Nim, z Dobroczyńcą - siedziałem w słynnej Sali Gazowej. Doprowadzono tamtą kobietę. W mojej obecności miała złożyć swoje zeznania. Kobieta ta uparcie milczała i uśmiechała się. Zauważyłem, że ma ostre i bardzo białe zęby, i że jest to piękne.

Potem wprowadzono ją pod dzwon. Twarz jej zrobiła się bardzo biała, a ponieważ oczy ma ciemne i duże - było to bardzo piękne. Kiedy spod dzwonu zaczęto wypompowywać powietrze - odrzuciła głowę do tyłu, na wpół przymknęła oczy, wargi zaciśnięte - coś mi to przypominało. Patrzyła na mnie wczepiając się mocno w oparcie fotela - patrzyła, dopóki

oczy nie zamknęły się całkiem. Wtedy ją wyniesiono, przy pomocy elektrod szybko przywrócono do przytomności i znowu posadzono pod Dzwon. To powtarzało się trzykrotnie - mimo wszystko nie powiedziała ani słowa. Inni, doprowadzeni razem z tą kobietą, okazali się uczciwsi: wielu zaczęło mówić już za pierwszym razem. Jutro wszyscy staną na stopniach Maszyny Dobroczyńcy.

Odkładać tego nie można - bo w zachodnich dzielnicach - ciągle jeszcze chaos, ryk, trupy, bestie i - niestety - znaczna ilość numerów, które zdradziły rozum.

Ale na poprzecznej, 40 alei, udało się skonstruować tymczasowy mur z wysokowoltowych fal. Mam nadzieję - zwyciężymy. Więcej - jestem przekonany - zwyciężymy. Bo rozum musi zwyciężyć.

Od Tłumacza

Eugeniusz Zamiatin (1884-1937), głośny i tłumaczony u nas przed wojną, jest dziś dla większości polskich czytelników postacią nie znaną. Tak gruntowne zapomnienie zawdzięcza ten mistrz rosyjskiej prozy XX wieku stalinowskiej proskrypcji. Zmuszony do opuszczenia ZSRR (którego obywatelstwo zachował zresztą do śmierci w Paryżu) w roku 1931, wciągnięty został na czarną listę pisarzy tak skutecznie, że pierwsza w ojczyźnie publikacja słynnej na cały świat powieści *My* (1920) stała się wydawniczą sensacją anno 1988. Publikacja ta zbiegła się z rosyjskim krajowym pierwszym wydaniem powieści Orwella *1984*, dla której była niewątpliwie pierwowzorem, i *Nowego wspaniałego świata* Huxleya, który inspirację czerpał zapewne także z powieści Zamiatina.

My - jeden z wzorców gatunku antyutopii w literaturze powszechnej - to wbrew pozorom nie satyra. To - mówiąc słowami autora - „społeczny pamflet, przybrany w wytworny uniform powieści ironiczno-fantastycznych”.

Kompozycję *My* autor, z zawodu inżynier-konstruktor okrętów (bohater powieści to jego ironiczne alter ego), planował z matematyczną precyzją. Motorem akcji są wyłącznie kobiety, płęć bierze górę nad mózgiem aż po końcową katastrofę. Trzy samogłoskowe kryptonimy kobiet stoją jakby u trzech wierzchołków trójkąta-delta, symbolizującej bohatera: przeciwstawne sobie I i O sumują się w IO. Może to zresztą oznaczone graficznie cyrylicą literą działanie odejmowania? I, pozbawiona tego ludzkiego pierwiastka, który wnosi O, odmienia się w zimne rybie monstrum owej IO. Tak czy owak, to one tylko są czynne, swoją energią niweczą bezwładność bohatera. Zamiatin z premedytacją odwraca ukształtowany już w jego czasach schemat powieści fantastycznej: z reguły to właśnie kobieta, symbol seksu, pełni w nim funkcję bierną wobec potęgi hiper mózgu głównego bohatera.

Analizę rzeczywistej problematyki ideowej *My* zacząć jednak wypada od kwestii stylu. W swoim ekspresjonistycznym komiksie, układanym stylem napisów do niemego filmu, Zamiatin świadomie operuje tworzywem kiczu. Irracjonalność stylistyczna, ostentacyjnie podkreślona nadmiarem równoważników zdaniowych, myślników, „telegraficznym” skrótem - przez kontrast z racjonalnością konstrukcji powieści podkreśla rozpołowienie świata. Rozdwojona jest też świadomość narratora.

Kicz to środowisko, w którym działają zamiatinowscy ludzie - nie-osoby. I-330, jawiąc się jako wytwór „kiczowatej wyobraźni” narratora, w miarę rozwoju powieści traci na

indywidualności, aż do końcowej sceny pełnej depersonalizacji i unicestwienia wraz z chorobliwą „duszą” Pierwszego Konstruktora.

Częsty schemat odczytania *My* jako satyry na totalitaryzm zaciemnia obraz: w tym zamiatinowskim Kandydzie nie ma bohaterów pozytywnych. Żadna z części rozpołowionego świata nie reprezentuje dobra w walce ze złem. Terroryzm „Mefi” i ludobójstwo Państwa są zjawiskami komplementarnymi: dwudziestowieczne doświadczenia świata potwierdzają tę diagnozę. Jeśli więc miałyby to być satyra, to nie tylko na totalitarne państwo, ale też na totalitarny ruch, spisek. Warto sobie uprzytomnić, że obraz tego ruchu powstał jeszcze przed marszem na Rzym faszystów Mussoliniego. Zamiatinowska wizja świata koncentracyjnego nie pozostawia złudzeń: utopia przeradza się w despotyzm, dobro zorganizowane staje się złem.

Państwo Jedyne i spisek „Mefi” - to nie dwa przeciwieństwa, to tylko dwa stadia: terror buntowniczego ruchu z chwilą zwycięstwa przeistacza się w terror inkwizycji Państwa-Boga, który z kolei rodzi terror buntu i tak da capo. „Stadium prorockie - pisał Zamiatin - to największe wzloty, wielkość duchowa i romantyzm. Chrześcijanie w katakumbach. W stadium apostołskim głoszą swą wiarę jawnie, nadal jednak tocząc ideologiczną walkę, jeszcze nie zwyciężyli. W stadium kościelnym wreszcie - zwyciężyli na ziemskiej płaszczyźnie. I tak wszyscy zwycięscy chrześcijanie rozpoczynają przymusowe zbawienie: przemocą, mieczem, ogniem, więzieniami. Chrystus staje się Wielkim Inkwizytorem”.

Egzorcyzmując upiory „hipertrofii władzy państwa” i „hipertrofii władzy maszyn” Zamiatin okazał się nader przenikliwy. W wieku ideologii jego ironia jako wyraz uniwersalistycznego humanizmu niosła złowróżbną przestrożę: „Nasi bogowie są tu, na ziemi, wśród nas - w Urzędzie, w kuchni, w pracowni, w klozecie; bogowie stali się jak my: ergo - my staliśmy się jak bogowie. I do was, moi nieznani czytelnicy, i do was także dotrzemy, aby uczynić wasze życie równie precyzyjnym i bosko rozumnym jak nasze...”

Otóż jest zamiatinowska Atlantyda.